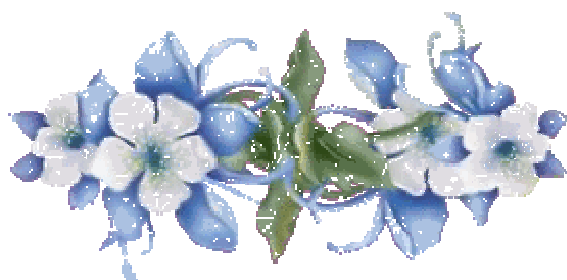




**BARBARA RYBAŁTOWSKA**



**KUSZENIE LOSU**

# Oleńce

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znowu jestem w Paryżu i nie potrafię przestać myśleć o tym, co się zdarzyło z Anną. Może dlatego, że poznaliśmy się właśnie tutaj. Mieszkaliśmy w sąsiadujących ze sobą mieszkankach na poddaszu, na północnym stoku Montmartru. Pierwszy raz zobaczyłem ją w windzie, jechała tak samo jak ja na ósme piętro. Nie mogłem od niej oderwać oczu: wysoka, smukła, o wijących się ciemnych włosach związanych w koński ogon, na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie nastolatki, jednak obserwując jej zachowanie doszedłem do wniosku, że musi mieć co najmniej dwadzieścia lat, a kiedy poznaliśmy się lepiej, naprawdę ze zdumieniem przyjąłem do wiadomości fakt, że zbliża się do trzydziestki...

Tamtego dnia, gdy pierwszy raz spotkaliśmy się w windzie, miała ze sobą torby z zakupami, jedną z nich przytrzasnęły drzwi i nie mogliśmy ruszyć z miejsca. Pośpieszyłem jej z pomocą. Zamieniliśmy kilka grzecznościowych słów po francusku. Sznurek od jednej z toreb zaplątał się tak, że nie mogła go wyjąć spod drzwi.

- Pardonnez moi\* — powiedziała do mnie i „cholera jasna” -zaklęła pod nosem.

\* (fr.) - proszę wybaczyć

- Pani jest Polką? - zapytałem.

- O, mój Boże - zawstydziała się. - Ależ ten świat jest mały! Więc to pan jest bratem doktora Nowaka? Słyszałam, że ma pan przyjechać.

- Henryk Nowak - przedstawiłem się. - Brat wspomniał, że moją sąsiadką będzie Polka, ale nie uprzedził mnie, że taka urocza.

- Anna Turska, bardzo mi miło - przedstawiła się. - Przeczytałam wszystko, co pan napisał - dodała. - Jakże się cieszę, że będziemy sąsiadami przez ścianę.

Ja także bardzo się ucieszyłem. Anna budziła sympatię. Wydawała się mieć serce na dłoni, z jej twarzy można było czytać jak z książki, myśli, uczucia, nastroje - chyba trudno jej było cokolwiek ukryć przed światem. Pomyślałem, że ta otwartość nie ułatwia jej życia. Błękitne oczy, nieco podkrążone, ocienione gęstymi rzęsami, patrzyły ufnie i budziły ufność, a jednak czasem pojawiał się w nich jakiś niepokój, nie wyglądała na osobę

zbyt pewną siebie, chociaż już sama aparycja upoważniała ją do tego. Uporaliśmy się jakoś ze sznurkami od pakunków i winda ruszyła.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że ta nowo poznana osoba będzie obecna w moich myślach przez większą część mego życia, dopóki los nie wtrąci się w to bezsensownie i brutalnie.

Teraz, po dwudziestu kilku latach znalazłem się znowu nad Sekwaną, a zważywszy na to, jak zamierzam mój pobyt tu wykorzystać, jest to zaiste makiaweliczna sytuacja.

Mieszkam w tym samym domu, przy tej samej co wtedy ulicy Ordener - tylko Anny już tu nie ma i nie będzie...

Niezwykle ważne sprawy, które podjąłem się tu załatwić, kontakty z wydawnictwami, spotkania z autorami, których utwory zamierzamy przetłumaczyć i wydać, tak naprawdę były dla mnie tylko pretekstem do znalezienia się w Paryżu. Napisać o tym, jak znajomość z Anną zaważyła na moim życiu, a także przemyśleć i starać się zrozumieć dwoistość mojej natury - to są prawdziwe powody, które skłoniły mnie do przyjazdu tutaj. Poza ogromnym żalem, że sprawy przybrały taki, a nie inny obrót, zmagam się wciąż z wyrzutami sumienia. Mogłem sprawić przynajmniej to, by zaznała więcej szczęścia i satysfakcji. Zasługiwała na to. Jeśli przez cały czas naszej znajomości, a potem i współpracy nie zachowałem się tak, jak powinienem, nie mogę dziś zwać tego na okoliczności, moje zależności i tak dalej. Okazałem się słabym człowiekiem i jeżeli inni mogą to usprawiedliwić, ja nie potrafię być dla siebie aż tak pobłażliwy. Tym bardziej że nie da się już niczego naprawić. Co się stało, już się nie odstanie...

Wymyśliłem sobie, że napiszę całą prawdę, jak na spowiedzi. Może to nic nie zmieni, ale wyrzucę to wreszcie z siebie i przy okazji postaram się wszystko jeszcze raz przeanalizować...

Podjąłem decyzję i wyjazd do Paryża nastąpił bardzo szybko. Jestem już na miejscu, ale nie mogę jeszcze odpowiedzieć sobie na pytanie, czy podołałam zadaniu, jakie sobie narzuciłem. Na to jest za wcześnie.

Wbrew moim obawom, nie jestem zajęty przez cały czas. Mam też do dyspozycji zupełnie samodzielne mieszkanie i gdy tylko je znowu zobaczyłem, humor mi się poprawił. Szczególnie gdy wyjrzałem przez okno. Kiedy zamieszkałem tu przed laty pierwszy raz, miałem nadzieję, że zobaczę przez nie białą kopułę bazyliki Sacre Cœur, ale widok na przeciwną stronę, na wzgórze Montmartru, nie rozczarował mnie do końca.

Jest bardzo malowniczy - są to dachy Paryża, a właściwie ogrody na dachach.

Mieszkam sobie na ósmym piętrze w tym samym domu co mój brat, prawdę mówiąc, w służbówce przynależącej do jego luksusowego mieszkania. Jakież to było oburzenie, kiedy w czasie pierwszej u nich bytności poprosiłem, żeby pozwolili mi tu się przenieść. Ani Juliusz, ani Denise nie mogli w żaden sposób zrozumieć, jak mogę woleć gnieździć się w tym miniaturowym mieszkanku, miast korzystać z olbrzymiego pokoju w ich apartamencie, po którym na upartego mógłbym nawet jeździć na rowerze.

- Ósme piętro? A dajże spokój, co powiedzą nasi znajomi, kiedy dowiedzą się, że wyeksmitowaliśmy cię do służbówki? A co będzie ze śniadaniem? Oczywiście Odile może ci je przynosić, ale będziesz jadał sam jak palec.

- Śniadanie chętnie przygotuję sobie sam. Z natury jestem leniwy, a już takie, jak mam tu, u was, *dolce far Nience\** zdeprawuje mnie do reszty.

*\*(wł.) - słodkie nieróbstwo*

Jeśli zaś na trochę zejść wam z oczu, będę miał tę pewność, że moja obecność nie nuży was nadto. Poza tym będę mógł pracować nie krępując nikogo.

- Od razu trzeba było tak mówić - roześmiał się mój brat. - To ty masz nas dosyć, bo nie możesz pisać, kiedy zapragniesz. Zawracamy ci głowę, co?

- Wiesz, że czuję się u was doskonale, ale w służbówce nie będę miał wyrzutów sumienia, kiedy narobię bałaganu na biurku moimi papierzyskami...

Juliusz szybciej niż jego żona przystał na moją prośbę, bardziej się rozumieliśmy, zresztą sam wiedział, jak Denise potrafi troszczyć się o gości. Jest wzorową panią domu, uprzejmą, ale i despotyczną, doskonale umie sobie wszystkich podporządkować. W ich domu rytuały wydają się mieć znaczenie pierwszorzędne.

Udało mi się w końcu przekonać oboje braterstwa do mego pomysłu i odtąd wielokrotnie ich odwiedzam, przygotowują mi moje mieszkanko na poddaszu, upewniając się uprzednio, czy mnie nie znudziło wdrapywanie się na ósme piętro. Jakże tam zresztą „wdrapywanie się”, skoro jest przecież winda. Niczego mi tutaj nie brakuje. Jest miniaturowa kuchenka z zaopatrywaną troskliwie przez zapobiegliwą Denise lodówką, pokój niezbyt

duży, ale jasny i miły. Mam bardzo wygodne wielkie łóżce - grand lit co się zowie, stare rzeźbione biurko z dużą liczbą szuflad, w których poza papierami upchałem nawet bieliznę, żeby mieć luźniej w szafie. Szafa także jest stara, z tego samego kompletu co biurko. Dwa krzesła, wygodny fotel i na dodatek mam szafkę, tak pełną naczyń i zastawy, że mógłbym z powodzeniem urządzać przyjęcia dla kilkunastu osób. Mógłbym, ale nie zamierzam. Nie po to tu jestem.

Tamtego roku, gdy mieszkała tu Anna, pożyczła naczynia ode mnie. Przynajmniej na coś się przydawały...

Kiedy przed miesiącem mój wspólnik usiłował namówić mnie na wyjazd, zacząłem się przed rym bronić, zanim wysłuchałem go do końca.

- Daj się przekonać - mówił. - To naprawdę nie jest tak niemożliwe, jak ci się wydaje. Zanim wyjedziesz, przekażesz swoje zadania Jarkowi (przyjeliśmy ostatnio tego obiecującego absolwenta literaturoznawstwa).

- Chyba żartujesz! - roześmiałem się. - Jarek z najwyższym obrzydzeniem traktuje wszelkie powinności administracyjne. Jedyne, do czego się przykłada, to pisanie zjadliwych recenzji i uświadamianie naszym autorom, że wydajemy ich książki przez pomyłkę, skoro nie stosują się do jego awangardowych upodobań.

- Czas najwyższy, żeby się zapoznał na dobre z pracą w wydawnictwie. Temu, co ty masz do załatwienia we Francji, on nie podoła, natomiast tutaj, z naszą pomocą, jakoś sobie poradzi.

- Jak długo musiałbym tam zostać?

- Nie wiem, może kilka tygodni...

- Aż tak długo? - Parę tygodni! - Nagle doznałem olśnienia. Przecież tego mi było potrzeba. Parę tygodni wolnych od problemów domu i firmy to czas, w którym mógłbym zrealizować prawie w połowie moje zamierzenie.

- Jak ci się nie będzie układać, możesz wrócić szybciej. Przemysł to, masz ponad tydzień na poukładanie wszystkiego tutaj.

Nie musiałem się zastanawiać. Propozycja po prostu spadła mi z nieba. Uwikłany w administracyjne sprawy wydawnictwa, po prostu bez końca urzęduję, nie jestem w stanie znaleźć czasu na pisanie. Te rutynowe zajęcia zabijają wszelki polot, szczerze mówiąc, zaczynam wątpić, czy jestem jeszcze pisarzem. W Paryżu mógłbym poświęcić na pisanie wszystkie wolne chwile.

Po długiej serii przeciwności losu nic lepszego niż przyjazd tutaj nie mogło mi się przydarzyć. Nie wiem, czy to poddasze ma jakąś magiczną

aure, czy też minęło dla mego pióra siedem przysłowiowo chudych lat? Wszystko jedno! Najważniejsze, że myśli same leją się na papier, jak za dawnych, dobrych czasów.

Długie, wąskie korytarze prowadzące od windy, malownicze mansardowe ściany, łukowate sklepienia, okno w głębokiej wnęce z widoczną za szybą rzeźbioną żelazną balustradą, poznaczoną plamami rdzy i patyny, nawet miniaturowa reprodukcja tancerek Degasa w porcelanowej ramce wisząca nad biurkiem, wszystko to sprawia, że przenoszę się w tamte czasy zupełnie naturalnie, jakby nie było lat, które minęły, jakby Anna była za ścianą i tylko patrzeć, jak stanie w drzwiach... Piszę o Annie, nie wiem jeszcze, jak to spożytkuję, czy będzie z tego książka, czy może tylko ckliwa spowiedź starzejącego się impotentą twórczego. Od dawna jednak nie czułem tego co teraz, ręka z trudem nadaża za myślą, rośnie sterta zapisanych kartek...

\* \* \*

Tego samego dnia przed laty, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Annę w windzie, zostałem wplątany w jej niewiarygodnie barwne życie paryskie. Nie upłynęły dwie godziny od naszego spotkania, kiedy zapukała do moich drzwi.

- Panie Henryku, nie wiem, co pan sobie o mnie pomyśli, bo mam do pana dziwną prośbę. Potrzebuję pańskiej pomocy w niemądrej sprawie. Czy mógłby pan za dwadzieścia minut przyjść do mnie?

- Mógłbym. Jeśli pani sobie życzy...

- Widzi pan - Anna wydawała się bardzo zażenowana. - Ma do mnie za chwilę przyjść mój znajomy, nie chciałabym z nim być sama. Jakoś tak głupio się umówiłam, bez zastanowienia, a on zdaje się wiele sobie po tym spotkaniu obiecuje...

- Mam zostać przyzwoitką? - roześmiałem się. - Przyznam, że nie występowałem jeszcze w takiej roli. Aż tak jest pani nagabywana?

- Ja wiem, że to się panu wydaje idiotyczne, bo przecież jestem dorosła, ale nagle ogarnęła mnie panika.

Co miałem robić? Sytuacja była zabawna, ale i niezręczna. Z jednej strony Anna pochlebiała mi okazując zaufanie, z drugiej dawała do zrozumienia, że jestem poza zasięgiem jej męsko-damskich rozterek. Zostałem oto pasowany na nieszkodliwego wujka, co bynajmniej nie napawało mnie dumą. Gdyby wiedziała, jakie na mnie zrobiła wrażenie,

pewnie nie przyszłaby ze swoim kłopotem do mnie. To, że wydawała się nie zauważać swego magnetycznego uroku, było rozbrajające.

Mogłem się jednak mylić, może to była po prostu prowokacja. Jedno było pewne - jeżeli chciała mnie zaintrygować, udało się jej to. Chwyciłem przynętę i włączyłem się do gry.

Anna poszła do siebie, a ja daremnie usiłowałem się skupić nad przerwana pracą, wena mnie opuściła. Moja sąsiadka rozpanoszyła się w moich myślach... Czyżby zamierzała mnie uwodzić? Ten pomysł przypomni mi, co powiedziała tuż po tym, kiedy się jej przedstawiłem: „Przeczytałam wszystko, co pan napisał”.

Ileż to razy słyszałem to zdanie od różnych egzaltowanych pań, które miały się za intelektualistki. Byłem świeżo upieczonym laureatem nagrody literackiej, chodziłem jeszcze w nimbie chwały, a przeniesienie na ekran nagrodzonej powieści dało mi pewien status finansowy. Musiało to budzić wyobraźnię pań pragnących zrobić dobrą partię. Nie byłem jeszcze wtedy żonaty, tylko zaręczony, do tego niezbyt szpetny. Ewa już przymierzała ślubne suknie, ale o tym mało kto wiedział. Byłem trochę próżny i nie taję, że korzystałem z powodzenia. Toteż niezwykła propozycja czarującej Anny rozemocjonowała mnie. Odłożyłem pracę nad nową powieścią i oddałem się przygotowaniom do spotkania.

Postanowiłem ogolić się i zmienić koszulę. Sięgnąłem do szafy, ale wtedy znowu ktoś zapukał do drzwi.

- To jeszcze raz ja - usłyszałem głos Anny. - Bardzo pana przepraszam, że tak zawracam głowę, ale na pewno nic podobnego już się nie zdarzy, to jest wyjątkowa sytuacja. Od razu wyczułam, że jest pan niezadowolony i wolę wszystko zaraz wyjaśnić. Ten Saszko to mój kolega z pracy. Szczerze mówiąc, on mi się szalenie podoba, ale nie mam zamiaru nawiązywać z nim romansu.

- To po co go pani zaprosiła?

- Właśnie. Tak jakoś głupio, w żartach...

- Jeśli jest kolegą z pracy, na pewno nie posunie się do niczego wbrew pani woli, chyba go pani zna na tyle?

- Ja wiem, że to wygląda głupio, ale nie chciałabym nawet prowokować sytuacji, w której mógłby się zachować nie tak, jak bym chciała, lubię go. Naprawdę, bardzo pana proszę... Ja wiem, że nie jest pan zachwycony, ale...

- Skąd pani wie? Z prawdziwą przyjemnością przeszkodzę w całym „sam na sam”, już choćby dlatego, że dotąd nikt mnie o nic podobnego nie prosił.

- Jeszcze raz pana przepraszam.

- Nie ma za co... Będzie to dla mnie chwila wytchnienia. Chętnie oderwę się od pracy.

- O, Boże! W dodatku przerwałam panu pisanie! - zmartwiła się, lecz nie kwapiła się do wyjścia...

- Pewnie to pana do mnie zniechęci, ale ja pracuję w kabarecie. Tańczę. Nie jest to żaden kabaret erotyczny, po prostu teatrzyk kawiarniany - zwierzyła mi się nagle. - Najśmieszniejsze jest to, że już od pewnego czasu noszę się z zamiarem porzucenia tego zajęcia raz na zawsze. Muszę jednak jakoś zarabiać, żeby opłacić szkołę mego syna... Słowem, wykorzystuję szansę, która w mojej sytuacji jest darem losu.

- Uwielbiam scenę i artystów - roześmiałem się - niestety nie posiadam żadnego talentu.

- I pan mi to mówi! Człowiek, któremu niejeden zazdrości takiego pióra! Co się zaś tyczy tańca - wszystkiego można się nauczyć. Ja tańczyłam od dziecka, ba! Nawet zdawało mi się, że to moje powołanie, dopóki nie zaczęłam pisać.

- Co pani pisze? - zaciekałem się.

- Wiersze, artykuły do gazet, ale chciałabym kiedyś napisać książkę. Nie wiem tylko, czy ktoś zechce ją wydać... Tymczasem tańczę. Kiedy znalazłam się tu w rozpaczliwej sytuacji, jedna z moich znajomych z agencji artystycznej przypomniała sobie nagle, że kiedyś byłam tancerką. Jej znajomy reżyser poszukiwał właśnie choreografa do kabaretowej rewii piosenek. To był właśnie Saszko.

- Jest Rosjaninem?

- To Amerykanin. Jego matka była z pochodzenia Ukrainką, stąd to imię. Reżyserował na Broadwayu, potem ożenił się z Francuzką i osiadł w Paryżu. Kiedy moja znajoma przedstawiła mu mnie jako poszukiwanego przez niego choreografa, uznałam to za żart. Propozycja była nęcąca finansowo, miałam nóż na gardle i dałam się namówić. Przeczytałam scenariusz, zaczęłam chodzić na próby muzyczne. Potem zobaczyłam wykonawców i zorientowałam się w zamiarach reżysera, wizja choreografii przyszła sama. Panicznie jednak bałam się Saszki. Od razu zauważyłam, że jest doskonałym profesjonalistą, więc musiał dostrzec moją



niekompetencję. Obserwował mnie w milczeniu. Czekałam co dnia na jego wybuch i wyrzucenie mnie z hukiem za drzwi. Z drugiej strony ta praca zaczynała mnie wciągać i już żałowałam, że może będę się musiała z nią pożegnać. To się jednak nie stało. Ku mojemu zdumieniu Saszko powiedział któregoś dnia:

- Wie pani, czego w tym wszystkim brakuje? Solowego numeru dla pani. Proszę sobie coś wymyślić. Ma pani na to dwa tygodnie...

- Ale ja...

- Wieczory ma pani przecież wolne, wiem to od Felice. Chcę panią mieć w programie.

- To brzmi jak bajka - powiedziałem.

- Też tak wtedy pomyślałam.

- A zatem dała się pani namówić i wszystko skończyło się szczęśliwie?

- Nie od razu. Przecież miałam sporą przerwę w tańczeniu. To wszystko z mojej strony było istną szarlatanerią. Minęły dwa lata od czasu, gdy opuściłam teatr, i chociaż dbając o kondycję i utrzymanie się w formie zawsze trochę ćwiczyłam, nie tyle jednak, by móc znowu tańczyć zawodowo. Zanim podjęłam się zrobienia choreografii, poszłam na intensywny kurs tańca klasycznego i lekcje stepowania. Mogłam sobie na to pozwolić bez obciążeń finansowych, bo moja dawna koleżanka z opery warszawskiej, tańcząca aktualnie w „Casino de Paris”, prowadzi prywatną szkołę tańca. Dowiedziawszy się o moim kłopotcie, pozwoliła mi uczestniczyć w prowadzonych przez siebie zajęciach.

Spojrzałem dyskretnie na zegarek. Do wizyty owego Saszki zostało niecałe dziesięć minut. Trzeba będzie zrezygnować z golenia i zmiany koszuli. Nic wielkiego, w końcu to nie ja umówiłem się na randkę, tylko Anna.

- Czy nie powinniśmy już udać się do pani? Inaczej zaproszony gość zostanie zamknięte drzwi.

- Rzeczywiście, chodźmy. Ale się rozgadałam! Już mnie pan musi mieć dosyć.

- Bynajmniej. Miło się z panią rozmawia.

- Uciekłam do Paryża od kłopotów małżeńskich - Anna uzupełniła swoje zwierzenia. - Okazało się nagle, że mam bardzo romansownego męża.

- Jak ktoś będący mężem takiej kobiety może mieć ochotę na inne?

- Żartuje, pan! Okazuje się, że może, i to jeszcze jak!

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i sprawa niewiernego męża Anny zesłała na dalszy plan. Oboje poczuliśmy się zakłopotani: ja dlatego, że chyba nie powinienem się tu znaleźć, a Anna też widać miała swoje powody.

Saszko był wysokim blondynem o ascetycznej twarzy, odzianym z fantazją. Miał na sobie długą niemal do kostek granatową jesionkę o kroju dyplomacki, przerzucony przez ramię biały jedwabny szal, a na głowie granatowy kapelusz filcowy z szerokim rondem. Z bukietem czerwonych róż prezentował się malowniczo, ale jego postać wydała mi się bardzo znajoma; potem uzmysłowiłem sobie, że w tymże stroju widziałem go w powtarzanej wielokrotnie telewizyjnej reklamie wody kolońskiej dla panów.

Wręczając Annie kwiaty ucałował ją siarczyście w oba policzki - rytualne cztery pocałunki, jak to we Francji — i podobnie jak gospodyni był trochę skrepowany. Dopiero gdy przedstawiła mnie jako swojego sąsiada i ulubionego pisarza, zauważył moją obecność. Nigdy dotąd nie widziałem na czyjejkolwiek twarzy podobnego rozczarowania moim widokiem.

- Enchante\* - powiedział, mierząc mnie nieprzyjaznym wzrokiem.

**\*(fr.) - bardzo mi miło**

Walczyłem z pokusą, żeby opuścić te progi natychmiast i powstrzymało mnie tylko błagalne spojrzenie mojej nowej znajomej, która już zdołała mnie całkowicie zawojować i oto robiłem na jej życzenie rzeczy, o jakie nawet bym siebie nie podejrzewał...

Czułem jednak, stawiając się w jego sytuacji, że goście należą się przynajmniej słowa przeprosin czy wyjaśnienia. Tak dalece nie potrafił ukryć rozczarowania moją obecnością, że aż zrobiło mi się go

szkoda. Poza tym, że pałał do mnie wyraźną niechęcią, wydawał się bardzo sympatyczny. Podobnie jak Anna był rozbrajający w swojej spontaniczności.

- Ach, ci artyści! - pomyślałem - trudno, zagram do końca tę niewdzięczną rolę...

- Mam nadzieję - powiedziałem głośno - że nie przeszkodziłem państwu moją niezapowiedzianą wizytą?

- Ależ skąd - zapewniła mnie Anna. - Skoro jesteśmy już w komplecie, zapraszam panów na kawę do Pierrette. - Narzuciła na siebie płaszcz i pociągnęła za sobą ogłupiałego amanta.

Poczekali pod moimi drzwiami, zanim się ubrałem, i zjechaliśmy windą na dół. Byłem poirytowany, zdenerwowanie Saszki uświadomiło mi niezręczność sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

Wszystko skończyło się niespodziewanie szybko. Najwyraźniej kawa u Pierrette, ze mną na przyczepkę, nie była szczytem marzeń Saszki, bo po jej wypiciu przypomniał sobie, że bardzo się śpieszy. Moja sąsiadka przeproszała mnie jeszcze, ale uciałem to zdecydowanie.

- Daj spokój, Anno - powiedziałem - i czas najwyższy, żebyśmy mówili sobie po imieniu, skoro tak dalece zostałem wprowadzony w twoje osobiste sprawy. A skoro już tu jesteśmy, co powiesz na lampkę wina?

- Wspaniale!

- Za nasze spotkanie!

Nie rozstaliśmy się do północy. Sączyliśmy wino i Anna rozkleiła się trochę. Zanim wróciłem do siebie, wiedzieliśmy o sobie bardzo dużo. Anna miała niezwykły i irytujący mnie u innych ludzi sposób przeskakiwania z tematu na temat, podchodzenia do spraw poważnych ze szczyptą humoru, jakby bagatelizowania ich, i traktowania błahostek ze śmiertelną powagą. Nie uszło mojej uwagi również to, że posiada w wielu istotnych sprawach zdecydowane zdanie, ale nie wypowiada go w sposób autorytatywny, tylko ot tak, mimochodem. Z przyjemnością odnotowałem, że nie pozbawiona jest autoironii i pokory do sztuki, nauki i w ogóle do życia. Okazała się przemiłym interlokutorem. Nie wiem, jak zdołała tego dokonać, że ja - z zasady raczej nieufny i na pewno nie wylewny - też opowiedziałem jej o sobie niemal wszystko od razu tego pierwszego wieczoru. Jak na spowiedzi. Może dlatego, że słuchać potrafiła jak mało kto.

Gdy wróciłem do siebie, długo nie mogłem zasnąć i rozważałem, jak mógłbym pomóc Annie rozwikłać jej niełatwe problemy, których miała bez liku...

Po jej opowieściach o życiu, jakie wiodła ze swoim przedziwnym mężem, wydałem się sobie niedoścignionym ideałem, pomimo moich słabostek. W każdym razie zapragnąłem być ideałem, moja nowa znajoma budziła we mnie instynkty rycerskie. Zacząłem sobie wyobrażać, jakim potrafiłbym być dla niej oparciem i przyjacielem. Anna powinna być noszona na rękach, a jest taka nieszczęśliwa. Mówi, że człowiek otrzymuje od innych tyle, ile wymaga, a ona nie potrafi wymagać. Myślę jednak, że jej ucieczka z dzieckiem od męża nie była dobrym pomysłem, nawet jeśli to nie na zawsze i jeśli syn doskonale nauczy się mówić po francusku.

Wyjechali wszyscy razem w dużym towarzystwie w sierpniu. Dotarli aż do La Rochelle, przeprawili się promem na wyspę Re i zrobili sobie polską enklawę na jednym z campingów. Miały to być wymarzone wakacje, zainicjowane zresztą przez męża Anny na przeprosiny po jego kolejnej przygodzie. Cóż, kiedy bardzo szybko okazało się, że skruszony winowajca nie omieszkał zadbać o to, by w składzie wycieczki znalazła się jego kolejna flama. Wyniknął z tego skandal, gdyż była ona żoną jego najlepszego przyjaciela. Anna stwierdziła, że dłużej tego nie wytrzyma i postanowiła zostać przez jakiś' czas z synkiem we Francji. Uważała, że w ten sposób ukarze niewiernego męża, choć przecież w gruncie rzeczy te wszystkie jego wybryki to nic innego jak chęć potwierdzenia swojej męskości.

- Niektórzy mężczyźni uważają takie postępowanie za coś w rodzaju treningu sportowego - tłumaczyła syna przed Anną jej teściowa. - On nie traktuje tych kobiet poważnie, tylko musi się sprawdzać. Taką ma słabość, w końcu nikt nie jest doskonały... Krewni Andrzeja z Montpellier, którzy obiecywali zbuntowanej żonie pomoc w uzyskaniu pracy i mieszkanie, stwierdziwszy, że potraktowała swoje pogroźki poważnie, szybko się z obietnic wycofali i mogła liczyć tylko na siebie.

Przyjechała do Paryża i postanowiła radzić sobie sama. Miała w banku trochę pieniędzy ze swego ostatniego kontraktu i za nie umieściła chłopca w szkole z internatem. Znajomi wynajęli jej maleńkie mieszkanie na poddaszu w zamian za opiekę nad ich matką i jej trzema kotami. To z pozoru łatwe zajęcie miało się stać wkrótce jej utrapieniem. Znajomi bowiem wyjechali na pół roku do Indiany w USA, a sprawy ich matki przybrały dramatyczny obrót. Starsza pani, dotąd żwawa i samodzielna, pewnego dnia potknęła się o podwinięty dywan, straciła równowagę i upadła twarzą na kaloryfer. Kiedy Anna przyszła nakarmić koty, znalazła ją nieprzytomną w kałuży krwi. Wezwany lekarz stwierdził złamanie nosa i wstrząśnienie mózgu. Trzeba było zająć się jej leczeniem i w ogóle pielęgnować ją przez całe dni. W ciągu tygodnia Anna jakoś sobie z tym radziła, ale na sobotę i niedzielę zabierała synka z internatu i wtedy wszystko bardzo się komplikowało. Kiedy starsza pani poczuła się nieco lepiej, zaproponowała

Annie, aby w czasie weekendów mieszkała z chłopcem u niej, by nie musiała kursować bez przerwy między trzecim piętrem a poddaszem. Miało to i tę zaletę, że wieczorami, kiedy Anna szła do kabaretu, nie zostawiała

chłopca samego na górze. Wprawdzie opieka staruszki była iluzoryczna, ale jednak szedł spać o należytej porze i nie miał odwagi psocić... Pani Amanda była zresztą zadowolona z jego towarzystwa. Nie doczekała się dotychczas wnuków i bardzo nad tym bolała. Tym serdeczniej odnosiła się do niesfornej latorośli Anny. Filip przy dorosłych był uroczym malcem, ale pozostawiony na chwilę sam sobie wpadał na szalone pomysły.

Natomiast w szkole nie skarżono się na niego... Był ambitny, lubił się wyróżniać, zwracać na siebie uwagę i dlatego zachowywał się tam bez zarzutu i uczył doskonale. Zupełnie inaczej było w domu, trzeba było ustawicznie nad nim czuwać.

Anna wychodziła więc do pracy z duszą na ramieniu. Nigdy nie była pewna, co wymyśli jej ancymonek, czy rozpali ognisko na środku pokoju, czy też spróbuje dostać się na balkon kolegi z siódmego piętra, używając parasola jako spadochronu.

Przyjrząwszy się temu wszystkiemu z bliska i ja dołączyłem do gromadki o trzy piętra niżej, dyżurowałem tam żeby moja przyjaciółka mogła spokojniej odtańczyć swój solowy numer w rewii.

Upłynęły od naszego poznania prawie dwa miesiące, zdrowie starszej pani poprawiało się powoli, opiekowałem się Filipem i przemiłą staruszką ku oburzeniu mego brata i jego żony. Coraz bardziej byliśmy zżyci ze sobą... Pani Amanda nie mogła się doczekać końca tygodnia. Twierdziła, że Anna i mały Filip wnoszą w jej życie powiew młodości, przejmowała się ich sprawami. Przyznam, że i mnie nie ciążyło to, iż w sobotnie i niedzielne wieczory wyrzekam się bardziej atrakcyjnych zajęć niż dotrzymanie towarzystwa kilkuletnemu i osiemdziesięcio-sześcioletniej matronie. Robiłem to z entuzjazmem dla Anny, w której zadurzyłem się bez pamięci. Ona zaś była tak zapracowana i uwikłana w najrozmaitsze kłopoty, że zdawała się mego zauroczenia w ogóle nie dostrzegać. Dziwiłem się temu, irytowało mnie to i intrygowało. Z jednej strony wyraźnie potrzebowała mego towarzystwa, nie umiała nie zdać mi relacji ze wszystkiego, co się każdego dnia zdarzyło, z drugiej zdawała się nie dostrzegać mego zniewolenia, traktowała mnie jak przyjaciółkę, ufnie i bez podtekstów. Miałem nadzieję, że to udawana obojętność, po prostu poza. Nieraz chciałem porozmawiać o tym, co czuję, ale Anna bardzo mnie onieśmielała i wciąż odkładałem tę rozmowę na stosowną chwilę.

Okazało się wkrótce, że nigdy nie miała się zdarzyć. Pewnego dnia wszystko nagle musiało ulec zmianie. Dokonał tego jeden krótki telefon od jej teściowej.

Właśnie szykowałem się do wyjścia, kiedy zapłakana Anna stanęła w drzwiach.

- Co się stało? - spytałem, widząc ją tak zmienioną.

- Muszę wracać natychmiast do domu, Andrzej jest strasznie chory. On umiera...

- Miał wypadek?

- Nowotwór, przypadkiem wykryty, przy okazji ataku wyrostka robaczkowego. Nie wierzę, nie mogę w to uwierzyć!

Zacząłem ją pocieszać, jak umiałem, przytuliła się do mnie i płakała rozpaczliwie. Trzymałem ją w objęciach zmartwiony jej zmartwieniem i moim. Zrozumiałem bowiem, że liczenie na zdobycie jej wzajemności było bezpodstawną mrzonką. Ona naprawdę nic nie zauważyła, zaufała mi jak kumpłowi i tylko w takiej roli byłem jej potrzebny. Anna kochała swego męża i cały czas żyła nadzieją, że wszystko się między nimi ułoży.

W obliczu jej nieszczęścia ja z moim problemem byłem nieważny i nie na miejscu. Jedyne, co mogłem zrobić, to ofiarować jej pomoc w tych ciężkich chwilach. Samochodem mego brata pojechałem do internatu po Filipa, podczas gdy ona pakowała swój dobytek, wykupiłem bilety lotnicze do Warszawy i odwiozłem ich na lotnisko. Zostałem sam na ósmym piętrze, ze swoją porażką i tęsknotą, do której nie miałem prawa. Mimo obietnic, że zawiadomi mnie, jak się sprawy potoczyły, Anna nie dała znaku życia. Długo nie mogłem o niej zapomnieć... Próbowałem jej szukać po powrocie do Polski, ale po śmierci męża wyjechała ponoć z Warszawy - tylko tyle powiedzieli mi jej sąsiedzi.

Nie zamierzałem dać za wygraną, postanowiłem ją odnaleźć i dokonałbym tego, gdyby w moim życiu nie pojawiły się komplikacje, które udaremniły mi wszelkie poczynania nie tylko w sferze uczuć, ale i w każdej innej dziedzinie.

Początek wielkim zmianom dał wydrukowany w „Kulturze” paryskiej napisany przeze mnie felieton o wypadkach grudniowych na Wybrzeżu sprzed dwóch lat, w ich rocznicę. Zbiegło się to akurat z tym, że naraziłem się osobiście pewnemu pracownikowi służb bezpieczeństwa, kiedy ten został moim sąsiadem. Miał on nieznośny zwyczaj wystawiania przed drzwi pustych butelek, niepotrzebnych mebli i szpargałów, co uczyniło z naszego

dotychczas zadbanego korytarza istne składowisko rupieci. Doszło do tego, że zaczęliśmy się przeciskać pod ścianą, żeby przejść do windy. Wszyscy narzekali, ale tym, który pierwszy zwrócił mu uwagę, byłem ja. Nie wytrzymałem, pewnego dnia zapukałem do bałaganiarza i poprosiłem, żeby respektował panujące w tym domu zwyczaje i nie powiększał swojej powierzchni mieszkalnej o wspólny korytarz. Zareagował bardzo ostro, najzwyczajniej w świecie zmieszał mnie z błotem, grożąc i proponując, żebym pilnował swego nosa. Wycofałem się i zaniechałem dyskusji. Po pewnym czasie dozorca poprosił go o uprzątnięcie korytarza. Gdy sąsiad wyrzucił go za drzwi, sprawa trafiła do administracji budynku i pracownicy nękali go dopóty, dopóki pod jego drzwiami nie zastali porządku. Mimo, że moja rola skończyła się na zwróceniu mu uwagi, to mnie przypisywał zorganizowanie całej akcji przeciw niemu i prawdopodobnie poprzysiągł mi wtedy dożgonną zemstę. Udało mu się to zrealizować szybciej, niż się spodziewałem. Rzeczony felieton okazał się pretekstem i uwiarygodnieniem ogromnej liczby sfabrykowanych dowodów na to, jak to z premedytacją uprawiam działalność na szkodę władzy ludowej. Konsekwencje nie dały na siebie długo czekać, zakaz jakichkolwiek moich publikacji, zniszczenie całego nakładu ostatnio wydanej powieści i inne szykany były tylko wstępem do tego, co miało mi się jeszcze przydarzyć: aresztowanie, skazanie na kilka lat więzienia... Byłem przesłuchiwany przez mego sąsiada, nawet nie starał się ukrywać satysfakcji z tego powodu...

Cicho sza! O tym nie będę pisać, to jeszcze nie zagojone, jeszcze nie nabrałem dystansu do ogromu upokorzenia i cierpień moralnych, które mi zgotowano. Moi prześladowcy osiągnęli jedno: jeśli byłem w duchu opozycjonistą, w wyniku ich intensywnej pracy wychowawczej zostałem nim zarówno w teorii, jak i w praktyce, natychmiast gdy znalazłem się poza murami więzienia. W konspiracji zetknąłem się powtórnie z Ewą. Po pamiętnym pobycie w Paryżu, kiedy to zauroczony Anną nawet nie pofatygowałem się zawiadomić jej o zerwaniu zaręczyn, jak struś chowając głowę w piasek, miała prawo nie spojrzeć w moją stronę. Wiem, że wtedy cierpiała; opowiadała mi o tym moja matka. Zachowałem się fatalnie, byłem tak zajęty sobą, że wszystko inne się nie liczyło.

Ewa była redaktorką moich książek w wydawnictwie, które je wydało. Śmiałem się, że zna od podszewki zarówno moje mocne, jak i słabe strony. Na początku nasze stosunki były bardzo napięte. Kiedy dostała do rąk pierwszy mój maszynopis, powiedziała obcesowo:

- Ma pan, oczywiście, coś do powiedzenia i dużą łatwość pisania, ale ta akurat cecha u ludzi pańskiego pokroju może okazać się zgubna.

- „Pańskiego pokroju!” - prychnąłem. - Co pani może o mnie wiedzieć? Żeby wydawać takie kategoryczne opinie, trzeba chyba najpierw człowieka trochę poznać...

- Wiem o panu więcej, niż pan sobie wyobraża - powiedziała, mierząc mnie rozbawionym spojrzeniem.

- Chyba na podstawie maszynopisu, bo nie pamiętam, żebyśmy mieli przyjemność kiedykolwiek się spotkać.

- Ma się rozumieć, że na podstawie maszynopisu. Po latach doświadczenia to mi absolutnie wystarcza.

- Głupia koza! - pomyślałem. Ta dziewczyna irytowała mnie coraz bardziej. Strasznie mi ważna pani redaktor! Ze słomianą grzywą niesfornie podskakującą nad czołem, w kiecuchnie do połowy uda, wygląda, jakby dopiero co zdała maturę, a obnosi się ze swoim wielkim doświadczeniem. Musiała chyba odgadnąć moją nieprzychylną ocenę, bo powiedziała:

- Nie musi się pan tak zaperzać, panie Henryku. Mając od czterech lat do czynienia z autorami, zdążyłam poczynić trochę obserwacji. Po prostu umiem wyciągać wnioski. Pan, niewątpliwie obdarzony talentem literackim, nie ma cierpliwości, żeby dopracować wszystko do końca. Nie zwraca pan uwagi na takie drobiazgi, jak znaki interpunkcyjne, błędy maszynowe i tym podobne, wedle pana, drobiazgi. Pośpiech pana gubi, prawdopodobnie myśli pan znacznie szybciej, niż pisze. Nie lubi pan oglądać się za siebie i nie należy do tych pedantycznych pisarzy, którzy każde zdanie przewalają po stokroć, zanim postawią po nim kropkę. Ludzie o takich wadach winni zatrudniać sekretarza, który wszystko wygładzi, uporządkuje. Na to jednak pan jeszcze nie jest w stanie zarobić. Jest pan człowiekiem utalentowanym, ale troszeczkę niedbałym i dlatego pozwoliłam sobie powiedzieć, że łatwość pisania, jaką pan posiada, może okazać się dla pana zgubna.

A to mnie szelma rozszyfrowała! Czuję, że mam czerwone uszy i nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa na całe to nietaktowne dictum acerbum\* .

\* (łac.) — gorzka prawda

I ta zmija ma być redaktorem mojej książki! Ładna to będzie współpraca, nie ma co!



- Przystąpmy jednak do rzeczy, oto moje uwagi dotyczące konstrukcji pańskiej powieści. Jeśli pan zechce się do nich zastosować i zrobić korektę, sądzę, że możemy liczyć na sukces. Oczywiście, ostatnie słowo należy do pana, ale proszę odrzucić emocje i wprowadzić zmiany, jakie proponuję. Wyjdzie to na dobre pańskiej książce. Czy zdoła pan uporać się z tym w ciągu miesiąca?

Ta dziewczyna zdumiewała mnie coraz bardziej. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto by był tak niezachwianie pewny siebie. Jej kategoryczny ton nie pasował do wręcz szczeniackiej zewnętrżności. Poza tym wypowiadała się z wyraźną kokieterią, co w moich oczach ujmowało jej wiarygodności zawodowej. Miało się niebawem okazać, jak bardzo się myliłem. Nie skrywając urazy zabrałem pokreślony i popstrzony uwagami maszynopis i zamknąłem się w domu, żeby się przyjrzeć z bliska temu, co ta zarozumiała gęś wymyśliła. Kiedy przeczytałem uwagi ogólne, najpierw myślałem, że mnie szlak trafi. Postanowiłem, że za nic nie zgodzę się na proponowane zmiany. Raczej zmienię wydawnictwo, niż pozwolę na jakiegokolwiek wyżywanie się tej próżnej i źle wychowanej pannicy nad moim tekstem. Potem, już tylko gwoli utwierdzenia się w moim postanowieniu, zacząłem strona po stronie czytać naniesione poprawki, a moja buńczuczność ustąpiła miejsca spokornieniu i co tu owijać w bawełnę - nawet zażenowaniu. Bo oto rzeczywiście przeoczyłem masę głupich błędów, słowem, mój maszynopis - mimo że go przecież, dalibóg, sprawdzałem - okazał się dość niechlujny i niedopracowany. Wszystkie przeoczone przeze mnie potknięcia poprawione starannym drobnym pismem Ewy przyprawiły mnie teraz o pałący wstyd. Ze zdumieniem musiałem też przyznać jej rację, kiedy w paru miejscach zamieniła jakieś użyte przeze mnie słowo na bardziej trafne lub przestawiła szyk zdana na taki, jaki nie przyszedłby mi do głowy. Po przeczytaniu całości byłem załamany. Szczerze mówiąc, dziwiłem się, dlaczego wydawnictwo zdołało w ogóle zainteresować się moją powieścią, skoro nawet tak młoda redaktorka, jak Ewa, tyle w niej znalazła błędów. Była nawet taka chwila, gdy uznałem, że powinienem całe moje wypociny wrzucić do pieca i raz na zawsze dać sobie spokój z pisaniem. Ewa proponowała w dodatku, żebym złagodził opis śmierci jednego z bohaterów, bo nie pasuje do konwencji całości, albo w ogóle tej postaci nie uśmiercał. Jakże mogłem tego zaniechać? Przemyślałem to, przywiązałem się do tej myśli i nie potrafię sobie wyobrazić innego

rozwiązania. Trzeba by zmienić potem również inne rzeczy i to już będzie zupełnie co innego...

Niemniej zadzwoniłem do Ewy, żeby omówić z nią szczegóły. Trochę się jeszcze targowałem o niektóre zmiany, ale była w swoich sądach tak pewna siebie, że ustąpiłem. Zawsze kapituluję przed ludźmi pewnymi siebie, czasem także wtedy, kiedy mam rację. Moja matka bardzo się tym irytuje.

- Zbyt łatwo dajesz się zbijać z tropu - powiada. - To twoja największa słabość, to cecha, która nie pozwoli twoim walorom wyjść na światło dzienne. Powinieneś to, synu, zmienić.

Ewa też bardzo szybko zorientowała się, że nie należę do ludzi przebojowych. Podczas kolejnych spotkań poświęconych redagowaniu mojej powieści zauważyłem pewną zmianę w jej sposobie przekazywania mi swoich opinii. Najwyraźniej gryzła się nieraz w język, żebym nie czuł się urażony taką czy inną uwagą.

Obserwowałem ją z rosnącym zainteresowaniem i kiedy zdecydowano, że książka jest gotowa do druku, zrobiło mi się żal, że nie będę mógł widywać tej, którą poprzednio obwołałem swoją dręczycielką.

- Nie cieszy się pan, że mamy to już za sobą? - spytała Ewa wyrównując pedantycznie stertę poprawionych kartek. - Jakoś po minie tego nie widać... A właściwie winien mi pan jest kawę...

- Właśnie! Powinniśmy jakoś uczcić zakończenie pracy. Pozwoli pani gdzieś się porwać?

- Bardzo chętnie, ale nie dzisiaj, na dzisiaj już jestem umówiona.

- Wobec tego poczekam, aż zdoła mnie pani umieścić w swoim harmonogramie - powiedziałem zawiedziony.

Spojrzała na mnie rozbawiona.

- Bezinteresowna zazdrość to nieładna cecha, panie Henryku.

- Skąd pani wie, że bezinteresowna?

- Powiedziałam to z żalem, nie zauważył pan?

- Czy pani redaktor mnie prowokuje?

- Bardzo pan domyślny, ale proszę nie pytać, czy postępuję tak z każdym autorem.

- Będę siedział jak mysz pod miotłą, pod warunkiem że wyznaczy mi pani spotkanie na neutralnym terenie.

- Na pewno do pana zadzwonię, nie wykręci się pan od spotkania.

- Obiecanki-cacanki...

Ewa zadzwoniła nazajutrz z pytaniem, czy nie miałbym ochoty obejrzeć słynnego Kabaretu z Lizą Minelli, bo udało się jej zdobyć bilety.

- Pomyślałam o panu, bo skoro i tak mieliśmy się spotkać...

- Bardzo dobrze, że pani pomyślała, ponieważ mam wielką ochotę obejrzeć z panią ten film, Ewo.

Tak to się zaczęło. Widywaliśmy się odtąd prawie codziennie. Zanim moja książka pojawiła się w księgarniach, byliśmy już zaręczeni. Ewa spodobała się mojej matce. Bardzo mnie to dziwiło, bo nie była wcale typem dziewczyny, jakie matka uważała za czarujące. Zawsze mówiła mi, że niewiasta zbyt praktyczna i obrotna, mocno stąpająca po ziemi, po trosze zatracająca kobiecość.

Uważała, że najbardziej kochane przez mężczyzn są panie bezradne i zagubione. Myślę, iż sama udawała przed ojcem, że jest właśnie taka, co w gruncie rzeczy nie było prawdą. Okazało się potem, gdy zostaliśmy sami, że potrafi być niezwykle twarda i dzielna.

Teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, wydaje mi się, że udawała bezradną po to, by on czuł się ważny i niezbędny. Inaczej rzecz się miała, gdy chodziło o jej młodszego i - wedle jej zdania - niezaradnego syna. Mimo że starała się nie wychowywać mnie na maminsynka, znała moje słabe strony i szybko zorientowała się, że dla nie dbającego o sprawy bytowe marzyciela taka partnerka, jak Ewa, to prawdziwy skarb. Przynajmniej jeśli chodzi o sferę zawodową, matka wykazała się niezwykłą intuicją. Jak bym nie patrzył teraz na przeżyte z Ewą lata, jednego wyprzeć się nie mogę: gdyby nie ona, nie odniósłbym połowy moich sukcesów. Tak, jak skutecznie zredagowała i przyczyniła się do poprawienia mojej pierwszej książki (za którą, notabene, dostałem prestiżową nagrodę), tak samo wszystkie moje późniejsze poczynania, zarówno literackie jak i życiowe, przeszły przez jej wnikliwą korektę. Los figlarz sprawiał, że nadopiekuńcza wobec mnie Ewa działała nieraz przeciw sobie, bo to ona wymyśliła mi ów pamiętny wyjazd do Paryża do brata, gdzie w spokoju i pięknym anturazie miałem skończyć kolejną książkę. Zamiast tego zadurzyłem się nieprzytomnie w podobnie jak ja niepraktycznej Annie i opiekowałem się nią, jej synem oraz starszą panią Amandą i jej trzema kociskami. W dodatku zupełnie zapomniałem o swojej narzeczonej.

Anna i Ewa — jakże były różne, jak bardzo do siebie niepodobne! Myślę, że w czasie stosunkowo krótkiej, bo ledwie kilkumiesięcznej mojej przygody z Anną potrafiłem być jej tym, kim nigdy nie byłem i nie jestem

dla Ewy. Samego mnie to zadziwia, bo przecież moje zauroczenie Anną było jednostronne, bez żadnej z jej strony zachęty i kto wie, czy chciane? Gdyby wtedy wiedziała, jakie na mnie robi wrażenie, jakie mrzonki na jej temat snują mi się po głowie, pewnie unikałaby mnie jak ognia.

Ewa potrafiła wykalkulować, zaaranżować wszystko, nawet płęć naszych dzieci. To ona wiedziała nieomylnie, z jakimi czasopismami powinienem współpracować, jaką książkę koniecznie muszę napisać, jakiego pomysłu zaniechać. Umiała wprowadzić mnie w zdumienie i podziw i nie zmieniło się to do dzisiaj. Jest z pewnością najbardziej metodyczną, pedantyczną i konsekwentną osobą, jaką w życiu spotkałem. Podejrzewam nawet, że w ogóle nie ma w tym sobie równych. Dotyczy to wszystkiego: zarówno pracy, jak i uczuć. Nie powiem, że zupełnie pozbawiona jest szczerości - takie twierdzenie byłoby niesprawiedliwe. Jednak wszystko, co robi i czuje, odbywa się w odpowiednim miejscu i czasie i ona decyduje, kiedy i gdzie to się dzieć powinno. Może nie jestem człowiekiem twardym, czy raczej nie bezwzględny w dążeniu do celu, ale przecież żyłem i tworzyłem, kiedy jej jeszcze przy mnie nie było. Teraz nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

- Henryk jest jak dziecko zagubione we mgle - powtarza wszystkim moja dzielna żona. - Gdybym nie organizowała jego poczynań, chyba nie potrafiłby sam oddychać.

To prawda, staram się stosować do jej poleceń, po pierwsze dlatego, że jestem skłonny do kompromisów, po drugie jest mi z tym wygodnie. Przy jej zapobiegliwości mam tak zwany „spokój na tyłach”, mogę się zająć tylko pracą. W tym względzie staram się sprostać jej oczekiwaniom. Czy naprawdę? Chyba się zagalopowałem. Powinienem użyć tu czasu przeszłego... Dawniej bowiem udawało mi się nie zawodzić pokładanych we mnie nadziei, ostatnio zupełnie się to zmieniło.

Miałem pisać o Annie, dlaczego tak się dzieje, że analizuję zamiast tego moje życie u boku Ewy? Chyba dlatego, że tylko te dwie kobiety, poza matką oczywiście, liczą się w moim życiu. Zdaję sobie sprawę z tego, jak to stwierdzenie jest niesprawiedliwe w stosunku do mojej żony, ale nic na to nie mogę poradzić.

Ewa jest zdania, że wiele rzeczy w życiu można zaplanować i ona rzeczywiście ma do tego niezwykły talent. Ze mną jest inaczej, jestem igraszką losu. Raczej skłonny jestem uważać, że wszystko zależy od takich czy innych zbiegów okoliczności. Dlatego wszelkie dyskusje z moją żoną na tematy egzystencjonalne bardziej oddalają nas od siebie, aniżeli łączą.

Gdybym nie miał zawziętego sąsiada z bezpieki, nigdy nie dostałbym się do więzienia, może nawet nie walczyłbym potem z taką desperacją, na jaką się poważylem. No i nie zdobyłbym sobie opinii uciemięzonego bohatera obłożonego zakazami i restrykcjami. Bohater z przypadku i mimo woli - to bardziej do mnie pasuje niż ów niezasłużony podziw, jaki mnie otaczał. Sam to wiem najlepiej.

Ewa pracowała wtedy w wydawnictwach podziemnych, to ona sprawiła, że zaczęto mnie drukować w tak zwanym drugim obiegu. Długo nie wiedziałem, komu zawdzięczam perfekcyjną redakcję tomu moich opowiadań i zbioru szkiców literackich.

Spotkaliśmy się przypadkowo na konspiracyjnym zebraniu w roku 1976. Ja uważam, że przypadkowo, a ona twierdzi, że szczegółowo to zaplanowała. Straciłem właśnie wtedy matkę, czułem się bardzo osamotniony i z radością, choć i z niejakim zażenowaniem odnalazłem Ewę na nowo. O Annie wprawdzie nie zapomniałem, ale spisałem ją na straty, upłynęło dość czasu, abym ostygł w moich daremnych afektach. Pierwszym wrażeniem, jakie mnie ogarnęło na widok Ewy, był wstyd, że tak nieelegancko wobec niej ongiś się zachowałem. Była jeszcze bardziej atrakcyjna niż przed laty, jak zwykle zadbana i elegancka i z przyjemnością odnotowałem, że nabrała klasy. Ujęła mnie tym, że zdawała się nie pamiętać cierpienia i upokorzenia, na które ją naraziłem. Wiedziała o śmierci mojej matki, w ogóle wszystko o mnie wiedziała. Zaczęliśmy się spotykać i bardzo szybko wróciła dawna zażyłość. Pamiętając jednak moje przewinienie, nie byłem skłonny do deklaracji. Tym bardziej, że byłem równocześnie uwikłany w bardzo przyjemną, acz niezobowiązującą przygodę z pewną śliczną panią. Mieszkała ze swoim mężem marynarzem o piętro wyżej w tej samej co ja kamienicy. Zapukała kiedyś do mnie z prośbą o autograf na mojej książce, którą kupiła przed laty.

- Proszę mi wybaczyć natręctwo, ale kiedy dowiedziałam się, że to pan jest tym sławnym Henrykiem Nowakiem, nie mogłam się oprzeć. Mam nadzieję, że pan mi nie odmówi i złoży podpis na mojej ulubionej lekturze?

- Nie odmawia się pięknym kobietom - powiedziałem przyglądając się jej z ukontentowaniem.

Bo też było na czym zawiesić wzrok! Platynowe włosy spadające na ramiona, piwne oczy o figlarnym spojrzeniu, długie opalone nogi i dekolt odsłaniający akurat tyle, żeby pobudzić wyobraźnię.

- Komu mam zadedykować?

- Marzenie Radeckiej, jeśli pan taki miły...

- To dla pani?

- Oczywiście.

Uzyskawszy pewność podpisałem, jak następuje: „Pani Marzenie, pięknej jak marzenie, z podziwem - Henryk Nowak”.

- Jak pani mnie tu znalazła? - zainicjowałem rozmowę, bo chciałem, żeby jeszcze trochę została.

- O, to nie było trudne. Figuruje pan przecież na liście lokatorów. Kiedy zobaczyłam to nazwisko, zapytałam męża, czy jest pan pisarzem. Potwierdził, a potem zobaczyłam pana i...

- Obawiam się, że męża nie zachwyci treść dedykacji. Cóż, nie przyszło mi do głowy, że już zdążyła pani wyjść za mąż...

- Dziękuję panu - wzięła ode mnie książkę i zamknęła ją nie czytając tego, co napisałem. - Będzie to dla mnie cenna pamiątka.

Wyszła do przedpokoju, odwróciła się i obdarowała mnie szerokim uśmiechem. Nie nieśmiałym, bynajmniej.

Były to pierwsze dni po opuszczeniu przeze mnie więzienia. Zapach perfum urodziwej Marzeny, jej głos (jeszcze dźwięczący mi w uszach), figlarne oczy - wszystko to uświadomiło mi nagle, jak dawno nie miałem kobiety. Myśli moje zboczyły na bardzo nieprzyzwoite tory...

Owo nieznaczące zdarzenie połechtало też przyjemnie moją próżność i zmobilizowało mnie do tego, żeby zasiąść przy biurku.

- Napiszę - pomyślałem - opowiadanie erotyczne, rozładuję w ten sposób napięcie.

Dałem upust fantazji i ani się spostrzegłem, jak zapisałem siedem kartek. Były to wierutne bzdury i wiedziałem, że nigdy nie poważę się ich opublikować, ale pisanie sprawiało mi przyjemność. Z pewnością spędziłbym tak przynajmniej połowę nocy, gdyby ostry dzwonek telefonu nie przerwał mego natchnienia.

Podniosłem słuchawkę.

- Nie może pan spać? - odezwał się dźwięczny głos Marzeny. - A może przeszkodziłam panu w tworzeniu?

Byłem tak zaskoczony, że upłynęła spora chwila, zanim zdołałem się odezwać.

- Kto mówi? - zapytałem, chociaż nie miałem co do tego wątpliwości.

- Marzena Radecka, byłam u pana dzisiaj po autograf, pamięta pan?

- Chyba sobie przypominam... - droczyłem się. Uświadomiłem sobie, że nie wypadam w tym najmądrzej. Pomyśli jeszcze, że jestem kabotynem, tak jakbym chciał jej dać do zrozumienia, że drzwi się u mnie nie zamykają, bo piękne kobiety szeregami pchają się przez nie po autografy.

- Żartowałem — pośpieszyłem ze sprostowaniem. - Pani łatwo zapada w pamięć. Udawałem tylko z obawy przed mężem, bo gdyby nas usłyszał...

- Spokojna głowa, nie usłyszysz. Jego statek pruje fale gdzieś tam w okolicy Labradoru.

- Jego statek? Jest armatorem??

- Zaledwie bosmanem - roześmiała się. - To i tak nieźle w jego wieku, no nie?

- Teraz wszystko rozumiem. Dzielny bosman wyrusza w rejs, a jego piękna, młoda żona...

- Jest pan okropny! Wcale nie o to chodzi! Zresztą... Usłyszałem energiczny stukot i połączenie zostało przerwane. Nie było to zbyt grzeczne z mojej strony, nie powinienem był tego mówić. Ba! Ale co tam... i tak nie dla psa kiełbasa. Uspokojony tym rozsądnym stwierdzeniem, poszedłem pod prysznic. Ledwie odkręciłem wodę, gdy telefon znowu się rozdzwonił. Owinąłem się szlafrokiem i podreptałem na bosaka do pokoju, zostawiając na dywanie mokre ślady.

- Ja wcale nie szukam przygód - odezwała się Marzena. - Pan może jest przyzwyczajony do tego, że wszystkie na pana lecą, ale ja nie jestem taka. Po prostu przeczytałam to, co pan mi napisał, i chcę zapytać, czy chciał pan sobie ze mnie zażartować? Czy przychodząc do pana zachowałam się niewłaściwie? Tak pan uważa?

- Uważam, że napisałem prawdę i tylko prawdę. Cieszę się, że pani się u mnie zjawiała. Nie co dzień zdarza mi się coś tak miłego.

- Naprawdę tak pan myśli?

- Mam przysiąc?

- Nie trzeba. Życzę panu dobrej nocy...

- Zaraz, zaraz, skoro już wyciągnęła mnie pani spod prysznic, nie może pani tak wyłączyć się w środku zdania.

- Dlaczego?

- Bo ja chcę z panią jeszcze porozmawiać.

- Nie wierzę.

- Straszna z pani kokietka.

- Znowu pan zaczyna?

- Skończę, jeśli podyktuje mi pani numer swego telefonu; też bym czasem zadzwonił.

- Pan do mnie? Nie wierzę.

- Przekona się pani, no... czekam!

- Nie wiem doprawdy... Jeśli pan rzeczywiście chce zadzwonić, to niech się pan potrudzi tak jak ja i zdobędzie mój numer.

- A jak pani zdobyła?

- Przepisałam z książki telefonicznej. Po prostu.

- Nie omieszkałam skorzystać z pani doświadczenia. - Cichutki stukot słuchawki o widełki i cisza, która po nim nastąpiła uświadomiły mi, że teraz ja muszę się postarać. Czy rzeczywiście musiałem? Na pewno nie. Nawet nie powinienem. Tylko że bardzo tego chciałem i to był wystarczający powód.

Flirtowaliśmy z Marzeną coraz intensywniej przez telefon. Było zabawnie, ale przestało mi to wystarczać. Pewnego wieczoru udało mi się wyciągnąć ją z domu. No i stało się. Wpakowaliśmy się w romans bez sensu... Miał swoje odpływy i przypływy, podobnie jak oceany, po których żeglował pewien nieświadomy niczego bosman... Z tajemnych spotkań wychodziłem odprężony i zadowolony, o ich bohaterce nie rozmyślałem wiele, po prostu zaczynałem zajmować się czym innym. Marzena nie stawiała mi warunków, nie wymagała oświadczeń i zapewnień. Nie narzekała na męża, jak to mają w zwyczaju niewierne żony. Unikaliśmy zgodnie rozmów na jego temat, poza wymianą wiadomości o terminach rejsów. Czasem kochając się z nią myślałem o Annie. Nigdy zaś o Ewie, chociaż poza tym była ona stale obecna w moich myślach. Mieliśmy od początku wiele ważnych wspólnych ścieżek. Przede wszystkim nie mogłem obejść się bez niej w sferze ducha. Wymienialiśmy wrażenia o przeczytanych książkach, razem chodziliśmy do kina, teatru, zasięgałem jej opinii w wielu dziedzinach, nawet o ludziach z konspiracji wiedziała więcej ode mnie. To rozumiała, dłużej w tym tkwiła. A najważniejsze, że mogłem z nią rozmawiać o mojej utraconej matce, bo Ewa dobrze ją znała. To też się liczy.

Matka pewnie żyłaby znacznie dłużej, gdyby nie szykany władz wobec mnie. Tego było za wiele dla jej zmęczonego serca. Dlatego wciąż będę się czuł winnym jej śmierci, chociaż nie z własnej woli poszedłem do więzienia.



Jak sięgam pamięcią, zawsze miałem w życiu szczęście do mądrych kobiet i to trwa, bo teraz już i moja córka Beata potrafi mnie zadziwić odczytaniem i dojrzałością sądów.

A Marzena przede wszystkim działała na moje zmysły. Była tak piękna, pogodna i miła, że cechy te przyćmiewały jej inne walory. Dopiero przy rozstaniu uświadomiłem sobie, jak była taktowna i pozbawiona egoizmu. W czasie trwania naszej przygody nigdy nie odczułem, że przeżywa rozterki, że ma wyrzuty sumienia. A przecież to wszystko jej nie ominęło, bo nie była osobą bez serca. Ona wszystkie ciemne strony naszego związku zostawiała sobie, mnie obdarzając tym, co najlepsze. Toteż nic dziwnego, że było mi z nią dobrze.

Nie wiem, ile by się to jeszcze ciągnęło, gdyby nie Ewa. Gdyby nas nie wyśledziła, może nigdy nie zostałaby moją żoną? Bo, jak już wspomniałem, nie byłem skłonny do deklaracji ani jakichkolwiek zmian w moim życiu. Musiała najpierw zerwać się burza, abym mógł sobie uświadomić, kto ile dla mnie znaczy.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ewa nie miała zwyczaju przychodzić do mnie bez uprzedzenia, nie wchodziło to w ogóle w rachubę przy jej pedantycznym usposobieniu. Dlatego tak długo, bo ponad półtora roku udawało mi się godzić obie znajomości. Zresztą, nie postępowałem tak z premedytacją, po prostu w obu przypadkach nie czułem zobowiązań. Miałem się wkrótce dowiedzieć, że to „typowy symptom ułomności męskiej etyki”.

Tego dnia przybiegła do mnie wstrząśnięta wieścią o aresztowaniu naszego przyjaciela. Zanim weszła do bramy, spojrzała w górę i zobaczyła światło w moich oknach. W tym czasie, kiedy ona czekała na windę, a potem jechała nią na górę, ja nie wiedząc o tym zdążyłem zgasić światło, zamknąć drzwi i pokonać schody piętra dzielącego mnie od mieszkania Marzeny. Minąłem się ze schodzącym z góry mecenasem Pietraszewskim, który nigdy nie korzystał z komfortu posiadania windy. Był to jego sposób na uniknięcie zawału. Problematycznie skuteczny, ale dzięki swoim wędrówkom po schodach mecenas znał lepiej niż inni mieszkańców naszej kamienicy. Mimo, że nasze spotkania z Marzeną nie były tajemnicą Poliszynela, ruchliwy imć Pietra-szewski widział nas kilka razy przemykających między piętrami. Muszę przyznać, że okazał się bardzo dyskretny. Poza tym jednym, jedynym razem, kiedy spotkał Ewę dzwoniącą do moich drzwi. Zagadał do niej, bo mu się pewnie spodobała, stary wróbel znał się na kobietach.

- Szkoda fatygi, szanowna pani. Właściciela nie ma w domu.

- Widziałam światło w jego oknach - usprawiedliwiła się, nie przestając naciskać dzwonka.

- Pewnie zapomniał zgasić, sam bym zapomniał o bożym świecie, gdybym podążał tam, gdzie on. Radzę przyjść jutro, bo jego nieobecność może się przedłużyć.

- Rany boskie, zabrali go?!

Mecenas Pietraszewski był już niemal o piętro niżej, kiedy dobiegły go ostatnie słowa Ewy. Ton, w jakim zostały wypowiedziane, sprawił, że przystanął. Zobaczył, że dziewczyna blednie i opiera się o ścianę, żeby nie stracić równowagi.

- ... Zabrali go... tego właśnie się bałam! - powtórzyła cicho.

- O czym pani mówi? Kto miałby go zabrać? Przed trzema minutami widziałem, jak maszerował różnym krokiem do swojej bogdanki.

- Henryk?

- Henryk Nowak, a jakże! A pani szanowna kogo miała na myśli?

- Chwała Bogu! Tak się zdenerwowałam. Usiadła na schodach. Mecenas pochylił się nad nią.

- Nic pani nie jest?

- Dziękuję panu, wszystko dobrze... muszę trochę ochłonać, to tylko nerwy.

Ponieważ nadal była bardzo blada, starszy pan nie śpieszył się z odejściem.

- Czy pani jest krewną pana Henryka? Przyjechała pani spoza Warszawy?

- Nie, nie... naprawdę wszystko w porządku, on jest moim kolegą. Mam mu do przekazania ważną wiadomość, ale poradzę sobie, proszę się nie niepokoić.

- Jeśli to coś naprawdę ważnego... No cóż... chyba nic się nie stanie, jeśli zakłócimy tę schadzke. Bo widzi pani, to bardzo pikantna historia. Tutaj, o piętro wyżej mieszka śliczna słomiana wdówka i on zdaje się korzystać z nieobecności jej małżonka. No, ale skoro pani ma dla niego pilną wiadomość, nic się nie stanie, jeżeli go na chwilę wywołamy.

- Nie! Bardzo panu dziękuję, nie ma takiej potrzeby. Zostawię mu kartkę w drzwiach.

- Jak pani chce... gdybym jednak mógł być pomocny...

- Dziękuję, już i tak zabrałam panu sporo czasu. Naprawdę dam sobie radę.

Wyjęła z torebki długopis, wyrwała kartkę z notesu i usiadła na schodach. Pietraszewski ociągając się zaczął schodzić na dół. Ewa odczekała do chwili, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych na klatkę schodową, schowała do torebki długopis oraz notes i starała się pozbierać myśli. Nie wiedziała, co ze sobą począć. Powinna uciec stąd jak najszybciej. Tak strasznie bała się o Henryka, a on tymczasem zabawia się w lowelasa! Koszmar. A właściwie dlaczego ma wierzyć jakiemuś staremu plotkarzowi? Pewnie sam ma ochotę na tę „słomianą wdówkę” i kosmate myśli chodzą mu po głowie.

- Pójdę już lepiej i zadzwonię do niego z domu...

Podeszła do windy, nacisnęła guzik i ogarnął ją żal. Chciała go przecież zobaczyć, podzielić się zmartwieniem, upewnić się, że jest bezpieczny. Winda zatrzymała się, światelko zapaliło się i zgasło, a ona stała nieruchomo. A jeśli to prawda, co mówił ten człowiek? Jakże to możliwe,

przecież Henryk nie jest typem dziwkarza... A jednak raz ją już zawiódł. To się nie może zdarzyć drugi raz, nie rozmawiali wprawdzie teraz o przyszłości, ale wydawało się jej oczywiste, że kiedyś będą razem.

Co za paradoksalna sytuacja! Kiedy tu biegła z duszą na ramieniu, nie uwierzyłaby, że przyjdzie jej zmierzyć się z takim problemem. Poczła nagle, że po policzkach płyną jej łzy. Niech się dzieje co chce, ale nie będzie tego odkładać na później. Musi znać prawdę, nawet kosztem upokorzenia. Powoli, stopień po stopniu wspięła się na następne piętro. Schody były oddzielone od windy oszklonymi drzwiami. Cały ruch mieszkańców domu odbywał się przy windach. Nie wiedziała, w którym konkretnie lokalu mieszka owa „bogdanka” Henryka, ale na pewno go nie przegapi, gdy będzie wychodził, zwłaszcza że podobno chodzi do niej po schodach...

Tak to wyglądało w relacji Ewy, opowiedziała mi o tym dużo później. Tej nocy wyszedłem od Marzeny po północy, właściwie wyszliśmy oboje, bo odprowadziła mnie do schodów. Właśnie całowaliśmy się na dobranoc, kiedy ktoś zapalił światło.

- Ewa? Co ty tu robisz o tej porze?

- A ty? - odpowiedziała pytaniem.

Konsternacja moja nie miała granic. Co za fatalny zbieg okoliczności, skąd ona się tutaj wzięła? Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to nie żaden zbieg okoliczności, ona tu jest specjalnie, czeka na mnie. Doczekała się oto i stoi mizerna, z rozmazanym na policzkach tuszem i ze spuszczoną głową, ogromnie zmieszana i bezradna...

- Może zaprosimy panią na chwilę do mnie - przerwała Marzena niezręczną sytuację - czy coś się pani stało? Nie wygląda pani najlepiej.

Zobaczyłem, jak Ewa zaciska usta, jak z trudem powstrzymuje się, żeby nie wybuchnąć albo się nie rozplakać. Jedno i drugie zupełnie do niej niepodobne.

- Marzenko, to raczej ja się nią zajmę, to moja znajoma - powiedziałem.

- Nie! - zaprotestowała Ewa. - Nie mam już ochoty iść do ciebie. Jest za późno. Chcę ci tylko powiedzieć, że zabrali Wojtka Miłkowskiego, przyszedłem tu, bo bałam się o ciebie. Jak widać, niepotrzebnie...

- Chodź do mnie, porozmawiamy.

- Tylko tyle miałam ci do powiedzenia. Dobranoc.

- Odwiozę cię.

- Dziękuję, mam samochód na dole.

Po tych słowach ruszyła w stronę windy. Poszedłem za nią, ale wsiadła szybko i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Zbiegłem po schodach w nadziei, że ją dogonię. Kiedy jednak dotarłem na dół, nie zdołałem nigdzie dojrzeć jej samochodu. Mój stał na parkingu strzeżonym, o dwie przecznice dalej, ale gdybym pojechał za nią, musiałbym zrobić pobudkę w domu jej rodziców, a na to było stanowczo za późno. Wróciłem więc do siebie.

Wszystko to działo się tak szybko, że dopiero kiedy zostałem sam, zacząłem sobie uświadamiać na dobre, co się zdarzyło. Dotychczas czułem się wolny i nie widziałem nic zdrożnego w tym, że spotykam się z Marzeną, może niekiedy dręczyły mnie tylko niewielkie skrupuły wobec jej męża. Ponieważ jednak nigdy go nie widziałem, ba! nawet starałem się zniknąć z pola widzenia, kiedy on się pojawiał, żeby nie prowokować niezręcznych sytuacji. Zatem ponieważ go nie znałem, był dla mnie postacią iluzoryczną. Zakodowany w świadomości fakt jego istnienia był w jakimś sensie podniecający - wiadomo, zakazany owoc, a temu zawsze towarzyszy dreszczyk emocji. Do traktowania przeze mnie sprawy w ten sposób przyczyniła się sama Marzena, która zdawała się problem zdrady i naszej winy bagatelizować, udzielając mi tym samym rozgrzeszenia. Nie myślałem jednak w tej chwili o niej. Martwiłem się Ewą. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Było mi wstyd i nie mogłem sobie darować, że w tak brutalny sposób dowiedziała się o istnieniu tej drugiej. Chciałem ją pocieszyć, wszystko jej wytłumaczyć, przeprosić, a nade wszystko nie chciałem utracić jej przyjaźni i w ogóle jej obecności przy mnie, a czułem, że teraz się to zmieni.

Kiedy minęło tyle czasu, ile potrzebowała, żeby dojechać do domu, postanowiłem do niej zadzwonić.

- Halo? - odezwała się cichym, zmienionym głosem.

- Ewuniu, muszę z tobą porozmawiać.

- Dajże ty mi święty spokój. Jest późna noc, w domu wszyscy śpią. Jeśli wynikną jakieś ważne sprawy, skontaktuję się z tobą.

- Ewa, błagam, nie odkładaj słuchawki, wysłuchaj mnie...

W trakcie tych słów połączenie zostało przerwane. Nie starczyło mi odwagi, by ponownie wybrać numer, mogłem obudzić kogoś z jej domowników. Zbliżała się druga nad ranem, wiedziałem, że w żaden sposób nie zasnę. Miałem przed oczami wymizerowaną, zapłakaną twarzyczkę Ewy i nie mogłem uciec od tego obrazu.

Snułem się po mieszkaniu, zapaliłem papierosa, nie smakował mi, nalałem sobie kieliszek wódki i nie wypilem. Usiłowałem wziąć się do pracy, ale nic z tego nie wyszło. Po godzinie takiej mitręgi zadzwonił telefon, zerwałem się do niego tak gwałtownie, że przeróciłem kieliszek z trunkiem. Widziałem, jak rozlewa się po kartkach felietonu, który miałem nazajutrz oddać do druku, ale w tej chwili za ważniejsze uznałem podniesienie słuchawki, bo Ewa nie powinna zbyt długo czekać.

- Słucham? - powiedziałem ochrypłym głosem.

- Henryk? Henryk to ty? - spytała Marzena. Przełknąłem ślinę.

- Tak, to ja, Henryk.

- Odezwałeś się głosem zmienionym nie do poznania.

- Bo spałem... — skłamałem.

- Henryk... czy mogę na chwilę przyjść do ciebie?

- Muszę wcześniej wstać, dajmy temu dzisiaj spokój.

- Ja w ogóle zamierzam dać ci spokój, ale przedtem musimy porozmawiać.

- Nie gniewaj się, ale nie mam dzisiaj nastroju...

- Henryk, proszę cię, nigdy cię o nic nie prosiłam... Milczałem. Uświadomiłem sobie, że to prawda, ona rzeczywiście nigdy mnie o nic nie prosiła... Ja też powinienem z nią porozmawiać, ale wolałem to odłożyć na kiedy indziej, bo miałem nadzieję, że może zadzwoni Ewa.

- Henryk, proszę cię... Chyba, że nie jesteś sam...

- Dobrze... przyjdź - powiedziałem zrezygnowanym tonem.

- Mój Boże! Jak ja dla ciebie mało znaczę... - westchnęła. - Zaraz będę.

Uchyliłem drzwi i czekałem na nią w przedpokoju. Nie rzuciliśmy się sobie w objęcia, jak to mieliśmy w zwyczaju.

- Wcale jeszcze nie spałeś! - powiedziała patrząc na moje ubranie. - No cóż, spodziewałam się tego...

- Wejdz, rozgość się. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję... Albo... masz jakiś alkohol? Może być to tutaj - wskazała na butelkę jarzębiaku stojącą na biurku. - Coś tu sobie pozalewałeś.

- Rzeczywiście, cholera! Mój artykuł!

Marzena wyjęła z kieszeni chusteczki i pośpieszyła mi z pomocą.

- Poczekaj, powycieram delikatnie, masz żelazko?

- Żelazko???

- Żeby uratować twój artykuł, głuptasie.

Przyniosłem żelazko i napełniłem kieliszki. Była tak zaambarasowana suszeniem moich kartek, że nie zwracała uwagi na to, co robię. W ogóle nie patrzyła na mnie, pochłonięta swoim zajęciem. Nie mówiła nic, ja też się nie odzywałem, patrzyłem, jak wysuszone i wygładzone kartki wracają do normalnego wyglądu. Kiedy skończyła, uśmiechnęła się nerwowo, wzięła kieliszek i odezwała się:

- Za nasze rozstanie! Żebyś mnie nie wspominał źle.

- Wyjeżdżasz? - spytałem z głupia frant.

- Nie zgrywaj się... Wiesz przecież, o czym mówię.

- O czym?

- Mój Boże, przecież nie jesteś tchórzem. Nie ty! Otwierałem już usta, żeby powiedzieć jakieś nieszczere głupstwo, ale ona przyłożyła palec do warg, a potem przechyliła kieliszek i wypila alkohol duszkiem.

- Zrób to samo co ja - doradziła. - To nam pomoże. A teraz posłuchaj: zawsze wiedziałam, że przyjdzie taki dzień jak dzisiaj. Różnie sobie ten kres wyobrażałam, ale byłam pewna, że to się musi skończyć. Żyłam w okropnym napięciu i cieszę się, że mam to już za sobą...

- Nic mi nie mówiłaś, myślałem, że...

- Ach, nie! Nie rozumiesz mnie, to trwało, bo ja tego chciałam, ale wiedziałam, że tak naprawdę nie liczę się dla ciebie.

- I ty to mówisz? To nie ja jestem związany...

- A gdybym nie była? Czy to by coś zmieniło? Głowę daję, że nie. Tylko nie myśl, że przyszłam robić ci wymówki czy coś w tym rodzaju!... Po prostu chcę, żebyś znał całą prawdę, żeby do ciebie dotarła, choć się przed tym bronisz.

- Przed niczym się nie bronię, ale nie rozumiem, skąd to podniosłe przemówienie. Nie praw mi kazań, Marzenko, to do ciebie niepodobne!

- Co ty w ogóle o mnie wiesz?

- Myślę, że sporo, akurat tyle, aby od tak dawna chcieć cię widywać.

- A zastanowiłeś się choć raz, czego ja chciałam?

- Odnosiłem wrażenie, że chcieliśmy tego samego. Jeśli się mylę, przepraszam.

- „Chcieliśmy...” - widzisz, już używasz czasu przeszłego, już to spisałeś na straty.

- To ty wznosisz toasty za rozstanie.

- Zgoda. Bo dłużej tak żyć nie mogę. Nie jestem typem flirciary i naprawdę nie spotykałam się z tobą dla zabicia nudy, ani w poszukiwaniu

mocniejszych wrażeń, kiedy mąż wyjeżdżał. Ja go kiedyś kochałam i naprawdę nie chciałam go zdradzać. Ale zjawileś się ty i wszystko się zmieniło. Ja - egzaltowana miłośniczka książek i ty - pisarz, ucieleśnienie moich dziewczęcych marzeń. Bo jako nastolatka śniłam nie o księciu z bajki, ale o człowieku bogatym duchem, który będzie prowadził ze mną długie rozmowy o tym, co widzę, co czytam, co czuję... Bo, widzisz, dla mnie kolosalne znaczenie ma wymiana myśli. To paradoks - ale nie było jej między nami. To paradoks, bo kto jak kto, ale człowiek o twojej kondycji intelektualnej i dużej wrażliwości musi potrzebować wymiany myśli z bliską osobą. Czekałam, że zdarzy się cud i zaczniemy ze sobą rozmawiać.

- Przecież rozmawialiśmy.

- W sposób ograniczony. Ale ja cię o to nie obwiniam. Po prostu nigdy nie stałam ci się aż tak bliska, abyś chciał się otworzyć przede mną.

- Co też ty mówisz, Marzenko.

- Wiem, co mówię. Czasem po twoim wyjściu wypłakiwałam się w poduszkę, tak bardzo chciałam porozumienia dusz, a nie tylko seksu. Tysiące razy obiecywałam sobie, że położę temu kres, bo bez tej całej romantycznej otoczki, jaką sobie wymarzyłam, to, co się między nami działo, było zwykłym łajdactwem...

- Nie bądź trywialna, nie do twarzy ci z tym.

- Kicham na to! Wiem, że jestem nienowoczesna i egzaltowana, ale moje oczekiwania są takie, a nie inne, i nic na to nie poradzę. Ty też nic na to nie poradzisz, że czułeś do mnie to, co czułeś, i ani grama więcej. Może teraz nie jesteś w stanie mnie zrozumieć, ale kiedyś to pojmiesz, kiedy kogoś będziesz kochał, a nie tylko pożądał...

Byłem wstrząśnięty. Nigdy nie myślałem o niej źle, ale też nigdy tak dobrze, jak na to zasługiwała. Wydawało mi się, że nasze spotkania dostarczają nam obojgu sporo radości. Po tym, co usłyszałem, uświadomiłem sobie, że traktowałem ją w sposób instrumentalny. Nie chciałem jej ranić, a czyniłem to.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wszystkim wcześniej?

- Myślałam, że mnie z czasem pokochasz, jeśli będę zachowywała się tak, jak tego oczekujesz.

- Demonizujesz, przecież nie brakło uczucia między nami.

- Ta dziewczyna, która tu była... czy dawno się znacie? Kochasz ją?

- Nie zadawaj mi takich pytań.

- Dlaczego? Ty przez cały czas wiedziałeś o istnieniu mego męża.



- To nie to samo. Przed laty Ewa miała zostać moją żoną. Porzuciłem ją, bo zadurzyłem się w innej bez wzajemności. Po latach, już po tym, jak poznałem ciebie, znowu ją spotkałem. Łączą nas sprawy wielkiej wagi, wspólne zainteresowania, wzajemny szacunek i przyjaźń, ale po naszym ponownym spotkaniu nie snuliśmy planów na przyszłość. Może dlatego, że nie pilno mi było rezygnować z ciebie...

- Ależ ona cię kocha!

- Skąd ty to możesz wiedzieć?

- Choćby stąd, że jestem w takiej samej sytuacji... Powiem ci więcej, ty też ją kochasz. To o nią się martwiłeś, to przez nią nie mogłeś zasnąć, to na nią czekałeś - dlatego nie chciałeś, żebym przyszła. Nie zobaczymy się więcej...

- Marzenko, jesteś wspaniałą kobietą i żałuję, że nie potrafiłem okazać się taki, jakiego mnie sobie wymarzyłaś. Nie jestem wart kogoś takiego jak ty...

- Lepiej nic już nie mów... powiedz tej swojej Ewie, że ją kochasz i bądźcie szczęśliwi, a ja... ja spróbuję odbudować to, co zniszczyłam, jeśli potrafię...

Marzena nie była w stanie powstrzymać łez. Wziąłem ją w objęcia i tuliłem jak dziecko. Nie miałem odwagi jej pocałować, wydawało mi się to niestosowne.

- Żeby ci ułatwić zadanie, ja się usunę... - powiedziała.

- Jak zamierzasz to uczynić?

- Nie będzie żadnych melodramatycznych gestów, nie bój się. Po prostu spełnię pragnienie mego męża. Udaje się, jak ci mówiłam, w rejs wycieczkowy po Zatoce Sw. Wawrzyńca. To bardzo atrakcyjna trasa. Raz na dwa lata każdy z załogi oficerskiej ma prawo zabrać na statek kogoś z najbliższej rodziny. On bardzo chce popłynąć tam ze mną. Ociagałam się z wiadomych powodów... Wiesz, kiedy odeszliście spod moich drzwi, zrozumiałam, że nadeszła pora na zmiany. Nie przyszło mi to łatwo. Najpierw ogarnęła mnie rozpacz, a potem zadzwoniłam do Leszka, wyrwałam go ze snu. Jutro załatwi wszystko z armatorem, polecę do Montrealu i tam wsiądę na statek.

Przycisnąłem ją do piersi z całych sił, ale milczałem. Cóż mogłem powiedzieć, nawet jeśli czułem żal, że zamyka się oto piękny okres mego życia? Tym bardziej, że ona już podjęła decyzję za nas oboje. Musiała myśleć o tym wiele razy... Wiedziałem, że nie jestem w stanie ofiarować jej tyle, na ile zasługuje, nie miałem prawa jej zatrzymywać.

Delikatnie wysunęła się z moich ramion, wspięła się na palce i musnęła mnie ustami w policzek. Pochyliłem się nad nią, żeby oddać pocałunek, szukałem ust, ale uchylła się i moje wargi dotknęły jej nosa. Roześmieliśmy się oboje, wprawdzie nerwowo, ale rozładowało to nieco napięcie.

- Widzisz - powiedziałem - czytam w twoich myślach.
- A co ja takiego myślałam?
- „Pocałuj mnie w nos”. Znowu się roześmieliśmy.
- No to bywaj... i pomyśl o mnie czasem, jak ci będzie smutno...
- O „Marzenie pięknej jak marzenie”... - pamiętasz?
- Nie utrudniaj i... nie odprowadzaj mnie...

Chciałem coś jeszcze powiedzieć, ale nie dała mi szansy, zamknęła cicho drzwi i już jej nie było. Kiedy odgłos jej lekkich, powolnych kroków ucichł, wróciłem do pokoju. Nie było mi wesoło, ale poczułem się odprężony i... senny. Otaczał mnie jeszcze zapach jej perfum, w uszach dźwięczały jej słowa, ale pod powieką pojawiła się twarz

Ewy. Czy zechce mi raz jeszcze uwierzyć? - to była ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Nazajutrz czekając na telefon od Ewy odwoływałem kolejne spotkania w mieście, nawet poprosiłem, żeby goniec z redakcji przyjechał po zamówiony felieton. Po południu złamałem się i zadzwoniłem. Zgłosiła się jej matka:

- Przykro mi, ale Ewy nie ma. Wyjechała na kilka dni. Myślałam, że razem to ukartowaliście. Taka była tajemnicza.

- Niestety, ja jestem tutaj. A dokąd wyjechała?

- Nie wiem. Powiedziała, że jak dotrze na miejsce, to zadzwoni. Z pewnością do ciebie również.

- Tak powiedziała?

- Przecież to oczywiste.

- Obawiam się, że nie. Zaistniało pewne *qui pro quo*, Ewa miała prawo wyciągnąć fałszywe wnioski. Jest ostatnią osobą, którą chciałbym skrzywdzić. Tylko że ona o tym nie wie. Ja sam nie tak dawno sobie to uświadomiłem. Proszę mi dać szansę, żebym mógł jej to wyznaczyć, proszę mi powiedzieć, dokąd pojechała.

- Ależ ja naprawdę nie wiem. Ale dam ci znać, gdy zadzwoni.

- Dziękuję pani, to dla mnie bardzo ważne.

Nazajutrz jechałem już pociągiem do Zakopanego. Dopiero w drzwiach pensjonatu, w którym się zatrzymała, ogarnęła mnie panika: a jeżeli nie jest tu sama? Przecież ona też mi nic nie obiecywała, mogła mieć swoje sekrety.

- Czy tu zatrzymała się pani Ewa Lubińska? - zwróciłem się do recepcjonistki.

- Zaraz sprawdzę - dziewczyna przewracając kartki wodziła ołówkiem po liście pensjonariuszy; trwało to pewnie niedługo, ale mnie zżerała niecierpliwość. Na szczęście ołówek się zatrzymał i usłyszałem: pokój dwadzieścia osiem, na drugim piętrze.

- Czy jest teraz u siebie?

- Klucza nie ma, więc powinna być... Ależ, proszę pana, mamy przecież windę - usłyszałem jeszcze, ale byłem już u szczytu schodów. Biegłem do góry, by nie marnotrawić czasu oczekiwaniem na windę. Jeśli Ewa nie jest sama, trudno. Może mnie odprawić, ale powinna wiedzieć, jak sprawy się mają. Zapukałem. Musiała być blisko drzwi, bo klucz w zamku przekreślił się i stanęliśmy twarzą w twarz.

- Hen... Henryk, ty tutaj?

- Nie zaprosisz mnie do środka?

- Skoro tu jesteś, proszę - powiedziała chłodno.

- Nie musiałaś uciekać.

- Chciałam odpocząć, dawno powinnam była to zrobić.

- Mam ci wiele do powiedzenia.

- Myślałam, że mówimy sobie wszystko, zawiodłam się. Półprawdy mnie nie interesują.

- To nie jest tak, jak myślisz. Marzenę znałem już, zanim się ponownie spotkaliśmy, to trwało od dawna. U mnie chyba siłą rozpędu. Musiałem zobaczyć was obie razem, żeby przekonać się, że to ty jesteś dla mnie ważna.

- Nie zamierzam konkurować z taką pięknnością, w ogóle nie zamierzam...

- Nie potrzebujesz. Jej już nie ma w moim życiu.

- I mnie jesteś łaskaw przydzielić opuszczone miejsce? Na jak długo?

- Na zawsze. Jeśli zgodzisz się zostać moją żoną.

- Co???

- Poprosiłem cię właśnie o rękę.

- Nie pierwszy raz, nie traktujesz takich deklaracji poważnie...

- Teraz wiem, że nie zmienię zdania.

- A moje zdanie na ten temat cię nie interesuje?

- Składam swój los w twoje ręce.

Ewa rozplakała się nagle. Szybko jednak wytarła oczy i zaczęła mówić. Nie były to peany na moją cześć. Przedstawiła wnikliwą charakterystykę mojej osoby z bardzo wnikliwą analizą moich egoistycznych poczynań. Gdyby nie miała racji, mógłbym się obrazić. Co do mojej propozycji, to postanowiła, że poczeka, aż ponowię ją za pół roku.

Po dwóch miesiącach uchyliła wyrok, a po czterech przestałem być kawalerem. Jesteśmy ze sobą prawie ćwierć wieku, mamy dwoje udanych dzieci, wszyscy uważają nas za bardzo harmonijne stadło. To prawda, że Ewa nigdy mnie nie zawiodła. Albo też ja nie oczekiwałem od niej nigdy tego, czemu nie mogłaby podołać.

Gorzej miały się sprawy ze mną. Odnosiłem wrażenie, że rozczarowuję ją coraz bardziej. Nie dlatego, że jestem wiarołomny, nie. To dotyczyło zupełnie innej sfery. Chodziło o to, że okazałem się słabszym człowiekiem, niż się spodziewała. A może ponosiła mnie wyobraźnia?

Myślę, że jej wątpliwości co do mnie zaczęły się w okresie stanu wojennego, kiedy mnie internowano. Bardzo źle to znosiłem i w odróżnieniu od moich kolegów zamiast umocnić się w dążeniu do obalenia zła, które sprowadziło na nas te ogromy upokorzenia, całkowicie się poddałem i już właściwie wtedy zrezygnowałem z walki. Nie dlatego, że zmieniłem poglądy i nie chciałem zmian. Co to, to nie. Ja się panicznie bałem. Tego ona nie była w stanie zrozumieć, bo inni będąc w takiej samej jak ja sytuacji hartowali się, a ja słabłem. Tylko że Ewa nie wiedziała wszystkiego. Nigdy nie opowiedziałem jej ani też nikomu innemu o pewnej upiornej nocy, jaką przeżyłem w więzieniu jeszcze za pierwszym razem, kiedy przyłożył się do tego niejaki Wiesław Tokarski, z zawodu ubek, czyli mój mściwy sąsiad bałaganiarz. Więźniów politycznych szykanowano wtedy w sposób wyrafinowany. Zamykano ich na przykład w jednej celi z kryminalistami. Mnie się także to zdarzyło. Siedziało ich ze mną trzech, wynaturzonych do ostatnich granic. Kiedy mnie do nich dołączono po jednym z trudniejszych przesłuchań, zanim zamknięto drzwi celi, ujrzałem Tokarskiego i usłyszałem, co do nich mówi: „Macie tu chłopaki na osłodę prawdziwego przystojniaczka, zabawcie się z nim”.

Jeden z moich współmieszkańców był włamywaczem recydywistą, drugi wielokrotnym gwałcicielem, trzeci mordercą. Ordynarni i niesamowicie rozpasani. Więzienie nie było dla nich miejscem nie czasu refleksji i skruchy, lecz umacniania się w postanowieniu czynienia zła. Przechwalali

się swoimi okrutnymi czynami, wymieniali doświadczenia w przechytrzeniu organów ścigania i roztaczali upiorne wizje swoich przyszych wyczynów po wydostaniu się na wolność. Bardzo szybko zorientowali się, jakie ich rozmowy robią na mnie wrażenie i to ich podniecało. Upajali się moim przerażeniem w ciągu kilku porannych godzin, a kiedy doprowadzili mnie do tego, że skuliłem się dygocąc w kącie, zaczęli się nade mną znęcać w sposób jeszcze bardziej wyrafinowany. Myślę, że całe ich wstępne gadanie obliczone było na zrobienie na mnie właśnie takiego wrażenia. Stali się wkrótce agresywni, żądali, abym i ja opowiedział im o swoich wyczynach. Kiedy oznajmiłem, że siedzę za sprawy polityczne, a właściwie jedynie za poglądy, wrzeszczeli, że się wywyższam, że ich lekceważę. Zaczęli mnie potrać i szarpać. W pewnej chwili najbardziej z nich obleśny, ten, który był mordercą, zaczął mnie obmacywać. Bronilem się zaciekle, ale byli silniejsi. Dwaj pozostali trzymali mnie, podczas gdy on mnie gwałcił, potem, kiedy byłem już półprzytomny, uczynili to po kolei... Zemdlałem i nie wiem, ile godzin w tym koszmarze przetrwałem. Ocknąłem się dopiero w więziennym szpitalu.

Były to przeżycia, które zadecydowały o tym, że paniczny strach tkwi we mnie do dziś. Nie umiałbym nikomu o tym opowiedzieć, żałuję, że nie straciłem na ten temat pamięci...

Dzięki Ewie, jej uporządkowaniu i spokojowi, na poły wróciłem do siebie, jestem jej winien bardzo wiele, bo bez niej byłbym zupełnie kimś innym. Dopiero ostatnimi czasy nękała mnie pokusa, żeby zadawać sobie pytanie, jaki byłbym bez Ewy? O ile mniej wart, gorszy, czy może lepszy, niż jestem? Gdybym musiał sam zmagać się z codziennością, którą ona mi organizuje, usuwając z mej drogi wszelkie przeszkody, a nawet pyłki, czy nie byłbym lepszym, dzielniejszym, pełniejszym człowiekiem? Czy swoją niezwykłą ofiarnością nie wyświadcza mojemu egoistycznemu ego wilczej przysługi?

Kiedy skończył się czas walki, wszyscy moi koledzy zaczęli robić karierę. Byłem jednym z nielicznych, którzy wyłączyli się z gry o zaszczyty. Czasy zrobiły się normalne, można się było zająć nareszcie tym, czym należało — robić swoje, wedle rady jednego ze znanych bardów. Odrzucałem więc proponowane stanowiska, nie chciałem kandydować do senatu ani sejmu. Chciałem pisać. Przez pierwsze dwa lata po wielkich zmianach udało mi się opublikować trzy książki, z których dwie stały się

sukcesem czytelniczym i długo nie schodziły z list bestsellerów. Ewa nie uczestniczyła w ich redagowaniu, zajęta była wychowywaniem naszych dzieci. Moje powodzenia autorskie utuliły jej żal z powodu lekceważenia perspektyw zrobienia kariery politycznej.

W tym czasie bardzo szybko jedno po drugim zmarli jej rodzice. Okazało się wtedy że profesor Lubiński był niezłym ciułaczem i zostawił Ewie sporo pieniędzy. Ku mojemu zdumieniu, Ewa oddała mi je w całości do dyspozycji.

- Co to za pomysł? - spytałem. Czyżbyś nie miała własnych potrzeb?

- Myślę perspektywicznie - odpowiedziała. - Wszyscy teraz robią jakieś interesy. Ja chcę zainwestować w ciebie, w twoje wydawnictwo.

- Moje wydawnictwo?

- Dlaczego nie? Będziesz wolny, rozumiesz? Będziesz mógł wydawać bez ograniczeń, sam będziesz o tym decydował. Wystarczy, żebyś usiadł i pisał, a skutki nie dadzą na siebie długo czekać. Wtedy dam radę sfinansować również i moje potrzeby.

Tak więc od siedmiu lat jestem wydawcą, a właściwie współnikiem wydawcy. Ewa miała wiele racji w swoich przewidywaniach. Opuściły nas problemy finansowe, mieszkamy przyzwoicie i dzieci posłaliśmy do elitarnych szkół, bo mogliśmy sobie pozwolić na opłacenie w nich czesnego.

Mam wolność doboru pozycji do wydania, tyle że nie są to pozycje mego autorstwa. Ja po prostu przestałem pisać. Przede wszystkim dlatego, iż urzędując jako wydawca stawiam sobie wymagania, jakim nie jestem w stanie sprostać. Bo książka, w którą dziś warto włożyć pieniądze, musi się dobrze sprzedawać, musi być lepsza niż ogromna liczba pozycji konkurencyjnych i skoro jestem świadom tych barier, wiem, że są one dla mnie nie do przeskoczenia. Tego nie jest w stanie pojąć moja ambitna żona.

- Twórczości nie można zaprogramować, zrozum! - usiłuję jej tłumaczyć.

- Temu zajęciu musi towarzyszyć jeśli nie wiara w siebie, to chociaż nadzieja, a mnie świadomość wymagań rynku księgarskiego pozbawia skrzydeł... nic na to nie poradzę.

- Dezynwoltura! To jest po prostu dezynwoltura! Na to jesteś chory. Nie traktujesz poważnie swoich możliwości, poruszasz się po najmniejszej linii oporu.

Nie wiem, czy mi się zdawało, czy też naprawdę usłyszałem w jej tonie pogardę.

To śmieszne, ale w miarę tego, jak przedłużał się okres mojej niemocy twórczej, coraz bardziej bałem się Ewy. Nabrała ostatnio zwyczaju witania mnie co rano takimi słowami: Co słyhać? Narodził się jakiś nowy pomysł?

Czułem się jak sztubak, który nie odrobił lekcji. Tłumaczyłem się długo i zawile. Tymczasem już z racji mnogości zajęć urzędniczych w wydawnictwie byłem przecież usprawiedliwiony. Gdy raz przytoczyłem ten argument, Ewa tylko wzruszyła ramionami.

- Ty narzekasz na brak czasu? To co ja mam powiedzieć? Cały dom na mojej głowie, zakupy, porządki...

- Pani Wala trochę ci w tym pomaga.

- A kiedy byłeś w szkole na wywiadówce u któregoś z naszych dzieci? Odciążam cię jak mogę, nawet tam, gdzie cię zapraszają, chodzę za ciebie...

- Chodzisz, bo lubisz bywać.

To wszystko prawda. Ewa mnie odciąża, mimo to wciąż brakuje mi czasu. Szczerze mówiąc, nie wiem, skąd ona go znajduje jeszcze i na to, żeby - jak powiada - „mnie reprezentować”. Mnóstwo jest teraz rozmaitych spędów, a to z okazji rozpoczęcia sprzedaży nowego samochodu, kosmetyku, obrazu, filmu książki czy luksusowej bielizny. Scenariusz tych spotkań jest podobny: konferencja prasowa, prezentacja reklamowanego towaru, jakiś występ artystyczny (znana spikerka telewizyjna jako prowadząca) i bankiet.

Goście na ogół ci sami: elity towarzyskie i finansowe, panie mogące pokazywać nowe toalety, panowie mogący się pochwalić rozkwitem firmy, rozmowy, jak i z czego można wyciągnąć pieniądze, drinki, wymiana plotek i zdawkowe słówka... Jako współwłaściciel wydawnictwa trafiłem na tę listę i dostajemy zaproszenia. Nie tylko zresztą na te bankiety, również na otwarcia, zamknięcia, wernisaże, premiery, benefisy. Gdybym chciał reagować na wszystkie, musiałbym zrezygnować z innych zajęć i pracy. Zdarza się jednak, że muszę w czymś takim uczestniczyć i kończy się to na ogół sprzeczką z Ewą. Bo mnie dręczy poczucie traconego czasu, co nie pozwala mi ani na chwilę się odprężyć. Wyciągam ją stamtąd jak mogę, żeby skrócić taki wieczór, a ona jest nienasycona w rozmowach i fascynacji znakomitościami, które zdążyła poznać. Jest ze wszystkimi na ty, wszyscy jej się kłaniają. Ja natomiast czując się tam źle, nie prawie ducerów, jestem ponoć mrukliwy i sztywny. W dodatku mam ten nieznośny sposób patrzywania na wszystko i wszystkich z ironią.

- Znowu zachowałeś się fatalnie wobec reżysera Pipsztyńskiego i jego żony! - wyrzuca mi Ewa. - Patrzyłeś na nią z politowaniem.

- Tak myślisz? Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Bo też, przyznaj, plotła od rzeczy.

- Ale on jest naprawdę kimś, dostał nagrodę w Cannes, a ty masz się za nie wiem kogo, a od paru lat nie napisałeś dosłownie nic.

Nie powinna była tego powiedzieć. Trafiła w najboleśniejszy punkt. Toteż zareagowałem podobnie:

- A ty stałaś się żalną snobką...

Rozpłakała się. Zrobiło mi się przykro. Nie chciałem jej dotknąć, po prostu odpowiedziałem na cios. Kiedy udało mi się ją w nocy przeprosić, wytłumaczyła mi, że robi co może, żeby wpasować się w taki krajobraz, jaki się teraz wytworzył, a ja nie doceniam znaczenia koneksji. Jeśli odwrócę się od świata, to ten świat mnie tak zlekceważy, że się już nie podniosę. Bo można robić rzeczy genialne, ale i tak będą warte tylko tyle, ile znaczą w opinii ludzi, każda twórczość potrzebuje publiczności, inaczej po prostu jej nie ma. A co dopiero ktoś, kto ma zły okres w samorealizacji! Ten dopiero powinien dbać o to, by nie zapomniano, kim był!

- A więc wróciliśmy do punktu wyjścia! Zgoda, wena mnie opuściła, ale dlaczego? Nie mogę nadażyć z samym prowadzeniem firmy, doba jest za krótka na to, żebym jeszcze mógł szukać natchnienia do nowych książek. Poza tym stawiam sobie teraz wyższe wymagania i to mnie hamuje.

A w końcu, z czego ja się tłumaczę? Jako głowa rodziny zapewniam jej byt, i to kosztem rezygnacji ze swego powołania.

- Tylko mi nie mów, że rodzina jest ci kulą u nogi!

- Nic takiego nie powiedziałem. Nie szukaj dziury w całym. Robię co mogę, ale nie mam weny, czy to zbrodnia?

- Nie obwiniaj mnie za to!

- A ty mnie nie obwiniaj, że zawiodłem twoje nadzieje... Podobne wymiany zdań zdarzały się nam coraz częściej. Czulem

po nich niesmak i wzrastało moje poczucie winy. Mimo że pochłonięty byłem pracą, kielkował we mnie kompleks nieudacznika. Mój wspólnik cenił moje wyczucie przy dobieraniu książek do publikacji, nie popełnialiśmy większych błędów, to znaczy nie było wpadek finansowych, co on uznawał za moją zasługę. Po prostu miałem w tym względzie dużo szczęścia, bo przecież na powodzenie książki nie ma recepty, nie każda, nawet doskonała pozycja musi okazać się sukcesem wydawniczym. Na to



obok wartości dzieła musi złożyć się również wiele szczęśliwych zbiegów okoliczności; to trochę tak, jak z karierą aktora.

Wszyscy byli zdania, że doskonale sprawdzam się na moim stanowisku. Wszyscy oprócz mnie; ja moje obecne zajęcie uważałem za tymczasowe, natomiast Ewa uznała, że uczyniłem sobie z niego bastion, żeby mieć spokój z twórczością, bo przecież takie urzędowanie nie wymaga łamania głowy... Zupełnie jakbym jej nie opowiadał o kłopotach z dystrybucją, wyegzekwowaniem pieniędzy od hurtowników i tysiącu innych nieprzyjemności towarzyszących funkcjonowaniu takiego przedsiębiorstwa. Przywykłem przyznawać jej rację i nawet się nie dziwiłem, że jako dawny pracownik wydawnictwa nie ma dla mnie krztyny zrozumienia. Nie oceniałem jej. Do czasu, kiedy znowu los zetknął mnie z Anną.

Mieliśmy swoje stoisko na krajowych targach książki, pełniłem akurat w nim dyżur, kiedy usłyszałem głos, który wydał mi się znajomy.

- Czy zastałam może kogoś z dyrekcji wydawnictwa?

- A o co chodzi? - spytała nasza sekretarka, zajmująca się sprzedażą książek i udzielaniem informacji o naszej działalności.

- Jestem autorką, chciałabym zapytać, czy nie zainteresowałibyście się państwo wydaniem mojej książki.

Teraz już byłem pewny, do kogo należy ten głos. Z bijącym sercem wyszedłem zza kotary, ukrywającej miniaturowy salonik do prowadzenia rozmów z kontrahentami.

- Dzień dobry, w czym mogę pomóc? Anna, bo bez wątpienia było to ona, podniosła na mnie oczy. Spojrzała i wyraz zdumienia rozlał się na jej twarzy.

- Henryk??? Przepraszam... czy pan Henryk Nowak???

- Witaj Anno, co za spotkanie! - Wejdz proszę i rozgość się - wskazałem fotelik za kotarą - ale najpierw pozwól się uściskać.

Nie była już tą zwiewną, młodą istotą, co przed laty. Jej kształty zaokrągliły się apetycznie. Nabrawszy ciała, zrobiła się jakby większa, a może zapomniałem, jaka jest wysoka. Nosila krótko obcięte włosy, które gdzieśgdzie leciutko połyskiwały srebrem, była zupełnie nie-umalowana. Zachowała jednak świeżą cerę i czas nie odebrał jej twarzy wyrazu otwartości, który mnie tak zniewalał.

- Więc jednak piszesz? - zacząłem.

- Pozazdrościłam tobie - roześmiała się. - Pamiętasz, jak zwierzałam ci się z moich projektów? Och, ja głupia, dlaczego miałbyś pamiętać?

- Nawet nie wiesz, ile rzeczy o tobie pamiętam!

- Naprawdę? To miłe. Straszna byłam wtedy wariatką, bardzo się zmieniałam?

- Jeśli od razu poznałem cię po tylu latach, to znaczy, że nie jest źle.

- Ty wyglądasz doskonale, bardzo nobliwy pan. Widziałam twoje zdjęcia w jakiejś gazecie. Wiesz, zaskoczyłeś mnie. Nie mogłam wyobrazić sobie ciebie jako przedsiębiorcy. Zajmujesz się jednak książkami, ale zastanawiałam się, jak ty potrafisz to godzić, to znaczy w jaki sposób przy swoich zajęciach znajdujesz czas na pisanie?

Wzruszyła mnie tą uwagą. Widzimy się od dziesięciu minut i od razu trafiła w sedno, a Ewa tego nie chce zrozumieć... Zapraǳiałem jej się zwierzyć.

- Nie mam czego godzić, Anno. Przestałem pisać.

- Ty??? Trudno w to uwierzyć. No to szkoda, wielka szkoda, lecz jeśli czujesz się z tym szczęśliwy...

- Bynajmniej. Jednakże mam rodzinę i tak jakoś zabrnąłem w to, co robię... Ale mówmy o tobie, gdzie się podziewałaś?

- To długa historia. Skoro się już spotkaliśmy, może ci ją kiedyś opowiem.

- Rozumiem. Chciałabyś teraz pomówić o twojej książce?

- Zechciałbyś ją przeczytać?

- Jak tylko do mnie dotrze, jestem bardzo jej ciekaw.

Nie wiedziałem wtedy, że rzucam słowa na wiatr. Przeczytałem tę książkę o wiele za późno. Gdybym to uczynił od razu, wszystko potoczyłoby się inaczej...

Miałem jednak jak najlepsze intencje, dałem Annie wizytówkę z adresem naszej firmy. Musiała nazajutrz wyjechać na kilka dni, ale obiecała, że natychmiast prześle maszynopis pocztą, a ja po jego przeczytaniu miałem do niej zatelefonować.

- Zadzwoń do mnie nawet wtedy, gdy ci się książka nie spodoba, chętnie wysłucham uwag właśnie od ciebie.

- Możesz być pewna, że się odezwę.

- Panie dyrektorze, przepraszam, ale przyszli właśnie ci panowie z Londynu, których pan oczekiwał.

- To ja już nie będę przeszkadzać. - Anna wstała i podała mi rękę.

Pożegnaliśmy się obiecując sobie rychłe spotkanie.

Kiedy wreszcie skończyłem zajęcia wymagające koncentracji, wróciłem myślami do Anny. Jej niespodziewany powrót do mego świata był tak inny od marzeń, które o niej snułem. Lata, które minęły, zrobiły swoje. Nie jesteśmy tacy jak dawniej, nawet zewnętrznie. Miła pani w średnim wieku może już mieć niewiele wspólnego z tamtą czarującą młodą dziewczyną z sercem na dłoni. A jednak chyba ma nadal dawną wrażliwość, skoro od razu zatroszczyła się o to, skąd biorę czas na pisanie. A ja? „Nobliwy”, to znaczy starszy pan... Do tego tak bardzo żonaty... Tak bardzo, że dawne emocje nie mają odwagi ani nawet czasu na to, by obudzić się na nowo. W pracy zawrót głowy, jak to zwykle bywa w czasie targów książki, w domu zaś - przeprowadzka! Czyżby Anna, moja wielka niespełniona miłość, miała zostać jedynie znajomą z przeszłości? Do tego pisze - rozmyślałem z zazdrością. Ciekawe jak? Chce mi przedstawić swoją najnowszą książkę. Najnowszą, a więc napisała ich z pewnością więcej... Nie znam żadnej, widać nie stały się wydarzeniem. Zorientuję się, jakie to tytuły, będę je musiał przeczytać. Zobaczymy, do czego jest zdolna. Jeżeli jej twórczość jest dobra, będziemy ją wydawać.

Tak postanowiłem, lecz życie miało pokazać, że Anna pomogła bardziej nam, to znaczy wydawnictwu, niż my jej. Może się to wydawać dziwne, ale tak właśnie było.

Pomimo danej Annie i sobie obietnicy, nie przeczytałem wtedy książki, którą nazajutrz dostarczyła, bowiem w moim życiu rodzinnym zdarzyło się coś katastrofalnego, po prostu zostaliśmy nagle bez dachu nad głową.

Tamtego dnia miałem po opuszczeniu naszego stoiska na targach spędzić jeszcze trochę czasu w biurze wydawnictwa, zadzwoniłem więc do Ewy, żeby nie czekała na mnie z kolacją.

- Właśnie zamierzałam cię zawiadomić, żebyś zjadł coś w mieście. Okropnie się napracowałam. Już się kładę.

- Przykro mi, że nie mogę ci pomóc. Tak się to fatalnie zbiegło z targami.

- Nie przejmuj się. Wszystko już spakowane.

- Doprawdy? Bardzo jesteś dzielna, Ewuniu. To pech, że dzieci wyjechały, trochę by ci pomogły.

- Chwała Bogu, że ich nie ma. Nie lubię, jak przy takim zamieszaniu ktoś płacze mi się pod nogami.

Trzy dni temu, tuż po zakończeniu roku szkolnego nasze dzieci odleciały do mego brata do Paryża, by razem ze stryjecznym rodzeństwem spędzić miesiąc na Lazurowym Wybrzeżu, pod czujną kuratelą Denise. Kupiliśmy

dom z ogrodem pod Warszawą, dokładnie taki, jaki sobie Ewa wymarzyła. Przeprowadzka miała nastąpić we wrześniu, ale moja żona, ogarnięta niecierpliwością, postanowiła załatwić to w ciągu lata, zanim dzieci pójda do szkoły. Od miesiąca nie zajmowała się niczym innym, tylko poszukiwaniem ekip remontowych oraz sortowaniem i pakowaniem naszego dobytku. Proponowałem jej wynajęcie takiej firmy, która wszystko spakuje i przewiezie, ale uparła się, że zrobi to sama.

- Taka przeprowadzka to doskonała okazja do tego, żeby zrobić remanent. Inaczej wszystkie niepotrzebne rzeczy zagnieżdżą się u nas na dobre - powtarzała.

Kiedy wyrażałem ochotę włączenia się do akcji, opędzała się ode mnie jak od natrętnej muchy.

- Zajmij się swoimi sprawami, a najlepiej weź się do pisania. Nie masz cierpliwości do takich zajęć.

To fakt, że gdy wracałem zmęczony po całym dniu urzędowania, byłem poirytowany i najchętniej odkładałbym wszystko na stertę „do wyrzucenia”, bo to było najprostsze. Co chwilę w czasie takiej działalności podrywał mnie okrzyk Ewy.

- Zwariowałaś?! Wyrzucasz nowe firanki? Wiesz, ile za nie zapłaciłam?

Skąd mogłem wiedzieć? Ewa nie wtajemniczała mnie nigdy w takie przyziemne sprawy, jak robienie zakupów dla domu, wszystko załatwiała w czasie, kiedy ja pracowałem. W okresie owej pamiętnej przeprowadzki podobnie. Wychodziłem na całe dni i wracałem wieczorem do coraz mniejszej powierzchni nadającej się do bytowania, rozrastała się natomiast powierzchnia zastawiona kartonami i tobołami, które piętrzyły się coraz wyżej. Tego wieczoru okazało się wreszcie, że nie ma już nic więcej do spakowania. Umówiłem się z moim współnikiem Michałem, że sam będzie urzędował przynajmniej przez dwa dni, żebyśmy mogli się spokojnie przeprowadzić i ustawić sprzęty.

- O której przyjedzie wóz meblowy?

- O jedenastej, zaraz po naszym powrocie od notariusza. Mam nadzieję, że Michał poradzi sobie jutro bez ciebie - odpowiedziała Ewa.

- Oczywiście. Ale dzisiaj muszę jeszcze popracować.

- Nie śpiesz się do domu, najlepiej połóż się w biurze na kozetce, bo te zwały bagażu tutaj robią przygnębiające wrażenie. Po prostu spotkajmy się o dziewiątej u notariusza.

Tak też zrobiłem. Do północy uporałem się z papierzyskami i wyjąwszy ze schowka „dyżurujący” koc, rozciągnąłem się na kozetce. Od razu ogarnęło mnie ciepło, zwiastujące rychły sen. W ostatnich chwilach świadomości pomyślałem o Annie, o tym, że nie od razu wezmę się do czytania jej książki. No cóż, trochę się to odwlecze...

Nie miałem wtedy pojęcia, ile czasu upłynie, zanim będę mógł się do tego zabrać i jakie to będzie miało reperkusje.

Nazajutrz rano, pięć minut przed dziewiątą zaparkowałem samochód przed biurem notarialnym. Ewa tam już była, stała przed wejściem i wyglądała na zdenerwowaną.

- Wyobraź sobie, że jego jeszcze nie ma - powiedziała nadstawiając mi policzek do pocałowania.

- Notariusza?

- Nie, Głowackiego.

- Nie rozumiem, czemu się niepokoisz, przecież jeszcze nie ma dziewiątej.

- Bo wydzwaniam do niego od wczoraj, żeby mu przypomnieć o terminie podpisania umowy i nie mogę go zastać.

- Po co, przecież tak samo jak my zna ten termin od dawna.

- Notariusz też do niego dzwonił trzy dni temu, żeby się upewnić.

- Nie martw się. Jemu na tym zależy tak samo jak nam, przecież resztę pieniędzy dostanie po spisaniu umowy.

- Dręczy mnie jakiś niepokój.

- Jesteś po prostu przepracowana.

Weszliśmy do środka i usiedliśmy w poczekalni przed drzwiami notariusza. Sekretarka wzięła od nas dokumenty, żeby przygotować umowę, naszego kontrahenta wciąż jeszcze nie było, ale nadeszła przedstawicielka agencji, która pośredniczyła w kupnie nieruchomości. Uspokoiła nas, że właściciel domu z pewnością przybędzie, bo kilka dni temu uiścił już ich firmie należny procent.

- Przecież jeszcze nie dostał od nas całej sumy - zdziwiła się Ewa.

- Tuż po podpisaniu umowy wyjeżdża za granicę, bał się, że formalności się przedłużą i spóźni się na lotnisko. Zresztą to człowiek polecony do naszej agencji przez znajomych szefa, więc mogą państwo być spokojni. W dodatku to przecież prokurator...

Po takich zapewnieniach uzbroiliśmy się w cierpliwość i czekaliśmy spokojnie. Sekretarka zdążyła wszystko przygotować, opłaciliśmy nawet

usługę notarialną. Wystarczyło tylko, aby sprzedający i kupujący złożyli podpisy na akcie i dom byłby nasz. Niestety, sprzedający się spóźniał. Minęło pół godziny, do gabinetu weszli następni, umówieni po nas klienci, a my ciągle czekaliśmy. Po godzinie sekretarka odebrała telefon z agencji handlu nieruchomościami. Chcieli rozmawiać ze swoją pracownicą, która prowadziła naszą sprawę.

Podeszła do telefonu i po pierwszych słowach, jakie usłyszała, spojrzała w naszą stronę.

- Tak... tak. Rozumiem. Oczywiście, że czekają. Tak. To znaczy na kiedy? Dobrze.

Panienka odłożyła słuchawkę i zbliżyła się do nas.

- Obawiam się, że dzisiaj nie będziemy mogli zamknąć sprawy. Sprzedający ma jakieś kłopoty. Za dziesięć minut będzie tu szef agencji, wszystko państwu wyjaśni.

- Jak to? Przecież my za godzinę mamy przeprowadzkę! - Ewa była bliska łez.

- Ja naprawdę niewiele mogę państwu powiedzieć, proszę poczekać na szefa.

Właściciel agencji pojawił się przed upływem dziesięciu minut. Był bardzo zdenerwowany. Kiedy go zobaczyłem w takiej kondycji, i mnie nawiedziły złe przeczucia. Przywitał się z nami i zapytał sekretarkę, czy mogłaby nam udostępnić jakiś wolny pokój, gdzie moglibyśmy chwilę porozmawiać.

Notariusz stanął w drzwiach i zaprosił nas do środka. Wymienili z przybyłym porozumiewawcze spojrzenia. Widocznie uprzedził go telefonicznie o swoim przybyciu.

- Doprawdy nie wiem, jak mam państwu o tym powiedzieć - przemówił szef agencji. - Otrzymałem wiadomość, że właściciel domu odstępuje od sprzedaży.

- Co??? - zawołaliśmy równocześnie.

- Sam jestem zszokowany. Nic podobnego nigdy się w mojej firmie nie zdarzyło.

- Dlaczego nas o tym nie uprzedził w porę? Sprzedaliśmy nasze mieszkanie, wymeldowaliśmy się...

- Poczekaj, to przecież jakieś nieporozumienie! Przecież my mamy klucze od tego domu, wyremontowaliśmy go! Za godzinę wóz meblowy zawiezie tam nasze rzeczy!

- Przykro mi, ale nie wiem, czy to będzie możliwe. Osoba, która do mnie dzwoniła, uprzedziła, że zamki w posesji zostały zmienione.

- Co za osoba? To chyba jakiś głupi kawał.

- Obawiam się, że nie. Chodzi o to, że prokurator Głowacki wyjechał kilka dni temu na stałe za granicę. Dom zapisał swojemu kuzynowi. To on pojawił się u mnie w firmie o dziewiętej, to znaczy w tym samym czasie, kiedy mieliśmy podpisać umowę notarialną. Pokazał mi sporządzony przed kilkoma dniami akt własności na jego nazwisko i oświadczył, że odstępuje od sprzedaży państwu posesji. Jako właściciel ma do tego pełne prawo. Państwo czekali na tę wiadomość godzinę dlatego, że musiałem sprawdzić wiarygodność jego dokumentów. Mnie też wydawało się to głupim kawałem. Niestety, akt własności pod względem prawnym nie budzi zastrzeżeń. To oczywiście nie w porządku, że prokurator Głowacki nie uprzedził nas, iż posiadłość zmienia właściciela, ale postąpił tak podobno na wyraźną prośbę kuzyna, którego obdarował. Ten zaś oświadczył, że ma z panem, panie Nowak, pewne stare porachunki i nie dopuści, żeby pan był nabywcą jego własności.

- Ależ to jakiś nonsens! Ja nie mam z nikim żadnych porachunków! Kim jest ten człowiek?

- Nazywa się Wiesław Tokarski, jeśli to coś panu mówi. Wiadomość ta po prostu zwałałaby mnie z nóg, gdybym akurat nie siedział. Wiedziałem, że nie życzy mi dobrze, ale nie spodziewałem się aż takiej, pozbawionej podstaw zawziętości. Przecież jeśli nawet przed laty poprzysiągł mi zemstę za zwrócenie mu uwagi na niewłaściwe postępowanie, udało mu się to niewspółmiernie do mojej wyimaginowanej winy.

- Mój Boże, co teraz zrobimy? A zaliczka, a koszty remontu? - szeptała pobladła Ewa. - Nie ma co, do ładnej firmy trafiliśmy! Piękne ma pan znajomości! - natarła na właściciela agencji.

- Ależ ja nie znam tego człowieka! To pana znajomy - wskazał na mnie.

- Znajomy!... Ten człowiek był tylko kiedyś moim sąsiadem. To agent SB, przez niego stałem się na trzy lata więźniem politycznym. Gdybym wiedział, że jest kuzynem prokuratora Głowackiego, nie spojrzalbym na jego dom.

- Prokurator Głowacki też nie ma świetlanej przeszłości. To on był oskarżycielem robotników po wypadkach poznańskich - wtrącił notariusz.

- Nic o tym nie wiedziałem - tłumaczył się szef agencji. To tylko znajomy moich znajomych. Ze też to mnie musiało się przydarzyć! Co za koszmarna historia!

- Koszmarna to ona jest dla nas - powiedziałem. - Czy pan zdaje sobie sprawę, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji?

- Mogę tylko wyrazić współczucie i obiecać bezinteresowną pomoc w znalezieniu innego domu.

- Nie mamy na to teraz środków, remont pochłonął wszystkie nasze oszczędności. O Boże! Trzeba przecież odwołać wóz meblowy!

- Ewa rozplakała się, jej opanowanie miało swoje granice.

- Proszę zadzwonić stąd - zaproponował notariusz. — Następnym klientom mam dopiero za godzinę.

Jeszcze nie byliśmy w stanie ogarnąć rozmiaru katastrofy. Powoli docierało to do naszej świadomości.

- Co robić? - zastanawiałem się głośno. — To, że odwołamy przeprowadzkę, i tak nas nie uchroni przed opuszczeniem mieszkania. Sprzedaliśmy je, wymeldowaliśmy się, nowy właściciel jutro ma zacząć w nim swoje przeróbki.

- Mam pewien pomysł - odezwał się z wahaniem Koperski, bo tak nazywał się szef agencji sprzedaży nieruchomości. - Mamy dwa mieszkania, które są własnością naszej firmy, w jednym zamierzaliśmy otworzyć filię, drugie przeznaczone jest do sprzedaży. Nie są to lokale o wysokim standardzie, ale mogliby państwo w jednym z nich przetrzymać okres, zanim znajdziemy odpowiednią ofertę. Osobiście dołożę wszelkich starań, aby moja firma odzyskała w oczach państwa wiarygodność. Proszę mi wierzyć, że cała afera powstała za naszymi plecami.

Nie mieliśmy innej możliwości, jak skorzystać z propozycji... Było to jakieś wyjście z sytuacji. Pojechałem z Koperskim do Agencji po klucze do zaproponowanego lokum, a Ewa swoim samochodem wróciła do naszego mieszkania, żeby poczekać na wóz firmy przewozowej. Po drodze naradzałem się z nim, jak odzyskać zaliczkę i koszty remontu domu oraz wyposażenia łazienki i kuchni, które tam zainstalowaliśmy. Nie miałem ochoty na jakiegokolwiek kontakty z tym człowiekiem, ale przecież muszę odzyskać to, co się nam należy. Koperski był zdania, że powinien nam wypłacić nawet zdwojoną zaliczkę, skoro bez uprzedzenia, w ostatniej chwili zaniechał sprzedaży domu. Nie wyobrażałem sobie, jak zdołam to załatwić, skoro nie chcę się z nim spotkać.



- Powinniśmy wystosować do niego pismo z propozycją uregulowania należności i ostrzeżeniem, że w przypadku odmówienia uiszczenia należnej sumy wstąpimy na drogę sądową.

- Ale pańska pracownica twierdziła, że prokurator Głowacki zapłacił firmie należny procent.

- Chciał to uczynić. W ostatniej chwili zdecydowałem, że nie wezmę tego procentu przed prawnym zamknięciem transakcji. Wydało mi się to niestosowne, na ogół ludzie nie kwapią się do płacenia z góry. On zaś nalegał i dziwnie był niezadowolony, że radzę wnieść opłaty w odpowiednim czasie. Okazało się, że miałem nosa. Teraz nie mógłbym panu w niczym pomóc i mogliby państwo myśleć, że brałem udział w tych machinacjach.

Koperski okazał się bardzo przyzwoitym człowiekiem i zrobił dla nas więcej, niż powinien. Dotrzymał słowa i przedstawił nam korzystną ofertę, gdy tylko wpadła mu w ręce.

Niemniej musieliśmy przekoczować w niewielkim mieszkaniu na zapakowanych rzeczach prawie dwa miesiące. Przypłaciliśmy to dosłownie zdrowiem, bo wskutek słabej kondycji psychicznej ulegaliśmy wciąż jakimś infekcjom, niestrawnościom i tym podobnym niedomaganiom.

Zaliczki ani kosztów remontu nigdy nie odzyskaliśmy. Nasz wróg bowiem sprzedał komuś bez pośrednictwa odnowiony przez nas dom i wyjechał w nieznanym kierunku. Mogliśmy go szukać przez policję, ale zaniechaliśmy tego. Do strat moralnych, na jakie naraził mnie przed laty, dołączyły się jeszcze straty finansowe, które mimo wszystko łatwiej przeboleć. Przynajmniej ja z Ewą jesteśmy tego zdania.

Wtedy, kiedy pożegnaliśmy się już z nadzieją, że uda się nam kupić coś odpowiedniego, zupełnie niespodziewanie zdarzyła się rzecz wspaniała. Ktoś pilnie i tanio musiał sprzedać zupełnie nowy, dopiero co wykończony i jeszcze nie zamieszkały dom z ogrodem w Aninie. Niezbyt wielką sumą, której nam zabrakło, poratował mnie - jak zwykle - mój niezawodny w takich razach brat mieszkający w Paryżu. Odetchnęliśmy. Całe to zamieszanie przynajmniej nie dotknęło naszych dzieci. Przedłużyliśmy ich pobyt we Francji i po powrocie były uszczęśliwione, że nasz nowy dom nie jest usytuowany zbyt daleko od Warszawy i nie muszą pozostawiać w niej swoich długoletnich przyjaciół.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - zawyrokowała moja żona.

Miała i ona swoje powody do zadowolenia. Cały ten ponad dwumiesięczny okres przeprowadzki zbliżył nas na nowo. Michał wiedząc o moim kłopotcie pozwolił mi pracować na pół gwizdka, mogłem zatem więcej z nią przebywać. Nadrobiliśmy zaległości we wspólnym podejmowaniu zadań, rozmowach, na które przy intensywności moich zajęć nie było dotąd wiele czasu. Poza tym byliśmy sami, bez dzieci, o które też mogliśmy być spokojni, bo trudno byłoby im zapewnić lepszą opiekę od mojej bratowej Denise, z całym zastępem jej służby.

Szczerze mówiąc, od czasów pracy w konspiracji nie byliśmy sobie tak bliscy. Przyznałem się Ewie do mojej niemocy twórczej i do tego, że monotonne urzędowanie przygasiło we mnie wszelką inwencję. Ona zaś przyznała, że podejrzewała, iż rzucam się w wir pracy administracyjnej jedynie po to, by nie włączać się w sprawy domowe, mimo że i tak zwalniała mnie od nich. Nie przypuszczała, że ułatwiając mi przystąpienie do spółki przyczyni się do rozterek, które mną owładnęły.

- Sama też od dawna nie chcesz zajmować się tym, do czego jesteś stworzona.

- Czyżbym nie sprawdziła się jako żona i matka? - zapytała przekornie.

- Nie znam lepszej od ciebie. Ale obraziłaś się na książki, a nam przydałby się dobry redaktor.

- Co to, to nie! Czekam na twoją książkę, wtedy wezmę urlop funkcji „gospośia do wszystkiego”.

- Mój ty nieznośny wyrzucie sumienia - powiedziałem całując ją. - Musisz pogodzić się z tym, że twój mąż jest urzędnikiem.

- Przecież to nie jest dopust boży! Tysiące ludzi spełniają niewdzięczne zadania i nie robią z tego tragedii. Kiedy wróci do ciebie wena, będziesz pisał nie zważając na inne zajęcia i - spokojna głowa - znajdziesz na to czas. Bo ty się uparłeś, że jesteś pisarzem, a wszystko inne to zajęcia zastępcze. A przecież pisarzem się tylko bywa.

Wszystko, co usłyszałem w czasie tych dni od Ewy, wydawało ii się objawieniem. Uświadomiłem sobie ze smutkiem, jak bardzo odaliliśmy się od siebie w ciągu ostatnich lat, i zaczynałem po cichu błogosławić los, że dostarczając nam tak ciężkiej próby uratował nasze sobie myślenie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

We wrześniu byliśmy już urzędzeni w nowym domu i mogłem z większym zaangażowaniem oddać się pracy w wydawnictwie. Było to zresztą konieczne, bo Michał miał wyjechać na urlop, który dotąd odkładał z powodu moich kłopotów. W przeddzień jego wyjazdu obaj byliśmy już przed ósmą rano w firmie.

- Muszę cię przeprosić, Henryku, za to, że pozwoliłem sobie bez konsultacji z tobą na podpisanie pewnej umowy. Bo też udało mi się pozyskać do współpracy znakomitą autorkę.

- Dobry autor zawsze jest w cenie. Bardzo dobrze zrobiłeś.

- Nie masz pojęcia, co to za wspaniały zbieg okoliczności. Tak się złożyło, że poznałem ją kilka lat temu podczas mego pobytu w Nowym Jorku. Pisała znakomite felietony do gazet polonijnych, ale nie tylko. Zarabiała także spisując wspomnienia zamożnym polonusom. Jeden z nich był w czasie wojny lotnikiem RAFu, inny hrabią z rodziny mającej wielkie zasługi w ratowaniu zabytków kultury. Każda z tych książek w tle biografii była świetnym rysem historycznym i zrobiła furorę. Czytano je jednym tchem. Nie wiem, ile ich spłodziła, ale podobno chętnych do opisania miała całą kolejkę. W dodatku nie wyobrażasz sobie, co to była za dziewczyna!

Durzyłem się w niej jak sztubak. No i popatrz, co mi się zdarza: właśnie ta osoba po latach przynosi do nas swoją powieść.

- Coś dobrego?

- Jeszcze nie wiem. Zabieram ją na urlop do przeczytania.

W tym momencie przypomniałem sobie o Annie. To nie do wiary, ale zupełnie zapomniałem o niej i jej książce. Fatalna sprawa, nie wiem, jak jej to wytłumaczę... Postanowiłem zaraz po zakończeniu rozmowy z Michałem prześledzić losy dostarczonego maszynopisu.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - zapytał mój współnik.

- Naturalnie, tylko przypomniało mi się coś pilnego, co powinienem był załatwić, a wracając do tego, o czym mówiliśmy: czy ja się nie przesłyszałem? Podpisałeś umowę nie czytając książki? No wiesz... Chyba rzeczywiście zadurzyłeś się jak sztubak... To naprawdę ryzykowne, nawet najlepszemu autorowi nie wszystko musi się udać.

- Coś ty, stary! Nie ze mną takie numery! Owszem, podpisałem z nią umowę, ale nie na tę nieznaną mi powieść, tylko na biografię żony

prezydenta! To będzie bomba, zobaczysz! Dobra literatura faktu, oto czego potrzebujemy!

- Dobra literatura faktu nie opiera się na fikcji literackiej, ale na faktach. O ile wiem, osoba, której biografię chcesz wydać, unika rozgłosu, nie lubi dziennikarzy i nie chce udzielać wywiadów. Ktoś piszący o niej musiałby ją dobrze znać. To są mrzonki, mój drogi! Chyba że ta twoja autorka należy do jej przyjaciół.

- Nie zna jej jeszcze, ale wierzę, że sobie poradzi.

- Skoro podjąłeś decyzję, nie ma o czym mówić... Podaj mi tylko jej nazwisko i adres, na wypadek gdybym musiał się z nią kontaktować w czasie twojej nieobecności.

- Oczywiście, nazywa się Anna Turska, a adres i numer telefonu znajdziesz w sekretariacie.

- Anna Turska??? Nie pomyliłeś się?

- No wiesz, stary! Przecież mówiłem ci, że ją znam od dawna.

- Niebawale!

- Co w tym, u diabła, niebawalego?

- Ależ ten świat jest mały! - odpowiedziałem znanym porzekadłem i zamilkłem. Bo oto stanęła mi przed oczami Anna sprzed dwudziestu paru lat, wypowiadająca te same słowa, gdy się jej przedstawiłem.

- Znasz Annę? - zdziwił się Michał. - Czy to miałeś na myśli mówiąc, że świat jest mały?

- A jakże! I żeby było zabawniej - także byłem w niej zadurzony jak sztubak.

- To teraz rozumiesz, dlaczego podpisałem tę umowę.

- Ja znałem Annę w czasach, kiedy była tancerką, a nie literatką. Stare dzieje... Ale masz rację, że była świetną dziewczyną.

- Jeszcze i teraz jest niezła.

- Faktycznie, chociaż to już stateczna pani.

- A my jacy jesteśmy?

- Stare pryki, wiem. Ale to nie ma znaczenia. Anna była w naszym stoisku na targach w przeddzień mojej zawieruchy. Umówiliśmy się, że dostarczy maszynopis swojej książki. Przez to całe zawirowanie związane z przeprowadzką zupełnie o tym zapomniałem, chociaż kiedyś nie wierzyłem, czy kiedykolwiek w życiu potrafię o niej nie myśleć bodaj przez chwilę. Więc ty masz jej maszynopis i zabierasz go na urlop?

- Obiecałem, więc muszę to zrobić. Zabiorę go, a ty przeczytasz, jak wrócę.

Na tym zakończyliśmy tego dnia rozmowę o Annie, bo miał mi do przekazania dużo ważnych spraw. Niektóre z nich napawały mnie niepokojem. Kiedy obaj byliśmy na miejscu, on zajmował się sprawami ekonomicznymi, ja zaś wydawniczymi. Sprawy finansowe długo były dla mnie nie do ogarnięcia, nie znałem się na nich, nudziły mnie i przerażały. Michał na szczęście był w tym mocny, poza tym zatrudnił znakomitą księgową, do której miał całkowite zaufanie, gdyż poza tym, że była kompetentna, pochodziła z jego rodziny. Ponieważ wiedział, jak bardzo boję się podejmowania decyzji w tym zakresie, poradził mi, abym zdał się na nią.

- Brygida jest bezbłędna - mówił o swojej kuzynce. - Na pewno będzie wiedziała, jak postąpić w każdej sprawie dotyczącej finansów. Jest zorientowana lepiej niż ja. Możesz więc spokojnie podpisać każdy dokument, który ona sprawdzi albo sporządzi.

Kamień spadł mi z serca.

Wyjazd Michała na urlop odwłókł się jeszcze o trzy dni, bo jego żona uległa zatruciu pokarmowemu. Musiała się trochę wzmocnić przed podróżą. Urzędowaliśmy więc jeszcze obaj. Pod pierwszym nadarżającym się pretekstem rozpocząłem znów rozmowę o Annie. Ciekawiły mnie jej losy od czasu, gdy zniknęła mi z oczu. Opowiedziałem Michałowi historię naszej znajomości we Francji.

- Wyjechała i podobno wkrótce została wdową. Choroba jej męża od czasu, gdy się ujawniła, rozwinęła się błyskawicznie. Tego wszystkiego dowiedziałem się od byłych sąsiadów Anny, nikt z nich nie wiedział jednak, dokąd się wyprowadziła.

- Chyba mieszkała w Krakowie ze swoją matką. Jej brat był znanym dziennikarzem telewizyjnym. Gdy będąc w Londynie dowiedział się o wprowadzeniu u nas stanu wojennego, postanowił działać za granicą. Poleciał do Waszyngtonu i bardzo prędko został stałym korespondentem w „Głosie Ameryki”. Ściągnął Annę do siebie. Mieszkała z synem najpierw u niego, ale potem przeniosła się do Nowego Jorku, bo lepiej się tam czuła. Kiedy się poznaliśmy, już mocno stała na nogach. Miała śliczne mieszkanie na Manhattanie i spory krąg przyjaciół. Miała też kochasia, typa spod ciemnej gwiazdy. Udało mi się przyczynić do tego, że się go pozbyła, co nie znaczy, że zająłem jego miejsce.

- Kim był ten człowiek?

- Podobno architektem, chociaż w Nowym Jorku grywał w polskich knajpach na fortepianie. Piekielnie przystojny, ale straszny lawirant. Anna dała mu się zauroczyć, na szczęście szybko zorientowała się, co to za ziółko. Niestety, już wtedy rozgościł się na dobre w jej mieszkaniu. Nie dość, że nie uczestniczył w kosztach utrzymania, to jeszcze posuwał się do tego, że rano, kiedy Anna wychodziła do pracy, sprowadzał do jej mieszkania kobiety.

- Ze swoim mężem też miewała podobne kłopoty. Nie mogę zrozumieć, jak taką kobietę można zdradzać.

- Ona należy do osób wiernopoddańczych, rozpuszcza natychmiast każdego, kogo pokocha. A podobają się jej przeważnie nicponie, bo przywiązuje wielką wagę do urody mężczyzn, taka z niej estetka. Przy całej swojej mądrości jest bardzo naiwna.

- A jak uwolniłeś ją wtedy od tamtego kochasia?

- Byliśmy zaprzyjaźnieni i zwyczajnie poprosiła mnie o pomoc. Facet zbił jej syna i to sprawiło, że podjęła taką decyzję. Umówiłem się z koleśkiem i powiedziałem mu, że musi się od niej natychmiast wyprowadzić, bo inaczej będzie miał ze mną do czynienia. Mimo że był damskim bokserem, okazał się tchórzem. Zebrał swoje manatki i zmykał, aż się za nim kurzyło.

Ośmielony zaufaniem, jakie mi okazała, zacząłem odwiedzać ją częściej, ale traktowała mnie jak brata, choć trudno mi było ukryć to, co do niej czułem. Nie zauważała tego lub udawała, że nie zauważa, bo tak było jej wygodnie. Poza tym jako człowiek żonaty nie byłem w ogóle brany w rachubę. Anna jest bardzo pryncypialna i wątpię, czy nawet przeżywając wielką miłość poważylaby się na rozbicie czyjś związku. Dyskutowaliśmy kiedyś na ten temat i ona twierdziła, że nigdy nie można ślepo ulegać emocjom. Bardzo mi to do niej nie pasowało, bo w ujawnianiu uczuć wydawała mi się tak spontaniczna, że aż bezbronna. A jednak jest ona osobą o wiele silniejszą, niż się wydaje.

- Nie wyszła powtórnie za męża?

- Nie chciała, ze względu na syna. Raz czy dwa była bliska tego, ale ten dzieciak był szaleńczo do niej przywiązany i zaborczy. Anna bała się, że zwiąawszy się z kimś na dobre sprawi synowi zawód, bo może on uznać, że nie jest najważniejszy w jej życiu.

- Bardzo to do niej podobne. Dać się zdominować, byle nikogo nie urazić. Taką ją zapamiętałem...

- Widzę stary, że nieźle ci zalazła za skórę. Chyba nie myślisz zostawić dla niej Ewę?

- Przez długie lata zdawało mi się, że gdybym spotkał Annę, nie mógłbym ręczyć za siebie. Teraz już się to wypaliło. Ewa jest dla mnie najważniejsza. Mimo, że za młodu niezły był ze mnie ananasik, jestem w gruncie rzeczy monogamiczny.

- Nigdy nie kuszą cię inne kobiety?

- Zdarza się, ale może byłem zbyt leniwy. Ewa tak potrafiła zaaranżować wszelkie moje poczynania, że chyba gdybym chciał ją zdradzić, musiałbym poprosić, by to zorganizowała lub przynajmniej wyraziła zgodę.

- Cha! cha! cha! A to dobre! Zupełnie nie wyglądasz na takiego pantoflarza.

- Nie jestem pantoflarzem. Po prostu ona jest silniejszą osobowością, a ja urodzony do kompromisów.

- Czyli „mąż idealny”. Moje gratulacje, stary, chociaż nie powiem, że ci zazdroszczę. To Ewie można pozazdrościć. Gdyby moja żona słyszała tę naszą rozmowę! Wierciłaby mi dziurę w brzuchu do końca naszych dni.

Pierwszy raz w życiu rozmawiałem w ten sposób z mężczyzną. W głębi serca byłem tym zażenowany. Tego rodzaju zwierzenia robią sobie na ogół kobiety. My jednak poczuliśmy widać braterstwo dusz z powodu podobnej fascynacji Anną.

Kiedy teraz rozważam tę naszą rozmowę, wydaje mi się, że okazałem się w niej hipokrytą. Bo przecież prawdziwa zdrada to nie łóżko czy ukradkowe spotkania za plecami bliskiej osoby. Zdrada jest czymś, co nie daje się utrzymać w ryzach. Ona dzieje się w nas, nie w naszych czynach czy słowach. To stan świadomości. Anna poza krótkimi okresami przerw stale obecna była w moich myślach. Pozorna lojalność to moja największa wada. Z tego właśnie powodu nie potrafię być do końca szczęśliwy i zadowolony. Dotyczy to w takim samym stopniu moich uczuć, co na przykład pracy.

Przyzwoicie wykonuję mój obecny zawód wydawcy, potrafię dzięki niemu zapewnić byt rodzinie, a jednak jestem niezadowolony, ponieważ wszystkie pozytywy zatruwa mi żal do świata, że uczynił ze mnie bardziej urzędnika niż twórcę. W chwilach refleksji ganię siebie za to. Bo gdzie jest napisane, że urzędnik to ktoś mniej pożyteczny niż pisarz? Poza tym nikt z

góry nie nakazał ani nie zmusił mnie do tego, co robię. Dzieje się tak z mojego wyboru. Chyba Ewa ma rację, że uczyniłem sobie barwę ochronną z mojej działalności wydawniczej, gdyż mam okres, kiedy brak mi podniet twórczych. To się podobno zdarza najlepszym. Może tak podziało na mnie znormalnienie życia? Może też skończyłem się wraz z ustaniem walki? To z buntu czerpałem natchnienie, najlepsze moje rzeczy zrodziły się z buntu. Ale przecież to, co się teraz wokół dzieje, dalekie jest od ideału. Nawet bohaterowie pozytywni zmienili się nie do poznania. Niedawno, przed wyborami parlamentarnymi koledzy z konspiracji znowu nacierali na mnie, abym włączył się do gry.

- Nie masz racji Henryku - mówił Wojciech. - Masz obowiązek moralny stać na straży dawnych ideałów. Jesteś czysty, nie zamazałeś swego obrazu żadnym głupim działaniem, więc ludzie obdarzą cię zaufaniem. Zrozum, niczego nam tak nie brakuje, jak autorytetów.

- To, że byłem dobrym człowiekiem do walki, wcale nie znaczy, że muszę być dobry do rządzenia. Poza tym trwa ciągła dywersja tych, którzy zmuszeni byli przejść ze strony wiodącej do opozycji. Oni uważają się za pomazańców i zrobią wszystko, aby swoich wrogów, którzy doprowadzili do zmiany systemu, wyprowadzić z równowagi, a kiedy znajdą się już u kresu wytrzymałości psychicznej, skompromitować. Im dłużej przyglądam się z boku temu wszystkiemu, tym bardziej nabieram przekonania, że nie ma na to innej rady, jak czekanie, aż całe nasze pokolenie usunie się w cień.

- Gdyby wszyscy podchodzili do tego w podobny sposób, przegralibyśmy walkowerem. Nie poznaję cię Henryku, walczyłeś z taką desperacją...

- Nic na to nie poradzę. To była inna walka, do takiej, jaka teraz trwa, ja się nie nadaję. To jest próba nerwów, chyba bym w niej zawiódł.

- Taki jest twój wybór? Czy to twoje ostatnie słowo?

- Obawiam się, że tak. Nic na to nie poradzę.

- Powiem ci tylko, że wybrałeś najłatwiejszą drogę, idziesz po najmniejszej linii oporu.

Przykro mi, że go zawiódłem. Wojtek to ostatni idealista ze starej gwardii. Nie ustaje w działaniach dla dobra kraju. Wciąż kogoś winduje na świecznik, wymyśla strategię, pozwala innym przywłaszczać pomysły, zajmować stanowiska, do których sam się najlepiej nadaje, będąc zawsze w tle. Bo jemu nie chodzi naprawdę o prywatę, tylko o ideały. Tym bardziej jest mi przykro, że go rozczarowałem.



Tak niewiele lat upłynęło od wielkiego przewrotu, a my wszyscy zmieniliśmy się nie do poznania. A może sędzę według siebie? Żal mi tego, że nie jesteśmy już tacy sami, lecz nic nie robię, żeby to zmienić, zaczynając od siebie. Buntuję się wszakoż na stan zastany, ale cóż to za bunt? W czym się wyraża? W niezadowoleniu? W zgorzknieniu? Zgorzknienie to choroba, ciężka, może nawet śmiertelna.

Tak rozmyślałem wtedy nad sobą. Potem przestałem w ogóle analizować swoje stany ducha. Nie miałem na to czasu. Z całą determinacją zacząłem śledzić poczynania Anny. Wcale nie zaniedbywałem dla niej Ewy, nic takiego na razie się nie działo. Annę spotykałem na niwie zawodowej, raz czy dwa wypiliśmy razem kawę przy okazji omawiania warunków współpracy i wydania książek, które dla nas pisała. Oczywiście rozmawialiśmy również na tematy prywatne, ale nie wykraczało to poza granice zwykłej przyjacielskiej wymiany informacji o sobie. A jednak Anna fascynowała mnie nadal, choć nie była to fascynacja erotyczna. Po prostu zadziwiało mnie wszystko, co mówiła, pisała, jej sposób wyrażania siebie, a nade wszystko jej niezwykła wrażliwość.

Upłynęły dwa lata od nawiązania z nią współpracy, napisała dla nas trzy książki - portrety wybitnych ludzi - dwie z nich stały się sensacją wydawniczą. Natomiast jej powieść ciągle czekała na to, byśmy ją przeczytali. Urlop Michała po mojej pamiętnej przeprowadzce miał tak dramatyczny przebieg, że nie było mowy o tym, żeby mógł zająć się czymś takim, jak czytanie czegokolwiek. Pojechali wtedy do Włoch, do czego ich zresztą namówiłem, bo byliśmy poprzedniego roku zauroczeni ślicznym jeziorem Garda, położonym w górach. Niestety, dla Michała i jego żony uroki lago di Garda nie okazały się szczęśliwym wyborem. Zanim dotarli do miasteczka, w którym czekał na nich nocleg w poleconym przeze mnie pensjonacie, zatrzymali samochód przy platformie widokowej i poszli na spacer. Wspinali się po zboczu nad brzegiem jeziora około dwudziestu minut, po czym wrócili na parking. Kiedy odchodzili, stało tam kilka innych samochodów, teraz nie było ani jednego. Natomiast ich BMW miało wszystkie drzwi pootwierane na oścież i podniesioną klapę bagażnika. Ujrawszy to, biegiem pokonali przestrzeń dzielącą ich od samochodu. Wychodząc na chwilę nie zabrali ze sobą niczego. Michał miał wprawdzie portfel z prawem jazdy i niewielką sumą pieniędzy w kieszeni, ale paszporty i większą kwotę trzymał w teczce zostawionej lekkomyślnie w samochodzie. Jego żona podobnie nie wzięła ze sobą zupełnie nic, nawet

nieodłącznej torebki, może dlatego, że nie zamierzali oddalać się od parkingu, chcieli tylko rzucić okiem ze wzgórza. Uroda miejsca wyciągnęła ich nieco dalej. W samochodach, które parkowały obok, siedzieli młodzi ludzie. Musieli zauważyć, że zostawiają wszystko w aucie, i nie omieszkali skorzystać z nadarzającej się okazji, zwłaszcza że z pewnością nie byli to żadni turyści, tylko złodzieje. Wyłamali zamki i zabrali wszystko, co nadawało się do wyniesienia, nawet radio i żywność z koszykiem.

Moi przyjaciele znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji. Cały urlop musieli poświęcić na wizyty na policji i w Konsulacie, żeby dostać dokumenty zastępcze, a kiedy je zdobyli, musieli wracać, bo nie mieli środków na dalszy pobyt za granicą. Ze wszystkich rzeczy ostała się im jedynie plastikowa torba z kilkoma maszynopisami, które Michał zabrał do przeczytania, a między nimi również pechowa powieść Anny. Torbę tę jednak przy naprawie zamków w BMW wyjął właściciel warsztatu samochodowego i zapomniał włożyć ją z powrotem do środka, zanim odebrali wóz z naprawy. Michał tak był zaaferowany kłopotami, że nie zauważył nawet jej braku. Przypomniawszy sobie o niej dopiero po powrocie do kraju. Zanim domyślił się, gdzie się mogła zapodziać, upłynęło sporo czasu. Poszukiwał jej najpierw w pensjonatach, w których się zatrzymywali, a warsztat garażysty był ostatnim miejscem, do którego zadzwonił. Niestety, ów widząc reklamówkę pełną teczek z maszynopisami w nieznanym mu języku, najpierw czekał, aż ktoś się po nią zgłosi. Przeszawił ją to, to tam, wreszcie, po paru tygodniach jeden z pracowników garażu zapytał go, co robić z taką ilością makulatury. Uznał, że jeśli nikt się do znaleziska nie przyznaje, widać nie ma to żadnej wartości. Uzyskawszy zgodę szefa, pracownik zabrał papiery do domu, gdzie jego żona używała ich na podpałkę w kominku. Garażysta zaklinał się, że nie mógł skojarzyć, skąd wzięły się one w jego garażu i nawet zaproponował rekompensatę finansową, ale co to mogło załatwić?

Nie wiedzieliśmy, jak o tym powiedzieć Annie. Odwlekaliśmy przyznanie się do fatalnego przypadku, żywiąc nadzieję, że nie oddała nam jedynego egzemplarza.

Na tym bynajmniej nie skończyły się owego roku kłopoty moje i mojego wspólnika. Ledwie obaj otrząsnęliśmy się z przejść - ja z zamętu przeprowadzki, on po kradzieży - nadeszło zagrożenie w postaci trzech drabów domagających się znacznego procentu od zysków w zamian za zostawienie w spokoju naszej firmy i rodzin. Sprawa wyglądała groźnie.

Osobnicy ci wtargnęli do biura uzbrojeni, wpędzili nas obu do gabinetu i powiedzieli, że nie wyjdą, póki nie wypłacimy gotówki. Nie było tego dnia księgowej, nie mieliśmy kluczy do kasy. Grożąc bronią kazali nam wezwać ją telefonicznie do biura. Byliśmy zmuszeni to uczynić, prosząc, by po drodze podjęła z banku żadaną sumę, bo nigdy nie trzymała tyłu pieniędzy w kasie. Była bardzo zdziwiona tajemniczym poleceniem, jak i tym, że brutalnie kasujemy jej wolny dzień, o który nas od dawna prosiła. Uprzedziliśmy napastników, że to musi potrwać. Powiedzieli, że poczekają. Wyrwali z gniazdek wszystkie przewody telefoniczne i rozsiedli się na naszych miejscach, ustawivszy nas w kącie pokoju. Wymienialiśmy z Michałem bezradne spojrzenia, ale nic nie byliśmy w stanie zrobić. Dranie popełnili jednak błąd. Zanim nas sterroryzowali, nie przejrzeliby dokładnie wszystkich pomieszczeń. Sekretarka była akurat zamknięta w toalecie i stamtąd usłyszała wypowiedziane do nas rozkazy. Bandyci myśląc, że nikogo oprócz nas tu nie ma, nie zniżali głosów i dziewczyna szybko zorientowała się, co się święci. Cichutko przeszła do gabinetu dentystycznego naprzeciwko i zadzwoniła po policję. Ponieważ o przecznicę dalej mieściło się biuro ochrony, policja dała im cynk i zanim sama się u nas pojawiła, ochroniarze już obstawili biuro. Kiedy nadeszła księgowa, zatrzymali ją pod drzwiami i zaraz po tym, jak zapukała i powiedziała, że przychodzi na wezwanie, pchnęli drzwi i wpadli do środka. Błyskawicznie obezwładnili bandytów i byliśmy wolni. Wolni, ale nie do końca bezpieczni. Okazało się, że trzech obwiesie są tylko małą częścią gangu wymuszającego okupy od wszystkich restauracji i liczących się firm w dzielnicy. Musieliśmy zaangażować ochroniarzy w biurze i w domach. Bardzo nam to utrudniło życie, nam i naszym rodzinom. Dlatego zdecydowaliśmy się na przeprowadzkę wydawnictwa. Dotychczas rezydowaliśmy na Starówce, niedaleko Domu Księgarza, lubiliśmy to miejsce. Cóż, nie czuliśmy się tam bezpieczni. Jeszcze do tej pory nie jesteśmy pewni, czy zagrożenie minęło, mimo że policja zapewnia, iż udało się stopniowo zamknąć całą szajkę.

Tymczasem Anna przeprowadzała wywiady do książki, na którą Michał podpisał z nią umowę. Mimo że wywiązała się ze swego zadania, nie doszło do sfinalizowania wydania, po prostu nie było nas na to stać. Przedstawiciel prawny wielkiego męża bohaterki zażądał od nas takiej sumy za prawa do publikacji, jaka w realiach naszego kraju nie wchodziła w ogóle w rachubę. Żeby to się opłaciło, musielibyśmy sprzedać kilka milionów egzemplarzy, co u nas jest zupełnie niemożliwe. Dodawszy do tego rosnącą konkurencję

na rynku wydawniczym i coraz mniejsze zainteresowanie ogółu społeczeństwa rodziną opisywanej postaci, wpakowalibyśmy się w niezłą kabałę, mogąc splajtować... Spróbowaliśmy zainteresować tematem wydawców zagranicznych, ale nie wyrażali entuzjazmu. Nie pozostało nam nic innego, jak odłożyć sprawę ad acta.

Tak więc nasza współpraca z Anną wystartowała pechowo. W swojej delikatności nie pytała nas o zdanie na temat przedstawionej powieści. Wzięło się to być może z rozmowy, którą na początku przeprowadził z nią mój wspólnik.

- Widzisz Anno - tłumaczył jej - jesteś na polskim rynku autorką nieznaną. Wydanie powieści debiutanckiej, nawet kiedy jest ona dobra, wiąże się z dużym ryzykiem finansowym.

- Jednak przecież jakoś nowych pisarzy przybywa. Ja wierzę w tę książkę, ona jest dla mnie bardzo ważna, mam nadzieję, że potrafi czytelnika zainteresować i pobudzić do myślenia - usiłowała go przekonać Anna. - Zresztą, przeczytajcie ją. Jeśli uznacie, że nie jest warta zainteresowania, poddam się. Mam zaufanie zarówno do twego zdania, jak i Henryka.

- Wierzę w sprawność twego pióra, a więc i w to, że książka nam się spodoba. Dlatego też zaplanowałem całą akcję promującą twoją twórczość. Niestety nie mogę jej uruchomić bez twego udziału. Po latach półprawd, przemilczania różnych spraw, okrywania otoczką tajemnicy osób publicznych nastąpiła jawność. Stąd wzięła się moda na literaturę faktu. Zresztą, podobnie jest na całym świecie, może to przyszło do nas z zagranicy? Jakikolwiek temat zaproponujesz z tej dziedziny, podpiszemy umowę. Mało tego, wydrukujemy kolorowy afisz reklamowy z twoją fotografią i obwolutami wydanych pozycji, po to, abyś jako autorka książek ukazujących ludzi sławnych nie pozostała osobą nieznaną. Potem, kiedy utrwalisz się już w pamięci, możemy drukować wszystko, co napiszesz. Zgoda?

- W ten sposób nigdy nie dowiem się, czy to, co piszę, jest chciane przez czytelników, czy jadę na koniunkturze.

- Najważniejsze, żeby książki się sprzedawały. Czasy państwa opiekuńczego minęły bezpowrotnie. Nie jesteśmy instytucją dotowaną, musimy się sami utrzymać. Nie ma innej drogi. Przyrzekam ci jednak, że obaj twoją powieść przeczytamy i jeśli okaże się dobra, wydamy ją szybko.

- Dobrze, wobec tego czekam na werdykt i zastanowię się nad doбором tematów, które ci odpowiadają.

Anna dotrzymała słowa, sama wybrała osoby, o których chciała pisać, i trzeba przyznać, że wybrała je trafnie, bo jej książki szły jak woda. Z powodzeniem mogliśmy już wydać cokolwiek przez nią napisanego, ale temat pierwszej przyniesionej przez nią książki jakoś zagubił się nam w nawale pracy nad tym, co robiliśmy aktualnie.

Zadziwiła mnie rezerwą, z jaką przyjęła swój pierwszy sukces. Było to tuż przed Bożym Narodzeniem. Upłynął zaledwie tydzień od promocji biografii niedawno zmarłej tragicznie wielkiej aktorki, bardzo lubianej przez publiczność. Anna przyjaźniła się z nią przed laty, знаła jej dramatyczne koleje losu i napisała o tym bardzo wzruszającą książkę. Już po tygodniu od wypuszczenia jej na rynek została umieszczona na szczycie listy najlepiej sprzedających się pozycji. Zadzwońłem do Anny, żeby pogratulować.

- Czytałaś dzisiejszy „Przegląd Kulturalny”?

- Owszem, przeglądałam.

- I co ty na to?

- Na co? Czyżbym coś ważnego przeoczyła?

- A jakże! Listę przebojów wydawniczych. Jesteś pierwsza na liście bestsellerów!

- Naprawdę? - zdziwiła się. - A to zabawne! Co za wybryk natury!

Wbrew naszej opinii o tej książce, wbrew temu, jak przyjęła ją krytyka i czytelnicy, Anna nie była z niej zadowolona.

- Mam wrażenie, jakbym odrobiła starannie szkolne wypracowanie - powiedziała, oddając ją po korekcie.

Ona ciągle czekała na naszą opinię o swojej powieści, nad którą pracowała latami. Tylko na jej wydaniu naprawdę jej zależało. Nie poruszyła jednak ostatnio tego tematu, zapewne wychodząc z założenia, że uznaliśmy tę książkę za nic niewartą, skoro żaden z nas nie wyraził o niej swojej opinii.

Przełomowym momentem w naszych wzajemnych kontaktach były jej imieniny po powrocie z Nowego Jorku od syna. Filip, którego pamiętałem jako małego chłopca, był teraz cenionym naukowcem, profesorem literaturoznawstwa na Uniwersytecie Harvardzkim. Zaprosił ją na swój ślub. Zamierzała tam zostać trzy miesiące, wróciła po czterech tygodniach. W przeddzień swoich imienin zadzwoniła do wydawnictwa z prośbą o

wypłacenie jej procentu od sprzedaży książek za ostatni kwartał. Byłem zaskoczony, że wróciła przed terminem, bo bardzo się cieszyła na pobyt u syna. Musiało zdarzyć się coś nieoczekiwanego, skoro zmieniła plany. Usłyszawszy nazajutrz rano przy goleniu w audycji „Lato z radiem”, że właśnie imieniny obchodzą Anny, natychmiast chwyciłem za telefon, żeby jej złożyć życzenia. Była mile zaskoczona i zaprosiła mnie z Ewą na „małe co nieco”.

- Przyjdź koniecznie z żoną, jeśli nie macie planów na dzisiejsze popołudnie. Czas najwyższy, żebyśmy się poznały.

Obiecałem, że przekażę Ewie jej miłą propozycję, jednak bez żadnej racjonalnej przyczyny nie uczyniłem tego. Albo może miałem swoje powody. Ewa było mi bliska, ale pochodziła z mojej codzienności, natomiast Anna nie pasowała do tej codzienności, plasowała się po stronie marzeń, nawet jeśli one dawno poblakły i rzadziej mnie nawiedzały. Poza tym nigdy nie wyjaśniłem Ewie do końca powodu zerwania pierwszych zaręczyn. Bałem się, że w rozmowie wyda się, jak i kiedy poznaliśmy się z Anną, i moja żona wszystkiego się domyśli. Nie, w żadnym razie nie chciałem, aby te dwie kobiety wymieniały swoje opinie na mój temat. Było bardzo prawdopodobne, że mogłyby się zaprzyjaźnić, znając je obie podejrzewałem, że nawet nieuniknione. Nie chciałem tego, byłem z góry zazdrosny o tę więź, poza nawiasem której siłą rzeczy musiałbym się znaleźć. Ponadto sam pomysł takiej przyjaźni wydawał mi się niesmaczny, zważywszy na intensywność moich niegdysiejszych marzeń o Annie, podczas gdy żyłem już u boku Ewy. To było dawno temu, ale wolałem nie stwarzać precedensu. Musiałem więc okłamać obie panie. Nie było to trudne, bo Ewa nauczyła się organizować sobie wieczory i popołudnia beze mnie. Wystarczyło zadzwonić i powiedzieć, żeby na mnie nie czekała.

Anna była trochę zaskoczona, kiedy o wyznaczonej godzinie pojawiłem się sam. Z żalem wysłuchała mego tłumaczenia.

- Moja żona bardzo dziękuje za zaproszenie i jest naprawdę nie-pocieszona, ale ma akurat bardzo ważne zebranie w swojej fundacji na rzecz dzieci niepełnosprawnych - kłamałem jak z nut.

- Szkoda, wielka szkoda. Gdybyś mnie o tym uprzedził, przełożyłabym to spotkanie na inny dzień. Z powodu mego nagłego przyjazdu nie zapraszałam innych gości, właściwie nikt z moich znajomych nie wie, że wróciłam.

Anna wydawała się zażenowana naszym niespodziewanym spotkaniem w jej domu en deux\*.

\*(fr.) - we dwójkę

Jej skrepowanie udzieliło się także mnie i nie wiedziałem, jak z tego wybrnąć. Oboje nie wiedzieliśmy. Ona jednak szybko zaczęła czynić honory domu.

- Nie będę mógł zostać długo - zastrzegłem nieszczercze. - Jestem ciekaw, co skłoniło cię do wcześniejszego wyjazdu od syna.

- Jego żona - odpowiedziała ustawiając na stole przygotowany poczęstunek.

- Co ty powiesz? Wymówiła ci dom???

- Ach nie! To osoba bardzo dobrze wychowana i obyta, nawet gdybym okazała jej niechęć, nie posunęłaby się do czegoś podobnego. To ja nie potrafiłam się tam odnaleźć.

- Michał opowiadał mi, że kiedyś byłaś zadomowiona w Nowym Jorku.

- Kocham Nowy Jork, ale nie wypadało, żebym mieszkała gdzie indziej, skoro przyjechałam do syna. A u nich czułam się źle. Widzisz, ta jego żona jest w moim wieku, a nawet starsza ode mnie o trzy lata i nie potrafię sobie z tym poradzić. Do tego jest bardzo pewna siebie i ferowanych przez siebie sądów. Ona go na nowo kształtuje, uczy go patrzeć po swojemu na świat i ludzi. Filip miał nadzieję, że będziemy przyjaciółkami, ale ona mnie przytłacza. Jej nieustanne rezonerstwo sprawia, że czuję się przy niej jak na cenzurowanym. Zupełnie jakbym do wielu spraw nie dorosła. Zdawało mi się, że znam język angielski, a przy niej wciąż robię fatalne błędy tylko z tego powodu, że czuję, jak ona mnie ustawicznie ocenia. Paradoksalna sytuacja, bo to ja, jako teściowa, powinnam być predysponowana do takiej postawy.

- A Filip? Jak on to znosi?

- Wyobraź sobie, że wydaje się być bardzo szczęśliwy. Sekunduje wszystkiemu, co ona robi i mówi, jest w stosunku do niej tak uważny i uczynny, że mnie to wprawia w zdumienie. Staralam się nie wychowywać go na egoistę, ale rezultaty przeszły moje oczekiwania. Jak żyję nie widziałam partnera tak partnerskiego jak on.

- Skoro są szczęśliwi, o co ci chodzi?

- Nie wiem. Ganię siebie za to, lecz wybiegam myślą w przyszłość i to mnie przeraża. Uśmiejesz się, ale martwię się o nią. O to, że jak będzie schorowana i mniej atrakcyjna, Filip, jak to mężczyzna, ostygnie, nie daj

Boże, w uczuciach i może ją wtedy śmiertelnie zranić. Wciąż myślę, jak to będzie, gdy on stanie się panem po czterdziestce. Nie obraż się, ale każdy z was w tym wieku dostaje małego rozumu, lubicie czy też musicie wtedy sprawdzać się w swojej męskości.

Jeśli więc i jemu się to zdarzy, jak ona się będzie wtedy czuła? Równolatki przestają się kochać i znaczy to jedynie, że minęło uczucie. Natomiast opuszczenie kobiety starszej, słabej czy schorowanej ma zupełnie inny aspekt moralny. To się, oczywiście, wcale nie musi im zdarzyć, ale patrząc na nich nie mogę przestać o tym myśleć. Zawsze zamartwiam się na zapas. Poza tym chciałabym mieć wnuki... Widzisz, takie tam egoistyczne pragnienia... Z tych właśnie powodów nie czułam się w ich domu dobrze, nie z ich, ale mojej winy. Z przyczyny tego, co mnie nurtowało...

- Znałaś ją przedtem?

- Nie. Wiedziałam tylko, że spotkał kogoś, kto się w jego życiu liczy. Dlatego nie nalegałam, gdy zdecydował, że zostaje.

Cała ta opowieść Anny wzbudziła we mnie niepokój. Moja córka skończyła właśnie dwadzieścia lat i lada chwila komuś zawierzy swoje życie. Wątpię, aby wybrała człowieka idealnie odpowiadającego moim wymaganiom, i nie wiem, czy w jakikolwiek sposób zdołam pokierować jej wyborem. Od tej myśli zrobiło mi się ciężko na sercu i pod jej wpływem powiedziałam:

- Żebyśmy oddali dzieciom wszystko, co w nas najlepsze, całą swoją wiedzę i nie wiem ile uczucia, nie możemy za nich przeżyć życia. Urządzą je tak, jak zapragną. Nie zechcą uczyć się na naszych błędach, muszą doświadczyć swoich...

- Tak... Wiem to. Dlatego wolałam się oddalić. Żeby moją troską nie przysporzyć mu więcej złego niżli dobrego. Tylko wiesz, bardzo za nim tęsknię, tak wielka przestrzeń nas dzieli... kiedyś nauczyliśmy się opowiadać sobie wszystko, udzielać rad, wspierać wzajemnie. Nadal prowadzimy długie rozmowy przez telefon, piszemy do siebie listy. Tylko, że on teraz raczej komunikuje o tym, co zrobił, nie prosi o rady.

- Wydorósł Anno, ile ma lat?

- Trzydzieści dwa.

- Też nie prosiłem o rady w jego wieku. A może ty jesteś o tę kobietę zazdrosna?



- Sama siebie o to pytam. A może po prostu czuję się bardzo osamotniona. Zawsze zdawało mi się, że jak już będę zwolniona od czuwania nad synem, gdy skończy się moja odpowiedzialność, dokonam wielkich rzeczy. Myliłam się. Brak mi właśnie tamtych obowiązków i tamtej odpowiedzialności. Wolność jest mi kulą u nogi.

- Wcale nie musisz żyć samotnie. Mogłabyś to zmienić, gdybyś zechciała.

- To nie jest takie proste, jak się wydaje. Starzeję się, dziwaczeję, ale mam romantyczne wymagania młodej dziewczyny.

- Ty się nigdy nie zestarzejesz.

Siedzieliśmy tak gawędząc, zapomniawszy o kosztowaniu przygotowanych przez Annę smakołyków. Każde z nas trzymało kieliszek w ręku i sączyło trunki. Nastrój skrzępowania, który zawładnął nami na wstępie, zniknął bez śladu. Czuję się tak, jakby wszystkie lata, które upłynęły od naszej zażyłości paryskiej, nie istniały. Anna miała krótsze włosy, bardziej okrągłą twarz i figurę, ale jej głos brzmiał tak samo ciepło jak wtedy i w ogóle emanowało z niej to urzekające ciepło, które mnie tak w niej pociągało. Była to ta sama, niepewna siebie istota, pełna skrępowań, jakby przeproszała, że żyje. Uświadomiłem sobie, że znalazłbym w sobie siły na to, aby usuwać z jej drogi wszelkie przeszkody. „I kto to mówi!” - usłyszałem nagle ironiczny okrzyk Ewy. Aż się wzdrygnąłem, taki był realny. Porywy, które ogarniały mnie przy Annie, rzeczywiście przeczyły mojej naturalnej postawie. Roześmiałem się do siebie czy raczej z siebie i zupełnie nieoczekiwanie wyznałem:

- Wtedy w Paryżu byłem w tobie szaleńczo zakochany, porzuciłem dla ciebie Ewę, domyślałaś się tego?

- Ty? We mnie? Nie. To nieprawda. Czulaam do ciebie ogromną estymę. Byłaś w jakimś sensie moim ideałem. Robiłaś to, co ja chciałam robić, i byłaś znakomitym kumplem. Do tego miło się było z tobą pokazać, taki byłaś przystojny. Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogłabym cię zainteresować jako kobieta...

- Ależ z ciebie kokietka!

- Naprawdę? Zresztą, miałam mnóstwo kłopotów, byłam też trochę zakompleksiona... nie, ty sobie ze mnie żartujesz?

- To prawda, Anno. Długo nie mogłem o tobie zapomnieć i chyba nie zapominałem.

- Co masz na myśli?

- To, co mówię. Gdybym nie był związany, powiedziałbym, że wróciłem do punktu wyjścia.

- Ale jesteś związany i nie ma o czym mówić... Dziękuję ci jednak za to wyznanie. Podnosi mnie na duchu. Jaka ona jest, twoja Ewa?

- Całkowite przeciwieństwo ciebie. Poza tym, że również ładna i elegancka. Niezwykle rozsądna i zaradna. Zdecydowana i nieomylna. Zdziwisz się, ale przy niej czuję się niezbyt dorosły i niepewny siebie. Organizuje wszystkie moje poczynania.

- Żartujesz! No to chyba dobrze, masz bardzo ułatwione życie. Nie tak sobie ciebie wyobrażałam, ale skoro ci z tym dobrze...

- A jak sobie mnie wyobrażałaś?

- Może jak Don Kichota? Takiego, co to wszystko robi dla swojej Dulcynei. A ty mi mówisz, że to ona jest opiekuńcza...

- Ja też, oczywiście, potrafiłbym być opiekuńczy, gdyby tego potrzebowała, ale ona świetnie sobie radzi.

- A może się mylisz? Może ona niejednokrotnie potrzebuje twojej pomocy, ale nie prosi cię o nią, bo cię chroni?

- Nie sądzę, Gdyby chciała, żebym zachowywał się inaczej, powiedziała by mi. Jest bardzo prostolinijna i dzielna.

- A może nie ma innego wyjścia? Każda z nas czasem wcale nie chce być dzielna. Bo czyż nie słodko być małą, bezradną istotą, za którą wszystko ktoś załatwi?

- Nie rozumiem, czemu stałaś się nagle adwokatem mojej żony. Ona tego nie potrzebuje. Jest szczęśliwa. Na jakiej podstawie to podważasz? - pytałem rozdrażniony, bo czułem, że Anna może mieć rację. Przy mojej skłonności do użalania się nad sobą mogłem coś przeoczyć. - W ogóle nie wiem, czemu o tym rozmawiamy - powiedziałem - to nie jest temat imieninowy.

- Co proponujesz w zamian? Nie wiedziałam, że są jakieś specjalne tematy imieninowe.

- A jakże! Na przykład kolejny toast, za ciebie, za nasze spotkanie, za spełnienie twoich życzeń...

- Rozumiem. Powinnam napełnić kieliszki.

- Czytasz w moich myślach.

- Gdybym to potrafiła, nie dręczyłabym się dłużej - powiedziała zagadkowo.

- Ejże! Tylko mi nie mów, że jestem przyczyną twojej udreki.

- Naturalnie. Chociaż to nie ty, tylko twoje zdanie w pewnej ważnej dla mnie sprawie.

- Zaciekawiasz mnie, cóż to takiego?

- Nie domyślasz się?

- Absolutnie nie.

- To niebywałe... trudno. Nie będziemy dzisiaj o tym mówić.

Zupełnie zapomnieliśmy oboje o rym, co powiedziałem na wstępie, że nie zabawię u niej długo. Wcale nie chciało mi się z nią rozstawać i nie odczułem, żeby ona chciała się mnie pozbyć.

- Spotkanie z tobą zaważyło na moim życiu - wyznałem.

- Oj, Henryku, widzę, że zaszumiało ci w głowie. Czyżby moje niewinne drinki miały taką magiczną moc?

- Drinki nic tu nie mają do rzeczy, co najwyżej na trzeźwo nie odważyłbym się ci tego powiedzieć.

- A ja pewnie nie chciałabym słuchać. Może więc lepiej zamknąć barek?

- Wyrzucasz mnie?

- Nie! Skądże znowu... - powiedziała to tak spontanicznie, że na mojej twarzy rozlał się uśmiech zadowolenia. Zinterpretowała go opacznie, bo zaczęła się tłumaczyć:

- Mówiąc to miałam na myśli fakt, iż zapraszając cię... przepraszam, zapraszając was do siebie liczyłam się z tym, że spędzicie ze mną cały wieczór, ale jeśli się śpieszysz...

- Nie śpieszę się, obchodzę twoje imieniny. Zabrnąłem już w zwierzenia, więc będę brnął dalej, chcesz tego czy nie. Otóż bardzo długo liczyłem na to, że cię odnajdę. Potem moje życie zupełnie się zmieniło, byłem w takim impasie, że te sprawy siłą rzeczy musiały zejść na plan dalszy.

- Masz na myśli proces i więzienie?

- Skąd o tym wiesz?

- Mówiło się o tym. Bardzo się wtedy tobą martwiłam. Potem w Waszyngtonie dowiedziałam się od brata, jak wiele zrobiłeś dla nas wszystkich, jak się narażałeś. Byłam z ciebie dumna, także i wtedy, kiedy zdecydowałeś, że nie będziesz odcinał kuponów od swoich zasług i zrezygnowałeś z polityki.

- Ty mnie za to nie potępiasz?

- Odwrotnie. Zachowałabym się tak samo. Tylko ja nie mam prawa w tej sprawie się wypowiadać, bo zajęta byłam wtedy swoimi osobistymi sprawami, podczas gdy inni nadstawiali głowy.

- Byłaś matką samotnie wychowującą dziecko, to cię usprawiedliwia.
  - Bo ja wiem... To chyba zależało od tego, jakie miało się kontakty. Nie byłam wtajemniczona.
  - Nie sądziłem, że interesowały cię moje losy.
  - Dlaczego? Przecież byliśmy zaprzyjaźnieni. Nigdy nie zapomniałam, ile dla mnie zrobiłeś.
  - Bo ty budzisz we mnie instynkty opiekuńcze.
  - Użyj czasu przeszłego.
  - Jak chcesz. Lubiłem wyobrażać sobie przy innych kobietach, jak by to, co w danej chwili robię, wyglądało z tobą. Byłem tak zarozumiały, iż czasem zdawało mi się, że jednak trochę iskrzyło między nami.
  - Może... Ale to nigdy nie miało szans. Dlatego odsuwałam od siebie każdą myśl na ten temat. Mój Boże! Po co ja ci to mówię? Chyba rzeczywiście za dużo było tych toastów.
  - Nie byłabyś sobą, gdybyś wszystkiego, co czujesz, nie zdradziła. Cieszę się, że nic się nie zmieniłaś.
  - Przestań! Żonaty mężczyzna nie powinien w ten sposób rozmawiać z samotną kobietą.
  - Masz rację. Ale czy musimy robić tylko to, co powinniśmy?
  - W tym przypadku nie widzę powodów, żeby robić cokolwiek. Zmieńmy więc lepiej temat.
  - Jak sobie życzysz. Uciszmy wspomnienia, bo to niebezpieczne.
  - Henryku, ja wiem, że nie chcesz mi robić przykrości, ale powiedz mi szczerze, co ci się nie podobało w mojej powieści? Czy aż tak źle ją oceniasz, że uważasz za stosowne przemilczeć opinię?
- Zaczerwieniłem się po uszy. Obaj z Michałem zachowaliśmy się jak szczeniaki. Powinniśmy byli jej powiedzieć, że książka została zagubiona, zanim zdążyliśmy ją przeczytać. Pomijając nasze z nią dawne przyjaźnie, była jedną z lepszych naszych autorek. Mieliśmy dzięki niej dochody.
- Widzę, że trafiłam w sedno - roześmiała się gorzko. - Zarumieniłeś się...  
Więc taka jest niedobra...
  - Anno, ja jej nie przeczytałem.
  - Co???
  - Chciałem, naprawdę chciałem, ale książka zaginęła.
  - Jak to, zaginęła?

Opowiedziałem jej całą historię. Z powątpiewaniem kiwała głową. Wyglądała tak, jakby się miała rozplakać. Zaprzagnąłem wziąć ją w ramiona i utulić. Zupełnie niedorzecznie.

- To brzmi jak jakaś bajeczka... Mam w to uwierzyć? Jeśli tak było naprawdę, mogliście się do mnie zwrócić o drugi egzemplarz.

- Zamierzaliśmy to uczynić.

- Kiedy? Za następne dwa lata?

- Nie mamy usprawiedliwienia. Michał powtórzył mi rozmowę z tobą, z której wynikało, że zgodziłaś się na wydanie tej książki w dalszej kolejności.

- Usiłował mnie do tego przekonać. Michał jest wydawcą czy nawet przede wszystkim drukarzem, ale ty przecież jesteś pisarzem. Czy nie przeżywałaś nigdy tego niepokoju i niecierpliwości, gdy chodziło o rzecz, do której przywiązujesz wagę?

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Byłem bardzo ciekawy tej książki, to splot niedobrych okoliczności wszystko pogmatwał. Daj mi ten egzemplarz. Postaram się wszystko naprawić.

- Nie wiem, czy mam na to ochotę. Przecież nie podpisaliście ze mną umowy na wyłączność.

- Masz prawo być obrażona, ale proszę cię o to, byś pozwoliła mi to przeczytać bez względu na to, gdzie chcesz wydawać.

- Nie proś mnie o to. Nie dzisiaj. Poczułam się bardzo zmęczona, muszę się z tą rewelacją oswoić.

- Chcesz, żebym poszedł.

- Z pewnością czekają na ciebie w domu. Dziękuję za życzenia, a szczególnie za to, że zdjąłeś mi kamień z serca, że mogę mieć jeszcze nadzieję, iż nie napisałam kiczu.

- Z pewnością nie. Ciebie nie stać na to, Anno. To był, mimo wszystko, bardzo miły wieczór. Będę czekał, aż zmienisz zdanie i dasz mi swoją książkę do przeczytania.

Anna przyłożyła palec do ust. Wziąłem jej rękę i ucałowałem. Potem wyszedłem. Była północ, już po imieninach...

Myślałem znowu o Annie niemal nieustannie. Chciałem naprawić zawód, jakiego przeze mnie doznała. Gdyby jednak nie doszło do zenującej rozmowy o książce, nie wiem, jak by się tamten wieczór zakończył. Pierwszy raz, odkąd jestem żonaty, zapomniałem się tak dalece. Było mi wstyd i miałem wyrzuty sumienia w stosunku do nieświadomej niczego

Ewy. A przecież nic się nie stało. Cały szkopuł w tym, że z Anną wszystko rozgrywało się jedynie w sferze ducha, a jednak miało wielką wagę. Nie zdradzając Ewy fizycznie, zdradzałem ją po stokroć bardziej i to był mój wielki kłopot. Marzenia potrafią być niszczące, a to był właśnie ten przypadek. Opanowało mnie coś w rodzaju natręctwa myśli. Zacząłem się zachowywać jak głupia pensjonarka. Wybierałem numer Anny na tarczy telefonu i nie odzywałem się, gdy się zgłaszała. Pierwszy raz zrobiłem tak dlatego, że ogarnęła mnie trema, potem weszło mi to w nawyk. Chciałem ją widywać i bałem się tego.

Któregoś dnia włączyłem wieczorem radio i usłyszałem jej głos. Udzielała wywiadu na temat swoich książek.

- Jak to się dzieje, że fascynuje panią wyłącznie życie innych? Czy nie ma pani własnych pomysłów?

- Na książkę o życiu innych także trzeba mieć pomysł - broniła się Anna.  
- Inaczej nikt tego nie będzie czytał.

- Zainteresowanie gwarantuje nazwisko osoby opisywanej. Pani o tym wie. Mnie chodzi o to, czy starczyłoby pani fantazji do napisania czegoś oryginalnego. A może pani po prostu nie jest osobą kreatywną i wygodnie pani lansować się spisując losy innych, uznanych już wielkości.

- Piszę również powieści, ale zapotrzebowanie czytelników...

Nie mogłem tego słuchać. Jakim prawem ten buńczuczny młokos atakował ją w taki sposób? Pomyślałem, że gdybyśmy wydali jej powieść, nie byłaby narażona na podobne pytania. A zresztą, jak można kogoś atakować za to, że robi to, a nie co innego, skoro rezultaty są więcej niż dobre? Postanowiłem ponowić prośbę o udostępnienie mi maszynopisu. Ten wywiad był doskonałym ku temu pretekstem. Wiedziałem, że audycja była nagrana wcześniej, zadzwoniłem więc do Anny.

- Słuchałem wywiadu z tobą. Zdenerwował mnie ten szczeniak. Jak można zadawać takie pytania?

- Gdybyś chodził na moje spotkania z czytelnikami, dopiero byś się zdziwił. Nie masz pojęcia, o co ludzie mnie pytają.

- Wiem coś na ten temat, sam miewam takie spotkania.

- Ostatnio na przykład jedna z moich czytelniczek zaproponowała mi, żebym zaadoptowała jej wnuka!

- Co ty powiesz? To miłe. Bo to znaczy, że ma do ciebie zaufanie.

- Też tak to odebrałam. Chociaż nie jestem tego taka pewna, bo lekkomyślnie przy dedykacji do książki wpisałam na jej usilną prośbę

numer mojego telefonu. Wydzwania teraz ciągle. Czasem wcale się nie odzywa. Jest chyba niezrównoważona.

No i dostałem za swoje! Na szczęście nie widzi, jakie mam czerwone uszy. Dobrze mi tak! Ale przynajmniej mnie nie podejrzewa o szaleństwo).

- Anno, nie mówmy o tej wariatce. Chcę cię prosić żebyś mi dała maszynopis. Przysięgam, że przeczytam w trzy dni. Żeby skały pękały!

- Nie przyrzekaj. Przecież wyjeżdżasz jutro na Targi w Lipsku. Nie będziesz miał czasu.

- Ach, prawda... Ale dasz mi go, jak wrócę?

- Może.

- Nie „może”, tylko na pewno. Śpij dobrze i nie martw się wywiadem.

- To miłe, że zadzwoniłeś, dobranoc.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Po powrocie z Lipska nie od razu zadzwoniłem do Anny, bo mieliśmy straszny kłopot w domu. Nasz szesnastoletni syn Marek stał w długiej kolejce w dziale muzycznym „Juniora” po autograf swego idola na płycie i nagle poczuł mocne ukłucie w pośladek. Odwrócił się i zobaczył jakiegoś niedomytego wyrostka z zamglonym wzrokiem, trzymającego w rękę strzykawkę. Dzieciak zrozumiał, że tym właśnie narzędziem został ukłuty. Zarówno w szkole, jak i w domu był intensywnie ostrzegany przed szkodliwością narkotyków, ostatnio też mnożyły się przypadki atakowania młodzieży przez narkomanów ze strzykawkami, o czym młodzi dyskutowali między sobą, zatem Marek doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jakie to ukłucie mogło mieć dla niego konsekwencje. Nic dziwnego, że ogarnięty paniką zrezygnował z wymarzonego autografu i postanowił wrócić natychmiast do domu. Wsiadł do autobusu i poczuł, że strach powoli ulata, a on sam zdaje się dostawać skrzydeł, jest mu radośnie i kolorowo. Zajął jedno z wolnych miejsc jedynie po to, by móc poddać się marzeniom i czarownym wizjom, które go ogarnęły. Czuł się szczęśliwy, wydawało mu się jednocześnie, że ludzi jadących z nim w autobusie przesłania coraz mniej przejrzysta zasłona mgły, która stopniowo zrobiła się tak gęsta, że oddzieliła go w ogóle od reszty świata. Głowa zakołysała mu się tak mocno, że nie mógł jej utrzymać w pozycji pionowej, a potem przestał cokolwiek widzieć, słyszeć i czuć. Tak Marek relacjonował swoje doznania, kiedy odebraliśmy go ze szpitala.

Tamtego dnia przybiegł do naszego domu syn sąsiada z wiadomością, że konduktor autobusu wysadził naszego syna przy pętli i chciał zadzwonić po policję, bo chłopak wydał mu się mocno odurzony alkoholem lub narkotykiem. Nie uczynił tego na usilną prośbę ojca chłopca, który powiedział, że sam się nim zajmie, bo to syn jego znajomych. Rzeczywiście został na przystanku z naszym synem, a swojego wysłał, żeby nas zawiadomił. Ja w tym czasie byłem jeszcze w pracy, a Ewa miała swoje cotygodniowe zajęcia w fundacji na rzecz dzieci niepełnosprawnych. Nasza córka Beata przed miesiącem wyprowadziła się z domu do własnej kawalerki. Tak więc mały posłaniec nie zastał u nas nikogo oprócz litewskiej gospodyni, pani Wali, która akurat smażyła pączki. Zajęcie to uznała za znacznie ważniejsze niż podejrzenia konduktora i sąsiada w stosunku do Marcuszka, który był jej pupilkiem i dałaby sobie za jego



niewinność głowę uciąć. Krzyczała, że się ludziom do reszty w głowach pomieszało, jeśli takiego dzieciaka mogą podejrzewać o branie narkotyków czy picie alkoholu. Powiedziała, żeby mu natychmiast pozwolili wrócić do domu, bo inaczej ona, jak tylko skończy smażyć pączki, przyjdzie im powiedzieć, co o tym myśli. Dopiero kiedy sąsiad z innym nieznanym mężczyzną przytaszczyli do domu nieprzytomnego Marka i kazali natychmiast zawiadomić rodziców i lekarza, pani Wala przerwała swoje ważne zajęcie i zadzwoniła do mnie.

- Niech pan szybko przyjedzie do domu Mareczka naszego ratować, a to, nie daj Boże, na amen wykończy się.

Usłyszawszy ton jej głosu, komunikujący mi tę piorunującą nowinę, nie pytałem już o szczegóły, tylko wsiadłem do samochodu i gnałem do domu z prędkością, jakiej chyba nie osiągnąłem nigdy dotąd. Byłem przekonany, że zdarzył się jakiś straszny wypadek. Inaczej być nie mogło, skoro nasza pani Wala, uosobienie stoickiego spokoju, zdawała się być przerażona. Niedaleko domu, na skrzyżowaniu omal nie zderzyłem się z innym wozem, który zahamował tak ostro, że aż go zarzuciło na chodnik. Brakowało paru centymetrów do tego, by się nie tylko zderzył ze mną, ale na dodatek przewrócił latarnię. Gdy już zupełnie ucichł pisk hamulców, z przerażeniem stwierdziłem, że o mało co nie nie staranowałem samochodu własnej żony!

Ewa siedziała za kierownicą blada jak płótno i nie mogła otrząsnąć się z szoku. Otworzyłem drzwi samochodu, podszedłem do niej:

- Henryk??? Co ty wyrabiasz. Omal mnie nie zabiłeś!

- Co z Markiem? - zapytałem. - Co mu się stało?

- Jak to... o czym ty mówisz?! - krzyknęła niemal. Powiedziałem jej o telefonie od Wali.

- O Boże! Jedźmy tam prędko.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, zastaliśmy Marka rozciągniętego na kanapie oraz panią Walę klęczącą przy nim i odmawiającą pacierze. To wystarczyło, abym poczuł miękkość w nogach, zaś Ewa upadłaby na progu, gdybym w porę temu nie zapobiegł.

- Pomogę panu - usłyszałem głos mego sąsiada, który nie wiedzieć skąd pojawił się nagle przy mnie i pomógł mi usadzić przelewającą się przez ręce żonę w fotelu.

- Chwała Bogu, że jesteście już państwo w domu, trzeba natychmiast wezwać lekarza.

- Co się stało? - spytałem bez tchu.

- Nie ma pan odrobiny alkoholu? Proszę podać żonie, dobrze jej to zrobi - komenderował sąsiad. — Nie chcę pana zdenerwować, ale wygląda na to, że pański syn przedawkował narkotyki.

- Co??? Ależ to nonsens! On nie mógł mieć z tym nic wspólnego! To zapewne jakiś atak...

- Niech pan nie traci czasu i dzwoni na pogotowie. Jechałem z nim autobusem, kiedy był jeszcze przytomny, to wyglądało naprawdę na odurzenie. Dlatego pozwoliłem sobie poczekać, tym bardziej, że państwa gospodyni zupełnie straciła głowę.

- Ja zadzwonię - powiedziała nagle zupełnie przytomnie moja żona i podeszła do telefonu.

Wybrała numer na tarczy i zorientowałem się, że wcale nie rozmawia z pogotowiem, tylko z szefem organizacji zajmującej się sprawami uzależnionych.

- Panie Jarku, potrzebuję gwałtownie pomocy, mój syn jest nieprzytomny, istnieje podejrzenie, że po narkotyku. Tak...tak... sami nic nie wiemy. Dziękuję panu.

- Zaraz tu będą, razem z lekarzem - powiedziała do nas. Podeszliśmy do Marka. Leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Z otwartych ust wyciekała mu ślina. Jego oddech był cichy i spazmatyczny, jak po ataku epilepsji. Dotknąłem czoła - było zimne.

- Pan wybaczy - powiedział mój sąsiad podchodząc do kanapy. Podniósł jedną z zamkniętych powiek Marka. Miał nieruchomą, ale bardzo rozszerzoną źrenicę.

- Widzi pan? - zwrócił się do mnie. Miałem ten sam kłopot z moim starszym synem.

- Ale nasz syn nigdy dotąd... przecież bym zauważyła... - Ewa nie mogła pohamować łez.

- To mógł być fatalny pierwszy raz, ale duża dawka.

- O Boże, czemu ich jeszcze nie ma? - szeptała Ewa - Coś ty zrobił, syneczku, coś ty najlepszego zrobił!

Teraz ona zajęła miejsce Wali. Klęczała przy kanapie tuląc do siebie bezwładną rękę Marka. Stałem tuż za nią i nie byłem w stanie nic zdziałać w tej rozpaczliwej sytuacji. Sąsiad nie przestawał relacjonować całego zdarzenia.

- Zwróciłem na niego uwagę na przystanku przed domami Centrum, gdzie obaj wsiadaliśmy do autobusu. Wydawał się czymś przerażony. Był

bardzo blady i z nienormalną niecierpliwością oczekiwał przyjazdu autobusu. Zaintrygowany jego zachowaniem, zająłem w autobusie miejsce blisko niego. Początkowo na jego twarzy utrzymywał się wyraz napięcia i strachu, ale stopniowo napięcie jakby zelżało i zaczął się nawet uśmiechać. I wtedy zobaczyłem jego oczy, jakby nieprzytomne i zognioniałe, z wielkimi źrenicami. Doznałem wstrząsu: chłopak musiał być pod wpływem narkotyku. Nie raz widziałem w takim stanie mego starszego syna. Dlatego zaopiekowałem się nim, nie pozwoliłem zawiadomić policji i poczekałem z wezwaniem lekarza do przyjazdu państwa.

- Jesteśmy panu wdzięczni - powiedziałem i pobiegłem do drzwi, bo dzwonek sygnalizował nadejście pomocy.

Niestety, był to tylko kolega Marka, z którym miał się wybrać na spotkanie z idolem.

- Przyniosłem Markowi płytę z autografem. Udało mi się załatwić i dla niego.

- To on nie poszedł tam z tobą?

- Byliśmy razem, tylko potem, jak ten ćpun wbił mu strzykawkę, przestraszył się i wołał pojechać do domu.

- Jaki ćpun? Co za strzykawka, o czym ty mówisz dziecko? Wejź do środka, proszę.

Nie zdążyłem zamknąć drzwi, kiedy znowu rozległ się dzwonek u furtki. Tym razem byli to lekarz z sanitariuszem i kierownik fundacji przeciwnarkotykowej.

Weszli do środka i lekarz natychmiast zbliżył się do Marka. Zbadał mu puls, zajrzał pod powieki i zdecydował, że trzeba go niezwłocznie przewieźć do szpitala, na zbadanie treści żołądka. Dopiero na podstawie tego można mu będzie pomóc.

- Czy Marek może umrzeć od tamtego zastrzyku? - dopytywał się jego kolega, biegnąc za noszami.

- Wszystko zależy od tego, czy nie nastąpi porażenie dróg oddechowych.

Przypomniałem sobie o tym, co opowiedział mi Bartek przy furtce, zanim przyjechał lekarz.

- Panie doktorze - pośpieszyłem do karetki - kolega mego syna twierdzi, że gdy stali w sklepie z płytami w kolejce po autograf, jakiś osobnik, wyglądający na narkomana, podszedł do dzieciaka z tyłu i zrobił mu zastrzyk.

- Jesteś tego pewien? - lekarz zwrócił się do chłopca.

- Słowo honoru! On dlatego pojechał od razu do domu, bo się przestraszył, nawet nie chciał poczekać na autograf, ale mu załatwiłem.

- Dziękuję ci chłopcze, to jakaś wskazówka. Państwo mogą pojechać z nami i poczekać, aż syn odzyska przytomność.

- Czy ja też mógłbym się zabrać, to mój najlepszy kolega.

Oba nasze samochody stały jeszcze na zewnątrz ogrodzenia, nawet nie zamknięte; opuszczaliśmy je przecież w panice. Kazałem Bartkowi wejść do mojego auta, a potem wróciłem po zupełnie załamana Ewę, która została w salonie z uspokajającym ją szefem fundacji antynarkotykowej.

Wsiedliśmy do samochodu i ruszyłem w stronę szpitala, do którego zabrano naszego syna.

- Bartek, opowiedz jeszcze raz, co się przydarzyło Markowi.

- Byliśmy już bardzo blisko w kolejce po autograf, ja stałem pierwszy, a Marek za mną. Nagle on krzyknął. Odwróciłem się i zobaczyliśmy takiego faceta z brodą, który uśmiechał się trochę nieprzytomnie, a w ręku trzymał strzykawkę.

- Pewnie to on wstrzyknął mu to świństwo! Wiedziałam, że moje dziecko nie może się narkotyzować...

- No pewnie, że nie. Marek nigdy by tego nie zrobił - zapewnił Bartek.

- Jak wyglądał ten człowiek, który go ukłuł? - zainteresował się szef „Pomocy”.

- Taki... Chudy, zarośnięty. Zaraz zniknął. Ale ochroniarze stojący przy drzwiach chyba go znali, bo mówili między sobą, że trzeba uważać, bo znowu grasuje „ten ćpun”.

- Chyba wiem, o kogo chodzi - odezwał się szef „Pomocy”. - To szalenie. Swego czasu wywołał dużo zamieszania, krążyły plotki, że napada na ludzi w tunelu przy rogu Marszałkowskiej i Jerozolimskich i wstrzykuje im krew zarażoną wirusem HIV. Wierutne bzdury. W strzykawkach ma na ogół trochę słabego narkotyku. Jeżeli to on zaatakował Marka, jestem prawie na sto procent pewny, że nie będzie tu zagrożenia życia.

- A jednak musiał mu wstrzyknąć sporą dawkę jakiegoś świństwa, skoro dzieciak stracił przytomność. Mój Boże, dlaczego nam akurat musiało się to przytrafić.

Kiedy dojechaliśmy do szpitala, Markiem już zajmowano się w sali zabiegowej. Czekaliśmy w poczekalni prawie półtorej godziny, zanim powiadomiono nas pobieżnie o tym, co się z nim dzieje. Zbadano mu krew i

wykryto w niej potężną dawkę heroiny. Dostał coś na odtrucie, stwierdzono, że w tej chwili nie ma zagrożenia życia, ale więcej będą mogli nam powiedzieć nazajutrz, na razie muszą go zatrzymać na oddziale.

Ewa nie chciała jechać do domu i pewnie nie zdołałbym jej zabrać, gdyby nie perswazje lekarza.

- Powtarzam pani, że zagrożenie nie istnieje. Zawsze w takich przypadkach musimy pacjenta poobserwować, a obecność państwa wcale nam w tym nie pomoże. Teraz lepiej pozwolić mu wypocząć. Proszę wrócić spokojnie do domu. Jutro zrobimy mu badania i wszystko będzie jasne.

- A jeśli ten narkoman wstrzyknął mu również jakąś straszną chorobę?

- Tego nie jesteśmy w stanie sprawdzić dzisiaj, ale gdyby to miało miejsce, byłby to pech wyjątkowy. Proszę być dobrej myśli.

Z ciężkim sercem opuściliśmy szpital. Zrobiło się późno, rodzice Bartka mogli być zaniepokojeni. Odwieźliśmy go do domu i wszedłem z nim na górę, żeby go usprawiedliwić.

Minęły długie dwa tygodnie, zanim odzyskaliśmy spokój. Marek szybko wrócił do sił po szoku, jakiego doznał jego organizm wskutek narkotyku. Nie stwierdzono w jego krwi śladów niebezpiecznego wirusa, ale po badaniach okazało się, że cierpi na przewlekłe zapalenie miedniczek nerkowych, którego nabawił się prawdopodobnie po grypie.

Tak się dziwnie dzieje, że jakiegokolwiek kataklizmy rodzinne, choroby dzieci czy pamiętna feralna przeprowadzka, wpływają na zmianę naszych relacji z Ewą. O ile zawirowanie związane z oszustwem mieszkaniowym nas zbliżyło, dni niepokoju o naszego syna w niewytłumaczalny dla mnie sposób oddaliły nas od siebie. Moja żona była rozdrażniona, to zrozumiałe, ale czemu obracało się to przeciwko mnie, nie byłem w stanie pojąć. Wyraźnie czułem w podtekstach, że obciąża mnie winą za to, co się stało. Zupełnie jakbym, nawet częściej będąc w domu, był w stanie temu zapobiec. Naturalnie, że takie przewrotne rozumowanie mnie irytowało i dochodziło do spięć, których potem żałowałem, tym bardziej że nie mijały one bez pozostawienia śladu w naszych wzajemnych stosunkach. Zupełnie to było niepotrzebne, ale trzeba by dużo cierpliwości i dobrej woli, aby temu zaradzić. Brakowało ich nam obojgu. Jej dlatego, że była zmęczona samotnością w czuwaniu, podejmowaniu decyzji, organizowaniu naszego życia, a mnie, bo bujałem w obłokach.

Toteż jeszcze mocniej przykładałem się do pracy zawodowej, spędzając w wydawnictwie więcej czasu, niż musiałem. Wtedy to zacząłem

porównywać Annę z Ewą i znowu gubić się w wyobrazeniach o tym, jak by to było, gdybym ożenił się z Anną.

Miałem dobry pretekst, aby zadzwonić do niej, chciałem wziąć do czytania maszynopis zagubionej przez Michała powieści. Jednakże ilekroć usiłowałem się z nią połączyć, odzywała się automatyczna sekretarka, prosząc o zostawienie wiadomości. Mimo że spełniałem prośbę, Anna nie oddzwaniała. Nie było to w jej stylu. Postanowiłem więc pójść do niej i zobaczyć, czy nie jest chora. Mieszkała przecież sama, mogła czuć się na tyle źle, że nie chciała odbierać telefonów. Zrozumiałbym to, bo kiedy mnie coś dolega, odwracam się plecami do całego świata. Ewa nawet lubi się ze mnie wtedy podśmiewać:

- Co ci dać: aspirynę czy coś na przeczyszczenie?

- Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Znam cię dobrze. Skoro jesteś obrażony na cały świat, niechybnie coś ci dolega.

Tak więc i Anna, jeśli jest tak do mnie podobna, jak to sobie wyobrażam, może nie reagować na telefony i ukrywać się przed ludźmi z tego powodu, że jest chora.

Poszedłem do jej mieszkania i zadzwoniłem do drzwi. Nie otwierała. Tak dalece dałem się ponieść wyobraźni, iż nie dopuszczałem myśli, że może jej nie być w domu. Dzwoniłem i dzwoniłem. Najwidoczniej zaczęło to przeszkadzać sąsiadom, bo nagle drzwi mieszkania po prawej stronie otworzyły się i stanęła w nich starsza pani.

- Słyszałam, jak pan długo dzwoni do Pani Turskiej i domyśliłam się, że musi pan mieć do niej jakiś ważny interes.

- Właśnie! - pośpieszyłem z wyjaśnieniem. - Jestem wydawcą jej książek i chciałem odebrać obiecany maszynopis do przeczytania.

- Pani Anna wyjechała. Jest w Konstancinie, w Domu Pracy Twórczej. Wzięła tam ze sobą tego chłopca, którym się teraz opiekuje. Ja, proszę pana, podlewam u niej kwiatki - dodała nagle. - Zawsze, gdy któraś z nas wyjeżdża, zostawiamy sobie klucze i opiekujemy się mieszkaniami.

- To bardzo praktyczne. A co to za historia z tym młodzieńcem, jej podopiecznym?

- Jaki tam z niego młodzieniec! Czteroletni brzdąc. Dziecko alkoholika i ulicznicy. Pani Anna ma złote serce, to się nim zajęła. Nawet go zabrała ze sobą, żeby miał wakacje.

W tej chwili w mieszkaniu mówiącej te słowa rozległ się gwizdek czajnika. Wykorzystałem to jako pretekst, żeby zakończyć rozmowę. Sąsiadka Anny wycofała się za drzwi, mówiąc szybko:

- Przepraszam pana, ale zostawiłam czajnik na gazie, zaraz zgaszę.
- Do widzenia, nie będę pani zabierał czasu. Dziękuję za informację.

Wolno zszedłem po schodach. Kiedy zdecydowałem się odwiedzić Annę, zakończyłem już tego dnia pracę, teraz jednak nie miałem ochoty na powrót do domu. Wsiadłem do samochodu i miałem skierować się w stronę Anina, pojechałem na Stare Miasto. Było słoneczne popołudnie, kolorowe grupki ludzi spacerowały wokół murów otaczających stary gród. Pozazdrościłem im i postanowiłem pozostać tam chwilę. Lubiłem te tereny. Niedawno przecież, zanim przenieśliśmy biura na Muranów, bywałem tu codziennie. Zaparkowałem samochód niedaleko pomnika Kilińskiego i poszedłem w stronę Rynku. Pogapiłem się na rozwieszane na sztalugach malowidła, które miały olśnić turystów, minąłem rząd dorożek czekających na chętnych do przejażdżki i zająłem miejsce przy stoliku pod parasolem. Zafundowałem sobie lody.

Nie ostudziły one bynajmniej mojego gorączkowego myślenia o Annie. Wpadłem, jak mi się wydało, na znakomity pomysł: Wezmę sobie tydzień urlopu, jeśli uda mi się załatwić pokój w Konstancinie. Ewa z synem była od dwóch tygodni w Juracie. Ma tam swoje snobistyczne przyjaciółki i nawet jej do głowy nie przyszło, że i mnie należy się wypoczynek. Już przywykła do tego, że jeśli uda mi się wyrwać na tydzień latem i na tyleż zimą, to dobrze. Zazwyczaj dojeżdżałem wtedy do rodziny. Tym razem będzie inaczej i świat się nie zawali. Będąc blisko Warszawy będę mógł nawet wpadać do pracy, gdy pojawią się jakieś ważne sprawy. To powinno skłonić Michała do wyrażenia zgody na mój nieoczekiwany urlop.

Podjąwszy decyzję, szybko przywołałem kelnerkę, żeby zapłacić za lody, i pojechałem do domu.

W ogrodzie zastałem moją córkę z jej nowym chłopakiem.

- Ależ ze mnie bałwan! - skarciłem się w duchu. - Zupełnie zapomniałem, że zapowiedziała się na dzisiaj.

- Tato, gdzie ty się podziewałeś? Dobrze, że miałam klucze. Inaczej pocałowałibyśmy kłamkę.

- Zostałem zatrzymany w pracy, przepraszam.

- Ej, tata, nie ściemniaj. Dzwoniłam do pracy, wcześniej stamtąd wyszedłeś. Już się bałam, że ci się coś stało. A może chciałeś nas zbojkotować?

- Miałem ważne spotkanie na mieście.

- No dobra. Rozgościliśmy się, Marcin zrobił omlet z pieczarkami, znaleźliśmy jedzenie w lodówce. Masz więc kolację, doceniasz to?

- Zaraz docenię, tylko wprowadzę wóz do garażu i umyję ręce. Czułem się nieswojo, zupełnie jak schwytyany na gorącym uczynku. Pograżając się w marzeniach o Annie zapomniałem o spotkaniu z własną córką. Poczucie winy było tym bardziej dolegliwe, że obecność Beaty krzyżowała moje plany na wieczór. Miałem dzwonić do Michała w sprawie urlopu i do Ewy z zawiadomieniem, że nie przyjadę do niej do Juraty, bo ważne sprawy zatrzymują mnie tutaj. Wypocznę więc kilka dni w blisko położonym Konstancinie.

- Tato, szybciej, omlet stygnie!

Doceniłem zdolności kulinarne absztyfikanta mojej córki, gorzej było z aprobatą dla niego. Po pierwsze - Beata była stanowczo za młoda, aby ktokolwiek miał prawo planować sobie z nią przyszłość, a ten typek czynił to z niezwykłą konsekwencją. Po drugie - nie był on szczeniakiem, którego potrafiłbym bez trudu postawić w kącie i wprawić w zakłopotanie, ale świetnie już ustawionym właścicielem dobrze prosperującego biura projektów. Miał dyplom architekta i zdecydowane zdanie na każdy temat, co było dla mnie irytujące. Po trzecie - był rozwiedziony.

Po czwarte - Beata była nim tak zauroczona, że zrobiła się wobec nas arogancka. Ewa tłumaczyła, że to ze strachu, iż nie zaakceptujemy jej wyboru. Nie wiem, dlaczego miałbym akceptować? Człowiek wychowa córkę, dmucha i chucha na nią, a potem przyjdzie taki mądrała i bierze ją jak swoją.

- Ty też przyszedłeś i wzięłeś mnie kiedyś jak swoją — przypomniała moja żona. - I nikt za to na tobie psów nie wieszał.

- Ach, ty to zupełnie co innego! Ale Beatka przecież...

Nie powinienem był tego powiedzieć. Reakcja Ewy była do przewidzenia. Ale jak jej wytłumaczyć, że tu chodzi o moją córeczkę. Czy ona tego nie rozumie?

Tak więc zjadłem omlet z apetytem, chociaż Marcin chętnie przyprawiłby go dla mnie cykuta. Jeśli tego nie uczynił, to tylko dlatego, że chciał się przypodobać Beacie. Na odległość wyczuwałem jego niechęć do mnie.



Żywiliśmy do siebie dokładnie te same uczucia, my dwaj zatwardziali rywale.

Nie rozbolał mnie brzuch po spożyciu kolacji, ale stało się to po poznaniu celu wizyty podstępnej pary. Oznajmili mi oto, że Beata zrezygnowała właśnie z wynajmowanej przez nas dla niej kawalerki, bo zamieszkali razem w mieszkaniu Marcina.

- Jak to zamieszkaliście razem? Takie są teraz zwyczaje? Za moich czasów najpierw pytało się o zgodę rodziców, szło się do kościoła lub urzędu.

- Oj, nie chrzań tato...

- Jak ty się do mnie odzywasz?

- Przepraszam, ale jesteś strasznie staroświecki! Nie będziemy od razu brać ślubu. To nawet ryzykowne. Chcemy spróbować, czy nam się razem ułoży.

- Czy ty wiesz, jak się nazywa takie próbowanie?

- Lepiej nie mów. Jesteś okropny.

- Jeśli chodzi o mnie, to jestem gotów w tej chwili na ślub... To Beata jest zdania...

- Rozmawiam z moją córką, pana zdanie mnie nie obchodzi!

- A jednak mnie to też dotyczy - bronił się Marcin.

Beata zerwała się na równe nogi. Stała za krzesłem, na którym siedział Marcin, objęła jego plecy, jakby chciała go przede mną bronić. Wyglądała jak kwoka osłaniająca kurczęta przed pikującym na nie jastrzębiem. Bała się, żebym go, broń Boże, nie uraził. Zupełnie jakbym był obcym człowiekiem, gruboskórnym, a nie kochającym ojcem. Co czułem ja, było jej w tej chwili zupełnie obojętne. Mogła z boku wydawać się w tym geście wzruszająca, ale nie z mego punktu widzenia. Dotknęła mnie do żywego.

- Chodźmy stąd Marcin, chciałam być lojalna, ale to nie ma sensu.

- Nigdzie nie pójdziesz! - krzyknąłem. - Ani mi się waź!

- Przecież ja tu już nie mieszkam. Jestem dorosła, zapomniałeś tato?

- Jesteś smarkata. Na pewno za młoda, żeby decydować o sobie.

- Różnimy się zdaniem na ten temat. To jest moje życie. Czekam, żebyś to zrozumiał.

Wstała i pociągnęła za sobą Marcina, który chciał coś jeszcze powiedzieć. Odwróciłem się do niego plecami.

Byłem zdruzgotany. W pierwszej chwili pomyślałem, że spotkała mnie kara za moje fanaberie dotyczące Anny, poczułem się skruszony i zamiast

dzwonić do Michała, by omówić z nim ewentualny urlop, zadzwoniłem do Ewy.

Długo nie podnosiła słuchawki. Kiedy się wreszcie odezwała, nie poznałem jej głosu, taki był zachrypnięty.

- Co się stało, że dzwoniisz o tej porze?

- Jest dopiero wpół do jedenastej, czy to za późno na telefon do żony?

- Spałam już, bo jestem trochę przeziębiona.

- Ładnie mnie witasz! A tymczasem twoja córeczka zamierza żyć na kocią łapę z tym idiotą.

- Prosiłam cię, żebyś nie podchodził do tego w ten sposób. Nie traktuj go jak rywala. Jeśli ma być tylko kolejną przygodą, może lepiej, że się od razu nie pobiorą.

- Widzę, że byłaś wtajemniczona w ich machinacje.

- Nie nazwałabym tak moich rozmów z Beatą. Może znając twoje podejście trochę się ciebie boi? Zrozum. Wszelkie nasze odwodzenie jej od zamieszkania z nim tylko utwierdza ją w tym zamiarze. Kocha i jest kochana i to jest dla niej argument. Czy sam będąc młody nie poszedłbyś za głosem serca? O tym, czy wybrała dobrze czy źle, my nie możemy z góry przesądzać. Życie nigdy nie jest dokładnie takie, jak człowiek oczekuje.

- Dziwnie to brzmi w twoich ustach...

- Wiem, co masz na myśli: że nie lubiłam zdawać się na los. Ale może się myliłam. Życie koryguje nasze postawy.

- Nigdy nie pogodzę się z tym, że moja córka...

- Ona jest również moją córką, a ja uważam, że trzeba jej zaufać.

- Zawracanie głowy! Ładnie to ukartowałyście!

- Trudna z tobą dzisiaj rozmowa.

- Możemy ją zakończyć.

- Jak chcesz. Prześpij się z tym i zaraz inaczej na to spojrzysz.

- Nigdy!!! - zapewniłem ją i odłożyłem słuchawkę. Uczyniwszy to stwierdziłem, że w tej sprawie Ewa mnie nie rozumie. Długo nie mogłem zasnąć, przychodziły mi do głowy różne rozwiązania dotyczące sprowadzenia Beaty na łono rodziny. Po przemyśleniu ich jednak dochodziłem do wniosku, że tego się nie da zrobić. Beata stosowała, moim zdaniem, szantaż: będę was kochała, jeśli pozwolicie mi kochać Marcina. Natomiast to, że ja sam zmuszałem ją do dokonania takiego wyboru, nawet nie zaświtało mi wtedy w głowie. Czułem się podle, odrzucony i zdradzony przez osobę, po której najmniej się tego spodziewałem. Naprawdę

potrzebuję wypoczynku, żeby się z tym uporać. Ogarnięty tą myślą zasnąłem z postanowieniem wyjazdu do Konstancina.

Jak przewidywałem, Michał nie stawiał żadnych przeszkód, był nawet rad, że wypocznę, będąc jednocześnie niemal w zasięgu ręki. Przemiała pani Mirosława z sekcji Domów Pracy Twórczej w Stowarzyszeniu znalazła dla mnie pokój i po południu jechałem już w stronę Konstancina. Szybko poukładałem przywiezione rzeczy w szafach, odświeżyłem się i jeszcze przed kolacją mogłem przejść się po ogrodzie, żeby łyknąć trochę świeżego powietrza. Przed wejściem do jadalni czekała na mnie dyrektorka pensjonatu. We wszystkich domach pracy twórczej jest taki miły zwyczaj, że dyrektorka osobiście wita nowych pensjonariuszy przed ich pierwszym posiłkiem i pomaga im wybrać stolik, przy którym będą jadać. Panie podające do stołu to też stare znajome. Zresztą robią tu wszystko: sprzątajają pokoje, podają rano śniadanie i w ogóle rozpieszczają nas, za co traktowane są jak członkowie rodziny.

- Ma pan do wyboru jeszcze dwa stoliki - przy jednym siedzi redaktor Płużyński z żoną, przy drugim mógłby pan towarzyszyć państwu Kalińskim.

- Chętnie skorzystam z drugiej propozycji - spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo i roześmialiśmy się.

Redaktor Płużyński, skądinąd doskonały krytyk teatralny, jako kompan przy stole był nie do zniesienia. Miał zwyczaj ustawicznego wygłaszania swoich kategoriycznych opinii w każdej sprawie, nigdy nie dopuszczał nikogo do głosu. Najgorzej było, kiedy odważyła się z nim nie zgodzić jego śliczna i o wiele dla niego za młoda żona - odbijał jej argumenty z taką siłą, że zawsze po swojej niebaczonej wypowiedzi siedziała potem do końca posiłku ze spuszczoną głową i chyba przelykała łyzy. Było to na dłużej męczące i każdy z wtajemniczonych unikał jego towarzystwa, toteż i ja skorzystałem skwapliwie z takiej możliwości.

Kalińscy zajmowali się lekką muzą, on był tekściarzem, ona kompozytorką piosenek, stworzyli znakomity tandem nie tylko w tej dziedzinie, lecz również w życiu. Przebywając z nimi wierzyło się, że miłość jest wieczna, a życie usłane różami. Do tego ona była ładna i dowcipna, a on - wbrew ostrości wyrażanej w swoich tekstach - cichy i życzliwy ludziom. Kiedy zbliżyłem się do ich stolika, dałbym głowę, że sprawiłem im tym ogromną radość. Przywitali mnie z entuzjazmem, odpowiedziałem więc czymś zbliżonym, a gdy wreszcie usiadłem, natychmiast poczułem przyływ apetytu

graniczącego z łakomstwem, jaki zawsze ogarnia nas wszystkich w domach pracy twórczej, bo też żywienie jest tu tak wyrafinowane, że wątpię, czy ktokolwiek zdołałby sobie odmówić skosztowania wszystkiego, co jest na stole.

W sali jadalnej zobaczyłem kilka znajomych osób, wymieniliśmy skinienia głowy, ale nie dostrzegłem tej, z powodu której tu przybyłem. Trudno było mi ukryć rozczarowanie. Kalińscy natychmiast zauważyli, że jestem nieswój i skomentowali to w swojej dobroduszości w jedyny wyobrażalny dla nich sposób:

- Pan Henryk widać nie najlepiej znosi nieobecność szanownej małżonki. A gdzież to ona się ukrywa? Pewnie gdzieś podróżuje po wielkim świecie?

- Opala się w Juracie. Ma tam wszystkie swoje kумы i naszego syna z jego przyjacielem pod opieką. Ja nie mogę sobie pozwolić na opuszczenie wydawnictwa, dlatego wyrwałem się tylko na kilka dni tu, blisko Warszawy.

- O, biedny pan Henryk! - powiedziała Kalińska z takim współczuciem, że naprawdę poczułem się opuszczony, tym bardziej że Anna wciąż nie pojawiała się na kolacji. Czyżby złośliwy los sprawił, że wyjechała akurat wtedy, kiedy ja tu przybyłem? Byłby to wyjątkowy pech! Postanowiłem zaraz po posiłku zasięgnąć języka w recepcji.

Nie udało mi się tego szybko zrealizować, w każdym razie nie tak szybko, jakbym sobie tego życzył. Musiałem porozmawiać ze spotkanymi po latach znajomymi. Kiedyś, jeszcze w czasie trwania stanu wojennego, gdy dzieci nasze były małe, wszystkie urlopy spędzaliśmy w domach pracy twórczej. Były to nasze wyspy szczęśliwe w tych trudnych czasach. Można było odetchnąć od „zdobywania” czegoś do zjedzenia, od wszelkich trosk, bo panie z personelu dbały o nas jak o rozpieszczone dzieci. Do tego mieliśmy zarówno my, jak i nasi milusińscy swoje wypróbowane towarzystwo, a więc takie wakacje były nieustającą fetą. Ciągłe obchodzono wieczorami czyjeś imieniny czy urodziny, a jak nie było solenizanta, to wymyślano okazje, byle znaleźć pretekst do wspólnej zabawy.

Swoją drogą, jak łatwo zapomina się o trudnościach i szarzyźnie! Do niczego człowiek nie przyzwyczaja się tak szybko jak do luksusu; gdy go sobie wypracuje, bo teraz już nic nie rozdaje się za darmo. Ze smutkiem dowiaduję się nieraz w Stowarzyszeniu o zubożeniu niektórych znakomitych twórców starszego pokolenia, którzy nie potrafią odnaleźć się w nowej rzeczywistości lub już nie mogą. Wiem o tym, bo wciąż staramy

się wygospodarować dla nich z budżetu bodaj niewielkie zapomogi. Kiedy uczestniczę w takich zebraniach, dziękuję losowi, że jednak robię to, co robię, i jestem w stanie zapewnić godziwy byt mojej rodzinie. Muszę tu pochylić czoło przed Ewą, która oddając mi na udział w wydawnictwie zaoszczędzone przez ojca pieniądze umożliwiła mi to. Wprawdzie z tego powodu przestałem pisać, ale czy z mego pisania dałoby się nam wyżyć? Nawet zakładając, że od czasu do czasu napisałbym coś naprawdę dobrego. Dawniej może tak. Teraz, przy rosnącej nieprawdopodobnie liczbie wydawanych w setkach oficyn tytułów, na pewno nie. Nawet bestsellery sprzedają się w ilościach nieprzekraczających dwadzieścia tysięcy egzemplarzy, a reszta, nawet dobrych książek, ginie w powodzi innych.

Refleksje pozytywne, z ukłonem dla Ewy, nawiedzały mnie jednak nieczęsto. Przeważnie dręczyłem się tym, że mam w twórczości związane skrzydła. O wiele za późno miałem się przekonać, jak się myliłem. Kiedy jest wena, kiedy ma się potrzebę, pisze się w każdych warunkach, bez względu na to, jak bardzo jest się zajęтым i nawet wbrew przeszkodom.

Tamtego wieczoru w Konstancinie myśli moje zajęte były zupełnie czym innym. Kiedy już wymieniłem ze wszystkimi ostatnie nowiny, pożegnałem się i ruszyłem do swego pokoju, wstępując przedtem do recepcji.

Dziewczyna pełniąca dyżur drzemała niemal, usiłując jednym okiem śledzić akcję jakiegoś kryminału rozgrywającego się w ustawionym na kontuarze telewizorze.

- Przepraszam, że zakłócam pani spokój - powiedziałem.

- Czy pani Anna Turska już wyjechała? - O ile wiem, zostanie tu do końca miesiąca. Tylko że ona wynajmuje pokój u kogoś w pobliżu, bo jest z dzieckiem. (Ten dom w Konstancinie, jako jedyny już chyba z podobnych mu w Polsce, przestrzega zasady nie przyjmowania dzieci, żeby zapewnić twórcom spokój do pracy). U nas pani Turska i jej dziecko jadają tylko posiłki.

- Jednak nie było ich na kolacji.

- Na kolację przychodzą pół godziny wcześniej, bo potem mały jest senny i trudno go nakarmić.

Uzyskawszy tę wyczerpującą informację nie miałem innego wyjścia, jak udać się na spoczynek. Będąc już w łóżku przypominałem sobie, że powinienem zawiadomić Ewę o mojej ucieczce z Warszawy. Spojrzałem na zegarek - brakowało piętnastu minut do dwudziestej drugiej, całkiem młoda godzina. Wybrałem numer. Prawie natychmiast usłyszałem głos Marka.

- Witaj synu, nie śpisz jeszcze?
- Cześć tato. Coś ty, ja tak wcześnie nie zasypiam, nie jestem dzieckiem.
- A mama już śpi?
- Poszła do kina z panią Adą. My z Bartkiem korzystamy z okazji i słuchamy muzyki.
- Jaka tam u was pogoda?
- Da się wytrzymać.
- Powtórz mamie, że wyjechałem na kilka dni do Konstancina, bo tak się składa, że nie mogę na razie wziąć urlopu. Tu jestem blisko wydawnictwa i trochę odpoczywam — tłumaczyłem się przed synem, bo chociaż nie pytał mnie o motywy wyjazdu, miałem potrzebę usprawiedliwienia się.
- Czy to znaczy, że nie przyjedziesz do nas?
- Jeszcze nie wiem, może na bardzo krótko. Zobaczę, jak się ułoży w pracy.
- Dobra, powtórzę mamie.

Czułem lekki niesmak, że oszukuję dzieciaka, ale też zadowolony byłem z tego, że nie musiałem z mojej decyzji zwierzać się bezpośrednio żonie. Nie sądzę, żeby to przyjęła tak spokojnie jak Marek.

Spełniwszy w ten sposób obowiązki rodzinne, zapaliłem lampkę nocną przy łóżku, żeby przed snem przeczytać jeszcze gazetę. Nie dokończyłem nawet pierwszej strony, a już zapadłem w drzemkę.

W nocy przebudził mnie jakiś niedobry sen, o zagmatwanej, niejasnej fabule, za to z nastrojem grozy. Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem, a kiedy sobie przypomniałem, wcale mi to nie ulżyło.

Nagle cała ta moja eskapada wydała mi się bezsensowna. Co zamierzałem osiągnąć? Czemu ten przyjazd miał służyć? Fakt, że interesowałem się Anną zawsze, nie był w stanie nic zmienić w moim życiu. Chciałem przeczytać jej książkę, dobrze, ale to nie powód, żeby za nią jechać dokądkolwiek. A zresztą, czy ona wozi ze sobą ten maszynopis? Bardzo wątpliwe. Załóżmy, że spotkam ją i udam, że to sprawa przypadku. Jak zareaguje na moją obecność? Pewnie, jak to ma w zwyczaju, przejdzie nad tym do porządku dziennego. A ja tymczasem tracę bezcenne dni, które miałem spędzić z rodziną. Skąd się to bierze, że zawsze, kiedy na horyzoncie pojawia się Anna, działam wbrew rozsądkowi? Czy ją kocham? Skądże znowu! To platoniczne zauroczenie sprzed lat dawno się przecież wypaliło. A jednak ta kobieta w przedziwny sposób działa na moją wyobraźnię, a wyobraźnia jest moją słabością i siłą. Ma nade mną władzę.

Może powinienem spakować się i umknąć stąd, zanim staniemy twarzą w twarz? Nie przesadzajmy. W końcu należy mi się trochę odpoczynku w luksusie; Najwyżej skrócę pobyt.

Uspokojony tą myślą zasnąłem znowu i obudziło mnie dopiero pukanie pani Rózi, która uprzedziła w ten sposób postawienie tacy ze śniadaniem na stoliku przy drzwiach.

Przemyłem oczy i od razu zabrałem się do pałaszowania świeżutkich bułeczek prosto z pieca i innych specjałów. W domu nigdy tyle rano nie jadam, ale: jak szaleć, to szaleć! - powiedziałem sobie i nie odstawiłem tacy, póki jej nie wyczyściłem do czysta. Słońce świeciło, nie musiałem nigdzie się śpieszyć i to wprawiło mnie w doskonały nastrój. Pogwizdując dokonałem porannych ablucji, ubrałem się w luźne, płócienne spodnie oraz lekkie polo i byłem już gotów na spotkanie z dniem. Wyszedłem najpierw do ogrodu otaczającego posesję, obejrzałem klomby i drzewa, stary rozłożysty dąb na podwórku i skierowałem się cienistą aleją w stronę tężni.

W parku przylegającym do tężni spacerowiczów nie było zbyt wielu. Zadowolone z tego ptaki śpiewały jak najęte. Mimo słońca powietrze było rześkie i czyste, jak zwykle pod koniec lata.

Okrzyłem już dwa razy tężnię, wdychając zdrowotne opary, gdy od ławki nieopodal ukrytej w gęstwinie krzewów dobiegł mnie perlisty śmiech dziecka. Poszedłbym dalej, gdyby nie znajomy głos, który kazał mi przystanąć.

- Nie mówi się „zbdura”, tylko bzdura. To jest i tak trudne słowo, a ty je jeszcze utrudniasz.

- Ale „zbdura” jest ładniej, ja wolę mówić „zbdura”.

- No to sobie mów, jak ci się podoba - zgodziła się Anna, bo do niej należał ten znany mi głos. Zatrzymałem się, niezdecydowany, jak postąpić w zaistniałej sytuacji. Po chwili zastanowienia usiadłem na pierwszej napotkanej ławce. Zarośla oddzielały mnie od rozmawiających, nie widziałem ich, ale docierało tu każde ich słowo.

- Rafałku, zejź z poręczy, bo spadniesz i znowu pościerasz sobie kolana. Popatrz, jaka ta alejka jest wyżwirowana.

- Czy żwir to taki żużel?

- Niezupełnie. Żwir to jest naturalne kruszywo kamienne, takie drobne, gładko obtoczone kamyczki, a żużel to pozostałość po spaleniu węgla czy koksu, to po prostu spieczony popiół.

- A właśnie, że nieprawda! Żużel to czterdzieści dziewięć! Tata mi mówił - zaoponował mały rozmówca Anny.

- Czterdzieści dziewięć? - zdziwiła się. - Co ci przyszło do głowy? Czterdzieści dziewięć to czterdzieści dziewięć, to liczba, a żużel to żużel.

- Czterdzieści dziewięć to żużel - upierał się dzieciak.

- Niech ci będzie, ale to bez sensu. Tata się pomylił albo zażartował sobie z ciebie.

- Nieprawda! Tata zna wszystkie numery na pamięć, bo gra co tydzień w totolotka. A żużel jest ostatni - czterdzieści dziewięć!

- Ach, o to ci chodzi - Anna śmiała się przez chwilę serdecznie.

- Czy ty wiesz, jak moja mama mnie kiedyś kochała? Jak stąd do tamtej chmury. To było dawno temu, teraz nie ma czasu, bo jest dziwką.

- Prosiłam cię, żebyś się nie wyrażał w ten sposób o mamie, to nieładnie.

- A ty też przestaniesz mnie kochać, jak zostaniesz dziwką?

- Rafałku, ja nie będę nikiem innym, niż jestem.

- To znaczy, że jesteś lepsza od mamy. Ona też była dobra, ale jej się znudziło.

- Kto ci napłótl takich bzdur?

- To nie zbdura, babcia zawsze tak mówi i tata też, jak jest pijany...

- Twoja babcia jest trochę chora. Dlatego mówi czasem rzeczy, które są nieprawdziwe, a może zresztą żartuje.

- I złości się na mnie też na żarty? Babcia mówi, że mama się zbiesiła, ale ty się nie zbiesisz, prawda? Obiecuj mi.

- Obiecuję ci, że do tego nigdy nie dojdzie, ale ty musisz mi też obiecać, że nie będziesz powtarzał głupstw, od których uszy bolą.

- Naprawdę cię bolą czy tylko udajesz?

- Naprawdę, i to bardzo.

- A ja się kiedyś palnąłem w ucho, jak byłem na chmurce.

- Zmyślasz! - droczyła się Anna - na chmurce jest miękko i nie ma o co się uderzyć.

- Ale ja się uderzyłem o kant chmurki i zabrano mnie do specjalnego szpitala. Aha!

- Ojej! I co było potem?

- Potem przyjechali strażacy, o tak: brrr.. .brrr.. .wrrr... i puścili pompy w ruch. A potem był pies z kotem. I dwie dziurki w nosie, i skończyło się. Kupisz mi loda?

- Kupię ci krem albo galaretkę, dzieci do lat dziewięciu nie jadają lodów.



- Bo co się im stanie?  
- Bo im się język zamraza i nie mogą mówić, a ty byś bez tego nie wytrzymał, nieprawdaż?  
- Prawdaż. A śpiewać mogą?  
- Tym bardziej nie.  
- No to watę na patyku mi kup. Chyba nie jest szkodliwa?  
- Tak sobie. Ale jeśli będzie ktoś ją tu sprzedawał, kupimy. A teraz pójdziemy już do nas do ogródka, ja muszę do obiadu popracować, a ty się pobawisz w piaskownicy.

Mały rozmówca Anny nagle zaczął głośno płakać.

- A to co znowu - zaniepokoiła się. - Uderzyłeś się?  
- Nieee... Ale czym mam się bawić w piaskownicy, zostawiłem przy tężni mój plac zabaw. Uuu...  
- Jaki plac zabaw? O czym ty mówisz Rafałku?  
- I wiaderko, i łopatkę, i fooremki, uuu...  
- To nie plac zabaw, głuptasie, tylko zabawki.  
- A właśnie, że plac zabaw. Zabawki to tak zwyczajnie, a w telewizji widziałem wszystkie te rzeczy i pan mówił, że plac zabaw świeci pustkami. Kupisz mi pustkę?  
- Po co ci pustka?  
- Też bym sobie nią poświecił.

Głos Anny i dziecka oddaliły się nieco, domyśliłem się, że wstali z ławki i odeszli. Opuściłem ocienione miejsce i ruszyłem szybkim krokiem w ich kierunku, byłem ciekaw małego mądrali.

Zobaczyłem ich, jak tylko wyszedłem z za krzewów. Anna w powiewnej sukience i sandałach, idąca lekkim krokiem tancerki, z daleka wyglądała na zupełnie młodą osobę. Chłopczyk mógł mieć cztery, może cztery i pół roku, nie więcej. Ubrany był w luźne bawełniane szorty i koszulkę z kolorowym nadrukiem. Na nóżkach miał sandały, z których pobłyskiwały okrągłe piętki. Dźwigał w pulchnej rączce wiaderko ze sterczącymi z niego łopatkami, grabkami i innymi utensyliami, które nazywał „placem zabaw”. Zaskoczyło mnie to, że jest tak mały. Kiedy go tylko słyszałem, wydawał mi się znacznie starszy, był całkiem elokwentny.

Szedłem niespiesznie w tym samym co oni kierunku, zamierzałem ich początkowo dogonić, ale przypomniałem sobie, że moja znajoma mówiła coś o tym, że musi do południa popracować. Nie chcąc niweczyć jej planów, zawróciłem. Wiedziałem, że i tak spotkamy się na obiedzie.

Zajęty wybieraniem ości z ryby, którą zaserwowano na przystawkę, nie zauważyłem, jak pojawiła się ze swoim podopiecznym w jadalni i zajęła miejsce przy sąsiednim stoliku.

- Z czego się robi ryby? - dobiegł do mnie znajomy głosik.

- Z witamin, wapnia i wielu innych bardzo zdrowych składników.

- A ja kiedyś widziałem w Łazienkach prawdziwą rybę, nie taką do jedzenia, tylko prawdziwą. O, taka duża! Pływała w wodzie.

Odwróciłem się. Anna zajęta była wybieraniem ości z talerza Rafałka. Kiedy podniosła głowę, jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Wstałem i podszedłem do ich stolika, żeby się przywitać.

- Co za spotkanie! Góra z górą się nie zejdzie... - zażartowałem.

Uściskaliśmy sobie ręce. Chłopczyk patrzył na mnie wielkimi szafirowymi oczami. Nigdy dotąd nie widziałem tak ślicznego dziecka. Gęsta ciemna czuprynka, śniada buzia, okrągła i rumiana, rzęsy sięgające niemal do połowy policzków.

- Cześć - powiedziałem. - Jak masz na imię?

- Rafał Szukalski, a ty?

- Rafałku, nie pamiętasz, jak należy się zwracać do dorosłych?

- Pamiętam: proszę pana, jak się nazywasz?

- Henryk Nowak. Bardzo się cieszę, że się poznaliśmy, a teraz oddalę się, żebyś mógł zjeść obiad. Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać - zwróciłem się do Anny.

- Bez wątplenia - odpowiedziała i pochyliła się nad malcem, żeby go nakarmić.

Dość szybko się z tym uporała, chłopczyk wyszedł do ogrodu, i Anna mogła spokojnie skończyć posiłek.

Kalińscy też szybko odeszli od stołu, bo wybierali się na wycieczkę, więc gdy tylko skończyłem jeść, przysiadłem się do Anny.

- Nie spodziewałam się, że możemy się tu spotkać. Zdawało mi się, że miałeś jechać z rodziną nad morze.

- Muszę być blisko wydawnictwa, a czułem się już zmęczony, więc zrobiłem sobie krótki wypad. Co to za dzieciak, czy to twój kuzynek?

- Och, nie. To biedactwo nie ma w domu należytej opieki, dlatego zajęłam się nim trochę. Obojgu nam wychodzi to na korzyść. Chyba ci kiedyś opowiadałam, jak to jedna z moich czytelniczek, której na spotkaniu autorskim nieopatrnie dałam numer telefonu, zaczęła do mnie wydzwaniać?

- Tak, chyba mi to opowiadałaś. Coś sobie przypominam. Sala jadalna tymczasem opustoszała, kelnerki zbierały naczynia.

- Wybacz, Henryku, ale muszę sprawdzić, co robi mały. Innym razem opowiem ci o tym.

- Jakie masz plany na popołudnie, może poszlibyśmy razem na spacer lub do ciastkarni?

- Mam inną propozycję. Odprowadź nas. Tam, gdzie mieszkamy, mamy taras wychodzący na ogród. Jeśli będziesz miał cierpliwość, żeby poczekać, aż Rafał zaśnie, możemy zyskać około dwóch godzin na pogawędkę. Kawę i ciasteczka też dostaniesz.

- Z największą przyjemnością.

Poszedłem z nimi do wynajętego mieszkania, które okazało się urokliwe. Mieściło się w jednym z tych starych konstancińskich dworców z kolumnkami. Zajmowane przez nich pokoje były usytuowane w tylnej stronie domu. W jednym, zupełnie malutkim, chłopczyk miał kozetkę do spania, niewielką szafę i regalik obstawiony zabawkami, w drugim, obszernym, umeblowanym ze smakiem i wychodzącym na taras, rezydowała Anna. Wskazała mi wiklinowy fotel bujany stojący na zewnątrz i zajęła się dzieckiem.

Winorośle i pachnące powoje czyniły z tarasu przytulne zielone miejsce. Opukujący rosnącą obok domu sosnę dzięcioł, odkąd zacząłem bujać się w fotelu, najwyraźniej zachowywał się tak, jakby zamierzał bawić się ze mną w chowanego. Wychylał się zza drzewa i patrzył w dół, a kiedy dostrzegął, że nieruchomieję z zadartą głową, by go obserwować, szybko wycofywał się, by po chwili znowu się wychylić. Było to tak niezwykle, że pochłonęło bez reszty moją uwagę. Szczerze mówiąc, kiedy tu szedłem z pełnym żołądkiem, obawiałem się, że nie będę dobrym kompanem do rozmowy, bo nękała mnie senność. Teraz śledząc śmieszne i jakże ucłowieczone działania pierzastego spryciarza, rozbudziłem się zupełnie.

- Jest uroczy, prawda? - odezwała się Anna. Nawet nie zauważyłem, kiedy usiadła na wiklinowej kanapce naprzeciw mnie.

- Ten dzięcioł? - spytałem zapatrzony na drzewo, zza którego się ze mną droczył.

- Siedzi tam prawie bez przerwy i obserwuje, czy nie ma czegoś na stole. Zostawiłam kiedyś kawałek sera i jak tylko weszłam do domu, ukradł go. Musiał mu smakować, bo bez przerwy nań czatuje. Można go obserwować godzinami. Rafałek się zaśmiewa do łez z jego podchodów.

- Bo też to naprawdę zabawne, nigdy nie widziałem takiego dziecięcia. Dzieciak też jest niebywały. Opowiedz mi jego historię.

- Nie jest taka śliczna jak on; prawda, że jest prześliczny?

- Nigdy nie widziałem piękniejszego dziecka.

- To po matce. Ma jej rysy.

- Co to za jedna, miss świata?

- Dziewczyna z Targówka, uroda to jedyny jej majątek, a ma jej za wiele, by mężczyźni zostawili ją w spokoju. Była sierotą, wyszła za alkoholika. Jeśli dołożysz do tego niezrównoważoną psychicznie teściową, możesz domyślić się reszty. Bitą i poniżaną, uciekła od męża z dzieckiem. Ten jednak bardziej dla potwierdzenia swojej władzy niż z miłości przyszedł z watahą podobnych do siebie pijaków i odebrał jej dziecko, by powierzyć opiekę nad nim swojej chorej umysłowo matce. To ona jest tą osobą, która nękała mnie telefonami. Nie pamiętam już, jakiego chwytu użyła, że dedykując jej książkę wpisałam też numer swojego telefonu. Sama sobie byłam winna. Tak myślałam przedtem. Teraz uważam, że to był palec boży. Kobieta ta za pierwszym razem przytrzymała mnie przy telefonie ponad dwie godziny. Opowiedziała mi całe swoje życie. Oczywiście mogłam przerwać rozmowę, ale w jej opowiadaniu było coś niepokojącego. Nie tylko pewne niekonsekwencje, ale i sposób, w jaki reagowała snując swoje zwierzenia, roznieciły moje zainteresowanie. Śmiała się do swoich wspomnień, płakała nad sobą i zastanawiała się nad dalszym ciągiem nieraz tak długo, że przez kilka minut słyszałam tylko jej oddech. Po pewnym czasie zaczęła mi prawić komplementy. Ze jestem ponoć piękna, szczęśliwa, bo uśmiechnięta, i na pewno nie mam żadnych kłopotów. Ze ona wprawdzie moich książek nie czyta, bo w ogóle nie ma czasu na czytanie, ale jeśli te książki są tak miłe jak ja, to jestem właśnie tą osobą, która powinna zająć się jej wnuczkiem.

- „Jeśli pani nie czyta książek - zapytałam w przerwie jej wynurzeń - to po co przyszła pani na spotkanie autorskie?

- Bo spodobało mi się pani zdjęcie na afiszu. Od razu pomyślałam, że ta pani powinna adoptować Rafałka”.

- I ty to zrobiłaś? - nie posiadałem się ze zdumienia.

- Nie miałam najmniejszego zamiaru. Tym bardziej że jej motywy nie trafiały mi do przekonania. Zapytałam ją:

- „A czemuż to ja, osoba zupełnie obca, miałabym adoptować pani wnuka, skoro ma on swoją rodzoną babcię? O ile zrozumiałam, ma także ojca i matkę.

- Co z tego? - mówiła kobieta. - Mój syn jest pijakiem, a synowa to suka, uciekła od mojego synka z jednym fagasem, dziwka! Nawet dzieciaka chciała zabrać, ale jej się to nie udało. No i wszystko spadło teraz na mnie. A ja nie mam siły. Skończyłam, proszę pani, pięćdziesiąt lat, byłam kiedyś operowana i nie mam siły ani cierpliwości do takiego malucha. On jest, proszę pani, strasznie żywy, biega, skacze, mnie to denerwuje.

- Czy pani go nie kocha? - spytałam zdziwiona tym, co opowiada.

- Jeszcze jak go Kocham! Jest taki ładny, że każdy go pokocha.

- No to w czym problem? Czemu pani chce się go pozbyć?

- Przecież mówię: jest za żywy.

- Wszystkie dzieci są takie.

- Ale ja potrzebuję spokoju.

- Pani sobie ze mnie żartuje, chyba pani nie mówi tego wszystkiego serio? A może - nie wiedziałam, jak wypowiedzieć podejrzenie, które mi się nasunęło, żeby jej nie urazić - może miała pani jakąś uroczystość, może było trochę alkoholu i teraz w wyniku tego robią państwo ludziom kawały telefoniczne?"

Wypowiedziałam te słowa ostrożnie, a jednak wyprowadziłam ją z równowagi. Zaczęła mi urągać całkiem niewybrednie, wobec tego pewna już, że dałam się wciągnąć w dyskusję z osobą pijaną lub niezrównoważoną, odłożyłam słuchawkę.

Nazajutrz wieczorem kobieta zadzwoniła ponownie. Przepraszała mnie za wypowiedziane poprzedniego dnia słowa i powiedziała, że tak naprawdę to ona potrzebuje przyjaciółki od serca i ja bym się nadawała. Bo ona, mimo że wychowała się w hotelu robotniczym, z byle kim się nie zadaje, więc dla mnie to też honor, że obdarza mnie zaufaniem. Potem niespodziewanie zmieniła temat i zaczęła w ordynarny sposób urągać swojej synowej, przez grymasy której spadł na nią ciężar wychowywania wnuka.

- „Według mnie - powiedziałam - jest pani osobą wyjątkową, jeszcze nie spotkałam w życiu kobiety, która by z taką niechęcią mówiła o własnym wnuczku. To egoizm".

Rozplakała się i rzuciła słuchawkę. Potem jednak zadzwoniła znowu i nalegała, bym spotkała się z nią i dzieckiem. Poprosiłam ją o podanie nazwiska i numeru telefonu (przedtem się nie przedstawiła). Przyrzekłam,

że jak będę miała czas, to zadzwonię i umówimy się. Naturalnie nie miałam zamiaru tego uczynić, chciałam się tylko od niej uwolnić.

- A jednak się z nią spotkałaś, skoro dzieciak jest tu teraz z tobą.

- Nie. Ale nie mogłam o niej nie myśleć. Bez względu na to, ile było prawdy w tym, co mi opowiadała, musiała potrzebować pomocy lekarskiej, a może po prostu życzliwego słowa. Te na pozór pozbawione sensu wynurzenia, prośby, ba, nawet żądania podszyte były jakimś przerażeniem czy też rozpaczą. Nie umiałam tego do końca rozszyfrować i to mnie gnębiło. Z czasem zaczęło do mnie powracać obsesyjnie. Bo jeśli był to przerażony krzyk istoty błagającej o pomoc, co będzie, gdy go zbagatelizuję, przejdę obok, nie udzieliwszy pomocy? Nie mogłam o tym przestać myśleć, a zresztą, ta nieszczęsna mi nie pozwalała, bo dzwoniła do mnie niemal codziennie. Wreszcie któregoś dnia wzięłam książkę telefoniczną i sprawdziłam numer. Figurował pod tym samym nazwiskiem, które mi podała. Wynotowałam więc adres i zaczęłam dyskretnie obserwować dom, znajdujący się zaledwie trzysta metrów od mojego, i ludzi kręcących się w jego pobliżu.

Sprawiło to, że wkrótce stałam się świadkiem rozmowy, która mną wstrząsnęła. Była godzina czwarta po południu, wracałam ze sklepu z torbą pełną zakupów i postanowiłam przysiąść na ławce pod drzewem. Jak wiesz, w mojej dzielnicy mieszka się jak w ogrodzie: tu zielony skwerek, tam znów stawek z okalającymi go wierzbami, wszystko to zadbane i naprawdę piękne, bo administracja osiedla zatrudnia świetnego architekta zieleni. Toteż życie towarzyskie dzielnicy toczy się w tych zielonych zakątkach. Wystarczy posiedzieć na ławce, żeby dowiedzieć się mnóstwa rzeczy o mieszkańcach pobliskich domów. Tamtego dnia i ja usłyszałam wiadomość, która mnie zelektryzowała. Dwie kobiety siedzące obok mnie rozmawiały ze sobą:

- „Wie pani, że Szukalską w kaftanie bezpieczeństwa zabrało wczoraj pogotowie?

- Co pani powie? Do reszty zwariowała? Trudno się biedaczce dziwić - syna wykształciła, za granicę go wysłała, pracowała na niego bez tchu, a co się z niego zrobiło? Pijak i drań. Tak to jest, jak się dzieciom daje za wiele. A najbiedniejsze w tym wszystkim dziecko. Chodzi to obdarte i głodne, aż serce się kraje.

- Ona nie od tego zwariowała. Podobno jeszcze przed rozwodem leczyła się u psychiatry".

Nadstawiałam pilnie ucha, bo nie miałam już wątpliwości, że mowa jest o kobiecie, która do mnie wydzwaniała. Intuicja mnie nie zawiodła, sytuacja była rzeczywiście dramatyczna i ta biedaczka w ostatnich przebłyskach świadomości chciała widać zabezpieczyć swego wnuka. Dlaczego wybrała do roli opiekunki właśnie mnie, Bóg jeden raczy wiedzieć, ale dobrze zrobiła, bo zrozumiałam oto, że muszę wkroczyć w ten dramat, ile by mnie to nie kosztowało, inaczej wyrzuty sumienia nie dałyby mi spokoju...

- Przepraszam panie - zwróciłam się do rozmawiających kobiet. - Niechcący słyszałam, o czym panie mówiły, i chciałabym wiedzieć coś więcej na temat sytuacji tej rodziny. Ta chora osoba dzwoniła do mnie, prosząc, bym adoptowała jej wnuka. Uznałam to za nonsens, bo jej nie znam, nie czyni się przecież nieznanym takich zaskakujących propozycji. Wydało mi się, że coś z nią nie tak, ale nie przypuszczałam, że aż tak źle.

- „Och, pani sobie nie wyobraża, co to za dom. Ten bydlak, jej syn, pije na umór, potem się awanturuje, chyba nawet posunął się do tego, że pobił żonę i matkę. Ona od niego uciekła z jakimś facetem. Dziwne tylko, że oddała dziecko na taką poniewierkę”.

Obie kobiety tak się rozgadały, że opowiedziały mi nie tylko o tych, o których pytałam, ale i o reszcie współlokatorów ich kamienicy. Nie miałam innego wyjścia, jak wymówić się ważnym spotkaniem, inaczej zagadałyby mnie na śmierć. Nie miałam chwili do stracenia, powinnam zainteresować się losem dziecka, spowodować na przykład przekazanie go matce. Czułam się do tego zobligowana serią telefonów mojej nieszczęsnej rozmówczynie. Nie wiedziałam tylko, jak się do tego zabrać. Po zastanowieniu się uznałam, że nie mam innego wyjścia, jak pójść do domu Szukalskich i osobiście zorientować się w sytuacji. Ponieważ moja rozmówczynie miała już jedną moją książkę z autografem, pod pozorem, że obiecałam jej drugą, wybrałam się nazajutrz rano do jej domu. Chciałam udać, iż nic nie wiem o tym, że zabrano ją do szpitala i po prostu przyszłam w odwiedziny.

Okazało się, że kamuflaż wcale nie był mi potrzebny, żeby na własne oczy przekonać się, jak bardzo dzieciak potrzebuje pomocy. Byłam już obok domu, w którym mieszkali, zatrzymałam się przy liście lokatorów, by odnaleźć numer ich mieszkania, kiedy usłyszałam płacz dziecka i burkliwy odgłos najwyraźniej nietrzeźwego mężczyzny, mimo że była to dopiero dziesiąta rano.

- „Odczep się szczeniaku, daj mi święty spokój, odczep się, cholera jasna, bo ci przyłożę...”

- Ale ja jestem głodny, tatusiu, ja się boję sam siedzieć w domu - płakał mały".

Siedzieli obaj na schodach: brudny, rozczochrany mężczyzna o spuchniętej, czerwonej twarzy i mały umorusany chłopczyk, ubrany tylko w bawełnianą koszulkę, nawet bez majteczek. O ile trudno było określić wiek mężczyzny, to dzieciak nie wyglądał na więcej niż trzy i pół, może cztery lata. Tulił się do pijaczyny, usiłował mu wejść na kolana, podczas gdy tamten oganiał się od niego jak od natrętnej muchy. Nie mogłam na to patrzeć.

- „Czy pan Szukalski?

- A niech mnie! Ale lalka! Trochę przechodzona, ale w porządeczku... czym mogę służyć?

- Chciałabym się widzieć z panią Rozalią Szukalską. Jestem jej znajomą.

- No to się paniusia spóźniła, mamuśka jest w wariatkowie. W kaftaniku ją zabrali" - roześmiał się tak rubasznie, że aż poczułam ciarki na plecach.

- „Poważnie pan mówi? To co teraz zrobimy?

- A co mamy robić? Ja tam mogę paniusi coś zrobić wedle uważania, czemu nie? Na przykład kuku. Czeka, czeka staruszek, a może ty też jesteś pomyłona, skąd cię tu przyniosło?

- Jestem z opieki społecznej - kłamałam jak z nut. - Prezydent miasta ufundował dla dzieci z naszej dzielnicy kolonie letnie. Wnuk pani Szukalskiej też figuruje na liście, bo pana matka go zgłosiła.

- Słyszysz Rafał? A to ci się trafiło! Sam prezydent miasta funduje ci kolonie. No, co tak sterczysz tu z gołą dupą, biegnij założyć gacie.

- Czy to ten chłopiec?

- A jakże! Rafał ukłoń się pani dobrodziejce".

Dzieciak poważnie podał mi rączkę. Kiedy zamknęłam ją w mojej dłoni, ogarnęło mnie pragnienie, aby zawsze czuć jej ciepły dotyk. To było piorunujące wrażenie, wydało mi się, że czas się cofnął i oto trzymam znowu za rączkę mego synka.

- „Więc zgadza się pan - zapytałam pijaczyny - aby dzieciak wyjechał na kilka tygodni? Będzie pod dobrą opieką, zapewniam pana.

- A niech jedzie, tyle jego, co użyje.

- Wobec tego proszę mi podpisać ten dokument" - wyjęłam z torebki pierwszą lepszą spośród zadrukowanych kartek (akurat miałam tam brudnopis mego artykułu) i podsunęłam mu do podpisania z nadzieją, że nie będzie tego czytał. Ani mu to nie przyszło do głowy. Chwycił podany



długopis i drżącą ręką narysował swoją parafkę, ozdabiając ją chwiejnym zakrętasem.

- „Dobrze by było - brnęłam dalej, żeby żona jeszcze podpisała.

- Ha, ha, ha! A co ona ma do tego?

- Potrzebna jest zgoda obojga rodziców.

- A to ci heca! Ta zdzira, którą paniusia łaskawie nazywa moją żoną, pewnie się akurat pieprzy z moim dawnym przyjacielem w jego chacie na Mokotowie.

- Ma pan jej adres?

- Mam i co z tego?

- Muszę mieć jej zgodę na piśmie...

- Proszę bardzo, jeśli dzieciak ma przez to nie skorzystać, proszę bardzo: Madalińskiego dwadzieścia sześć, mieszkania pięć. Chyba pani tam po ten zafajdany podpis nie pojedzie, co? Jej podpis funta kłaków jest wart, bo chłopak jest ze mną.

- Dobrze, jeśli tak się sprawy mają, wystarczy nam pański - zgodziłam się z nim skwapliwie, starając się jednocześnie zanotować w pamięci adres matki dziecka".

Potem udało mi się namówić go do pójścia do ich mieszkania, żeby zabrać rzeczy dziecka potrzebne na rzekome kolonie. Pakując je, przez cały czas paplałam różne zmyślenia, z jakim to oddaniem jego matka ubiegała się o kolonie.

- „Widać staruszka miała jeszcze jakieś przebłyśki świadomości. Teraz ześwirowała na amen. Dlatego piję - zwierzył mi się nagle niemal trzeźwym tonem. Zona - dziwka, matka - wariatka, kto jest w stanie wytrzymać takie ciśnienie? Nic, tylko zalać pałę! Pani mnie rozumie? A może napijemy się razem, co? - zaproponował.

- Nie mogę i panu też nie radzę, już pan ma dosyć.

- Jak nie mogę, to przez nogę, a kiedy mam dosyć, sam wiem najlepiej".

Przestraszyłam się, że wyprowadzę go z równowagi i nie pozwoli mi zabrać dziecka, więc powiedziałam szybko.

- „Ma pan rację, przepraszam pana. Ale widzi pan, za pół godziny odjeżdża autokar, możemy nie zdążyć.

- Rafałku, pójdziesz ze mną? Pojedziesz na kolonie razem z innymi dziećmi, będziesz miał kolegów i pyszne obiady - mówiłam szybko, nie zastanawiając się nad tym, że okłamuję dziecko.

- A ty też ze mną pojedziesz?

- Naturalnie, ja tam pracuję".

Śpieszyłam się, żeby ojciec dziecka nie wytrzeźwiał zaudu i nie zaczął dochodzić prawdy, bo miałabym się z pyszna.

- Anno, nie zastanowiłaś się nad tym, że z punktu widzenia prawnego było to zwykłe porwanie?

- Tak nazywasz wyrwanie dziecka z rąk ludzi niepoczytalnych?

- Gdyby jednak ojciec chłopca chciał, mógłby ci narobić kłopotów.

- Wtedy nie myślałam o tym, działałam jak w transie.

- I od tamtej pory nie kontaktowałaś się z jego rodzicami? Może należałoby go oddać matce?

- Byliśmy u niej. Ta kobieta się narkotyzuje. Była tak odurzona, że nie poznała własnego dziecka. Nie mogę go oddać tym ludziom, pokochałam go i on mnie kocha.

- He czasu upłynęło od dnia, w którym go zabrałaś?

- Sześć tygodni. Zmienił się od tego czasu nie do poznania.

- Sześć tygodni? I nikt się nie zainteresował tym, gdzie dzieciak przebywa? Przecież każdy pijak od czasu do czasu trzeźwieje. Żaden turnus kolonijny nie trwa tak długo. Nie powinnaś go trzymać z dala od rodziców nie sankcjonując tego prawnie. Możesz mieć kłopoty.

- Przecież lepiej niż u mnie nigdzie mu nie będzie.

- Z pewnością. Ale nie możesz o tym decydować sama.

- A kto ma decydować? Ojciec pijak i matka narkomanka? Na pewno jestem bardziej odpowiednią osobą do opieki nad dzieckiem niż oni - mówiła impulsywnie.

Jak na mój gust zbyt impulsywnie. Zaczęło mi się to nie podobać.

- A jak wytłumaczyłaś mu fakt, że nie wyjechał na obiecane kolonie z dziećmi?

- Och, to nie było trudne! Dzieciak przylgnął do mnie natychmiast, otoczyłam go luksusem, dostał zabawki, których nigdy nie miał. Nikt go nie bije i nie odpędza od siebie. Żebyś posłuchał jego opowieści o rodzinnym domu, włosy stanęłyby ci dęba. A ja też pierwszy raz od wielu lat czuję się naprawdę szczęśliwa. Jakby powróciły lata, kiedy z moim synkiem byliśmy sobie tak bardzo bliscy.

- Anno, to nie może trwać wiecznie. Wkrótce będziesz musiała go zwrócić jednemu z rodziców, choćby na jakiś czas, zanim sąd mu nie wyznaczy rodziny zastępczej.

- Zwariowałeś? Po co mu rodzina zastępcza, ma mnie. Ty chyba nikomu nie powiesz, gdzie z nim przebywam? - spytała posyłając mi nagle tak wrogie spojrzenie, o jakie bym jej nie podejrzewał. - Mój Boże! Po co ja cię tu zaprosiłam.

- Uspokój się Anno, nie zamierzam robić nic przeciwko tobie, ale inni mają do tego prawo. Wystarczy, że pójdą do twojej sąsiadki, która ci podlewa kwiaty, i ona powie im, gdzie jesteś. Mnie już przecież powiedziała.

- Szpiegowałeś mnie???

To odezwanie było tak nie w stylu Anny, że ogarnęło mnie zażenowanie.

- Skądże znowu - starałem się ją uspokoić. - To zwykły zbieg okoliczności. Zamierzałem właśnie wyjechać do Konstancina i chciałem wziąć od ciebie obiecany maszynopis powieści, żeby go tu przeczytać.

Tym na poły kłamliwym wyznaniem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, uspiłem jej podejrzliwość. Rozpogodziła się.

- Naprawdę chcesz go przeczytać? To jest najlepsze ze wszystkiego, co dotąd napisałam, zapewniam cię. To moje drugie ukochane dziecko - przypieczętowała swój entuzjizm nieoczekiwanym stwierdzeniem.

- Chyba trzecie - powiedziałem z głupia frant, żeby pokryć zmieszanie wynikłe z jej zaskakującego rozumowania.

- Co trzecie?

- No... dziecko: pierwsze Filip, drugie Rafał, trzecie powieść, jeżeli tak to ujmujesz.

- Oj, Filip się już nie liczy. Ma inną matkę, a tak dobrze się rozumieliśmy...

Byłem coraz bardziej zakłopotany. Z Anną działo się coś niedobrego. Może potrzebuje pomocy, ale jakiej? Ewa by to wiedziała. Wspomnienie Ewy sprawiło, że oblała mnie fala gorąca. Poczułem, że się rumienię, i przestraszyłem się, że Anna może to zauważyła. Nie wiem czemu, myślenie przy jednej z nich o drugiej napawało mnie zawsze poczuciem winy. Anna wiedziała o Ewie, mimo to unikałem z nią rozmów na temat mojej żony. Nie chciałem też za nic w świecie, by Ewa poznała moje myśli o Annie, chociaż one jej pozycji przy mnie coraz mniej zagrażały. Sam się wpędziłem w ślepią uliczkę...

- Henryku, mam tutaj ten maszynopis. Po tym, jak pierwszy egzemplarz zgubiliście, zrobiłam kilka kopii tego, który mi pozostał, i przynajmniej jedną z nich mam zawsze przy sobie, gdy wyjeżdżam z domu.

- Świetnie się składa. Jeśli dasz mi go teraz, od razu zabiorę się do czytania.

Podeszła do komody i wyjęła z szuflady dość grubą papierową teczkę owiniętą w folię. Nie mogłem się oprzeć zaciekawieniu i zaraz zajrzałem do środka. Nie było na teźce ani na pierwszej stronie tytułu lub choćby nazwiska autorki. Od razu zaczynały się numerowane stronicie z tekstem. Już pierwsze zdanie zafrapowało mnie i zadziwiło. Zamknąłem teczkę, owinałem jak pierwzej folią i skierowałem się do wyjścia.

- Spotkamy się na kolacji - powiedziałem szybko. - Teraz chcę jak najprędzej zostać sam na sam z twoją książką.

- Henryku - zawołała za mną. - Mam nadzieję, że nie będziesz z nikim rozmawiał o mnie i Rafałku. Mogę ci zaufać?

- Jak sobie życzysz.

Odprowadziła mnie do furtki, ale wydawała się dziwnie roztargniona. Wyglądało na to, że poszła za mną tylko po to, by upewnić się, że odejdę. Utwierdziłem się w tej myśli, kiedy po chwili obejrzałem się, żeby jej pokiwać. Wracała do domu szybkim krokiem, prawie biegła.

- Pewnie dzieciak się obudził - pomyślałem i poszedłem dalej.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zgodnie z obietnicą natychmiast po przyjsciu do swojego pokoju zacząłem czytać powieść Anny. Miała rację, była rzeczywiście najlepsza ze wszystkiego, co dotąd napisała. Była też lepsza od wielu uznanych książek, które napisali inni. Wartka, trzymająca w napięciu akcja dotyczyła spraw prostych, ale podane to było w taki sposób, że zapadało w serce i pobudzało do myślenia... Jej widzenie świata było ujmujące i zaskakujące, toteż czytając wracałem do niektórych fragmentów, żeby się w nich rozsmakować. Gdybym przewracając kolejną kartkę nie spojrział na zegarek, nie poszedłbym nawet na kolację, tak się zaczytałem. Niechętnie przerwałem i poszedłem do sali jadalnej po to jedynie, żeby podzielić się z Anną wrażeniami, a nade wszystko zapewnić ją, że napisała coś wyjątkowego i że bardzo ubolewam nad tym, iż dotychczas tego nie wydaliśmy.

Byłem spóźniony, niektóre stoliki były już puste, nie było także Anny. Rozczarowało mnie to, ale przypomniałem sobie, że przecież kolacje jadała wcześniej. Pośpieszyłem więc do pokoju, aby wznowić lekturę. Nie odłożyłem książki, póki jej nie skończyłem. Byłem nią poruszony.

Następnego dnia przed obiadem poszedłem do kwiaciarni i kupiłem pięćdziesiąt róż, by ofiarować je Annie w hołdzie dla jej talentu.

Jak mogliśmy obaj z Michałem potraktować ją tak niedbale? Fakt, że zdarzyły się te fatalne zbiegi okoliczności, niemniej spotkała ją krzywda, którą musimy jak najrychlej naprawić. Czekałem z kwiatami w alejce prowadzącej od furtki do jadalni. Idąc na obiad musiała tedy przejść, nie miała innej drogi. Spieszno mi było wyrazić swój podziw. Jednak mimo, że minęło już parę minut po czternastej, Anna nie nadchodziła. Wszedłem do sali, by zająć swoje miejsce, z nadzieją, że może weszła tam znacznie wcześniej, ale jej stolik był pusty. Zjadłem szybko i postanowiłem pójść tam, gdzie mieszkała, by dowiedzieć się, czy ona lub chłopczyk nie zachorowali. Jej dziwaczne zachowanie z poprzedniego dnia, tych parę wypowiedzi, które mnie zaniepokoiły, zupełnie wypadły mi z pamięci, tak dalece byłem pod wrażeniem książki.

Nacisnąłem skobel od furtki, nie ustąpił, zadzwoniłem. Wyszła do mnie właścicielka domu. Kiedy spytałem o Annę, powiedziała:

- To pan odwiedził wczoraj panią Turską, chyba się nie mylę?
- Tak, byłem tu wczoraj o tej samej porze.

- Zaraz po pańskiej wizycie spakowała się, obudziła dziecko i wyjechała. Mały płakał, chciał jeszcze spać, ale ona ubierała go szybko, mimo iż przelewał się przez ręce. Tłumaczyła mu, że muszą uciekać w bezpieczniejsze miejsce, bo źli ludzie mogą ich rozdzielić. Byłam akurat w ogrodzie, miała otwarte drzwi na taras, więc wszystko słyszałam. Muszę przyznać, że byłam zaskoczona. Pani Turska, na ogół bardzo spokojna, wczoraj była tak podminowana, że aż niepodobna do siebie. Miała tu zostać do końca miesiąca, więc wyraziłam rozczarowanie, wtedy zapłaciła mi za resztę rezerwacji. Wynikło jeszcze zamieszanie, bo mąż zastawił jej samochód swoim, a ja nie mogłam znaleźć kluczyków, żeby go przestawić tak, by mogła wyjechać. Ona, proszę pana, zachowywała się tak, jakby była w panice. Myślałam, że to właśnie od pana dowiedziała się czegoś takiego, co ją przstraszyło, bo przed obiadem była pogodna i rozluźniona.

- Dokąd pojechała, do domu?

- Nie wiem, nie zwierzała mi się ze swoich planów, ale na ogół każdy z wypoczynku wraca do domu, więc tam ją chyba najłatwiej pan znajdzie.

- Dziękuję pani - powiedziałem i ku jej osłupieniu wręczyłem jej ogromny bukiet róż.

- To dla mnie???

- Czemu nie? Pani Turska mnie do tego upoważniła, dobrze jej się u pani mieszkało.

- To bardzo miła osoba, szkoda, że musiała tak nagle przerwać wypoczynek. Przykro mi ze względu na nią i jej synka, czuł się tu doskonale.

Tym razem ja się zdumiałem. Więc Rafałek w oczach ludzi miał uchodzić za jej synka? Do czego zmierzała? Doprawdy, ta kobieta nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Pod każdym względem.

Pożegnałem się z właścicielką domu, ani nie wyrażałem swoich opinii, ani nie prostowałem tego, co powiedziała jej Anna. To nie miało znaczenia, skoro jej tu już nie było.

Wróciłem do pensjonatu i szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co ze sobą począć. Upewniłem się jeszcze w recepcji, czy Anna zdecydowanie rozstała się z Konstancinem. Nie było co do tego wątpliwości, poprzedniego popołudnia nadeszła telefoniczna wiadomość, że dziękuje za dalsze posiłki i prosi o potrącenie jej należności z konta w Stowarzyszeniu Autorów.

Byłem w kropce, co za szalone qui pro quo. Radbym z kimś omówić tę sprawę, ale przecież działałem w tajemnicy przed wszystkimi, kłamiąc jak z nut. No i mam za swoje! W dodatku martwię się o Annę. Zajęcie się nieszczęśliwym dzieckiem było z jednej strony pięknym gestem, ale z drugiej jej zaborczość wobec niego tudzież dziwne stwierdzenie o własnym synu, że się już nie liczy, były naprawdę niepokojące. Bałem się o nią, o to, jakie może ponieść konsekwencje zaanektowania dziecka, kiedy wyrodny ojciec wytrzeźwieje, bo wszakże kiedyś to nastąpi. Co będzie, gdy wyjdzie na jaw cała mistyfikacja z koloniami ufundowanymi przez prezydenta miasta? Co będzie, gdy ojciec upomni się o dziecko, a ona nie zechce go oddać? Bo jedno i drugie wydawało mi się tak pewne, jak to, że dwa razy dwa jest cztery. Pijaczyna bez wątpienia kochał chłopaka, najlepszym na to dowodem była skwapliwość, z jaką skorzystał z domniemanej szansy, która się małemu nadarzyła. Widziałem też w oczach Anny niezdrową wręcz determinację, kiedy przekonywała mnie, że najlepsze, co mogło się dziecku przytrafić, to przebywanie z nią. Na pewno nie pozbawione to było racji, ale powinna była wszystko załatwić inaczej, nie podstępnie i samowolnie. Odniosłem też wrażenie, że było to działanie przede wszystkim dla jej dobra, a nie dla dobra dziecka. Może się trochę zagalopowałem. Z początku na pewno kierowały nią uczucia altruistyczne, potem w trakcie przebywania z dzieckiem coś się zmieniło. Jednak źródło tego wszystkiego tkwiło zapewne zupełnie w czym innym. Czyżby to było uczucie zawodu w stosunku do własnego syna? Chyba za daleko idę w swoich dywagacjach - pomyślałem. O ile wiem, Filip jest wrażliwym i mądrym człowiekiem. Co takiego mogło zajść między nim a matką? Ożenił się z kobietą, której ona nie akceptuje? Co z tego, skoro jest z nią szczęśliwy. Anna jest zbyt wielkoduszna, aby to zaważyło na ich wzajemnych stosunkach. Podobnie jak przed laty w Paryżu, i wtedy w Konstancynie wpadłem po pachy w jej skomplikowane i nietypowe kłopoty. Miała niezwykle dar wplątywania mnie w swoje sprawy, czego nie mogę powiedzieć o mojej żonie, u boku której żyję tyle lat. To paradoksalne, ale wystarczyło, żebym pomyślał o Ewie, by ucześć się myśli, że jest jedyną osobą, która potrafiłaby zadziałać rzeczowo w sprawie Anny. Chyba będę jej musiał o wszystkim opowiedzieć. No, może nie o wszystkim, nie o tym, kiedy i gdzie ją poznałem. Gdyby skojarzyła fakty, mogłoby ją to zabołec. Chciałbym także, aby przeczytała tę książkę, ciekaw jestem, co o niej powie.

Ledwie zaświtał mi w głowie taki pomysł, przywiązałem się do niego i nabrałem otuchy. Nie muszę już sam martwić się o Annę, bo Ewa pozbawi mnie tego brzemienia. Ona jest niezawodna. Tam, gdzie się pojawi, problemy ulatniają się jak kamfora. Na palcach policzyć mogę sprawy, z którymi trudno jej było sobie poradzić.

Z głową pełną życzliwych myśli o Ewie zadzwoniłem do Warszawy do Anny, aby przekonać się, czy wróciła do domu. Telefon milczał. Wyłączyła nawet automatyczną sekretarkę...

Zszedłem następnie do recepcji, żeby dokonać opłat i podziękować za gościnę w pensjonacie. Zatelefonowałem jeszcze do Michała, powiadając go o zmianie miejsca pobytu, na wypadek gdyby wyniknęły jakieś nagłe sprawy. Po pół godzinie z walizką w bagażniku jechałem już do Juraty. Postanowiłem zrobić Ewie i Markowi niespodziankę.

Kiedy wieczorem dotarłem do hotelu, gdzie zatrzymali się moi bliscy, w hallu spotkałem Marka z nierozłącznym Bartkiem. Obaj byli z plecakami i najwyraźniej dokądś zmierzali. Na mój widok syn się zmieszał. Twarz jego w pierwszej chwili rozjaśniła się uśmiechem, ale zaraz ujrzałem na niej rozczarowanie.

- Dokąd to młody człowieku? Uciekasz przed ojcem?

- No właśnie... tato. Nie spodziewaliśmy się ciebie tutaj i mama pozwoliła mi jechać na festiwal... zaraz mamy pociąg.

- Żałuję, że nie pobędziemy razem, ale skoro mama pozwoliła, nie widzę powodu, żeby ci zabraniać.

- Super! Jesteś równiacha, tato, odwieziesz nas na dworzec?

- Załatwione, tylko przywitam się z mamą.

- Nie ma jej. Poszła na koncert, wróci o dziesiątej.

- Widzę, że świetnie się bawicie beze mnie.

- Nie wiedzieliśmy, że przyjedziesz.

- Fakt. No to jazda na ten dworzec.

Zanim wsadziłem chłopców do pociągu, Marek zapytał:

- Tato, nie masz trochę kasy?

- A mama ci nie dała?

- Trochę dała, ale jakby kwatery były droższe albo jakiś super kompakt się trafi...

Sięgnąłem do portfela. Często spieramy się z Ewą o to, że bałamucę finansowo nasze dzieci.



Pokiwałem synowi z peronu, tyle się nim nacieszyłem, i wróciłem do hotelu. Otworzyłem apartament kluczem, który dał mi Marek, zanim zdążył zostawić go w recepcji. Wziąłem prysznic, przebrałem się w piżamę i rad byłem, że sprawię Ewie niespodziankę. W lodówce znalazłem zimne napoje, słone paluszki i butelkę koniaku. Poczęstowałem się, a następnie usunąłem ślady swojej obecności i ukryłem się w pokoju Marka, żeby Ewa nie od razu zorientowała się, że jestem. Zadzwoiłem po przysłanie do mnie kogoś z recepcji. Po chwili zjawiła się kobieta z obsługi piętra. Poleciałem jej zamknąć mi na klucz i oddać go w recepcji, prosząc, by nie zawiadamiano żony, że jestem na górze, gdyż chcę jej sprawić miłą niespodziankę...

Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż sobie zaplanowałem. Zmęczony podróżą już wpadałem w objęcia Morfeusza, kiedy usłyszałem zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

- Usiądź tu w fotelu, będzie ci wygodnie. Poczekaj, tylko zrobię drinki i już jestem - usłyszałem głos Ewy.

Nie przewidziałem, że może wrócić o tej porze w towarzystwie. Zirykowało mnie to. Ciekawe, kogóż zamierza uraczyć drinkiem?

Mogłem się oczywiście ujawnić, ale pomijając to, że byłem w piżamie, nie miałem ochoty występować w roli anegdotycznego męża ukrytego w szafie.

- Najgorsze jest to - odezwał się głos kobiety - że ja teraz jestem zupełnie inną osobą, taką, której nie lubię.

Odetchnąłem z ulgą. Ewa mnie nie zdradza, zaprosiła na pogaduszkę przyjaciółkę. Bardzo wątpliwe, żeby teraz miała ochotę zaglądać do pokoju Marka. Kiedy dwie kobiety zaczynają się sobie zwierzać, nie liczy się nic dookoła. Mogę spokojnie spać, póki Ada nie pójdzie do siebie.

- Dziwna rzecz - mówiła moja żona - dałabym sobie głowę uciąć, że przed wyjściem do kina miałam jeszcze ponad pół butelki koniaku, a teraz widzę, że zostało go tylko trochę na dnie. Mam nadzieję, że Marek z Bartkiem nie obciągnęli tego przed tym swoim festiwalem. Słone paluszki też zabrali, było ich tu jeszcze przynajmniej jedno opakowanie. Będą sobie pogryzać w pociągu.

O mały włos nie wyrwałem się z przyznaniem do winy, w ostatniej sekundzie przypomniałem sobie, że oficjalnie na razie mnie tu nie ma, i ugryzłem się w język.

- Daj sobie spokój z koniakiem, napijmy się lepiej herbaty - zaproponowała Ada.

- Dobry pomysł. Zadzwoń do restauracji. A może byśmy coś przekąsały?

- Zamówmy fladry - dobre, a nie tuczą.

- Nie tuczy, moja droga, tylko to, czego nie zjesz — rezonowała Ewa - ale mam już po dziurki w nosie ograniczeń. Zaszalejemy sobie, będzie nam się lepiej gadało.

Omiał nie wyskoczyłem z łóżka. Kobiетки wystawiały mnie na ciężkie próby. Od południa poza dwoma kieliszkami koniaku i paczką słonych paluszków nie miałem nic w ustach. Wysłuchałem potem, oblizując się od ucha do ucha, listy zamówień. Smakowite zapachy przywołałem siłą wyobraźni, jeszcze zanim kelner dostarczył posiłek do pokoju.

- Wracając do tego, co mówiłaś, że nie lubisz siebie - odezwała się Ewa - wiesz, że to może być połowa twoich kłopotów? Istnieją teraz takie teorie, że trzeba najpierw pokochać siebie, bo tylko wtedy można osiągnąć sukces w jakiegokolwiek dziedzinie. Ja to już nawet sprawdziłam na sobie. Stanowczo łatwiej mi wszystko idzie, kiedy nie załamuję rąk nad sobą i akceptuję to, że jestem, jaka jestem.

- Łatwo ci to mówić... twoje życie jest zupełnie inne. Masz wciąż tego samego kochającego męża, nie musisz o nic się troszczyć... A ja, powiedz, czy ja mogę jeszcze na coś w życiu liczyć?

Ada, odkąd ją pamiętałem, miewała kłopoty. Dwóch mężów odeszło od niej w siną dal. Ostatni, z którym wydawała się być szczęśliwa, umarł nagle na zawał serca. Minał od jego śmierci zaledwie rok, a ona już miała kogoś na widoku. Tyle że ten ktoś nie chciał się wiązać na stałe. Ona zaś, niepomna złych doświadczeń w dwóch poprzednich związkach, chciała za wszelką cenę znowu zostać żoną. Nie nadawała się do samotnego życia.

Pukanie do drzwi oznajmiło prawdopodobne nadejście kelnera z przekąskami i herbatą. Brzęk rozstawianych naczyń potwierdził moje przypuszczenia. Przez drzwi wahadłowe dobiegły do mnie zapachy po stokroć czarowniejsze niż te z wyobraźni. Święci pańscy, jakże ja lubię fladry! Walczyłem ze sobą, żeby nie włączyć się do biesiady. Tymczasem dwie sadystki prowadziły dialog monosylabami, racząc się do syta.

- A dlaczego nie chcesz korzystać z tego, co masz - mówiła Ewa. - Po co ci ten cały ambaras z prowadzeniem domu, z organizowaniem go na nowo?

Chodzisz sobie na randki, jesteś emablowana, masz czas, żeby o siebie zadbać.

- Dobrze ci mówić! Właśnie brakuje mi tych codziennych trudności. Ludzie szczęśliwi nie są w stanie wczuć się w sytuację innych.

- A skąd ty wiesz, czy ja jestem taka znów szczęśliwa, jak naprawdę wygląda moje życie? - odezwał się głos mojej żony. Wstrzymałem oddech.

- Przynajmniej z boku wydaje się idealne. Piękny dom, udane dzieci, żadnych skandali, skoków w bok. Szczęściara z ciebie, Ewo. Może ci nawet zazdrozczę, w taki życzliwy, pozytywny sposób. Zawsze ci zazdrościłam, to znaczy chciałam być taka jak ty i mieć to, co ty miałaś i masz... Jeszcze w szkole.

- Naprawdę? No popatrz, jak to pozory mylą!

- Chyba nie powiesz, że się myliłam?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo. Więc ty mi zazdrościłaś w szkole? Czego?

- Wszystkiego. Twoich stopni, twoich rodziców, ich pozycji, nawet tego, że tworzyliście taką wzorową rodzinę.

Po tym wyznaniu Ady Ewa wybuchnęła śmiechem. Nie swoim szczerym, serdecznym śmiechem, który tak lubiłem, lecz jakimś obcym, gorzkim i sardonicznym. Nie podobało mi się to. Widocznie zaskoczyła swoją reakcją i Adę, bo ta zapytała cicho:

- Co ja takiego powiedziałam?

- Nic takiego, ale nawet nie wyobrażasz sobie, jak się mylisz. Ja nie miałam i nie mam tak szczęśliwego życia, jak ci się zdaje.

Kiedy to usłyszałem, sądziłem, że żartuje, droczy się z przyjaciółką, chociaż ton jej wypowiedzi wcale na to nie wskazywał. Chciałem zrobić jej miłą niespodziankę niezapowiedzianym przyjazdem, w tej chwili już zacząłem tego żałować. Wszystko we mnie buntowało się przeciw słuchaniu tych słów, nie przeznaczonych dla moich uszu. Nie chciałem odkrywać nowych prawd, na które nie byłem wcale przygotowany. Nie ma co, działając w dobrej wierze nawarzyłem sobie piwa i nie miałem innego wyjścia, jak wypić je do końca...

- Przynajmniej sobie jako dziecko, że nigdy nikomu nie powiem, jak naprawdę było w naszym domu. Nie chciałam żyć tak jak moja matka. Ona pod koniec życia nie umiała z nikim o niczym innym rozmawiać, jak tylko o tym, ile doznała krzywd od mego ojca. Była tak zgorzkniała, że nie sposób było tego wytrzymać.

- Ale twój ojciec nie mógł jej krzywdzić! Był czarującym człowiekiem.

- O tak, na zewnątrz potrafił być czarujący. W domu, wobec mojej matki zdarzało mu się to rzadko. Czarujący profesor Lubiński był w czterech ścianach domu psychopatycznym tyranem. Miał swoje odkrycia naukowe, autorytet wychowawcy studentów i młodej kadry naukowców, ale to mu bynajmniej nie wystarczało, musiał ustawicznie potwierdzać swoją ważność i nieomylność w domu. Mimo, że był wielkim miłośnikiem kobiecych wdzięków (nie raz płakałam pod kołdrą, gdy matka robiła mu wymówki za niewybredne romanse), żywił dla naszej płci niezrozumiałą pogardę. Wciąż miał na ustach takie jadowite zwroty, jak: babska głupota, babskie gadanie itp. Miałam taki okres w dzieciństwie, kiedy rozpaczałam z tego powodu, że nie urodziłam się chłopcem, bo fakt, że nie wyrosnę na nic innego, jak „babski ptasi mózdzek” i „głupią babę”, napawał mnie przerażeniem.

- Ale przecież twoja matka nie była żadnym głuptasem. Wręcz przeciwnie, była osobą bardzo utalentowaną i wiedzącą, czego chce od życia.

- Właśnie. Niestety, nie miała w sobie siły, by przeciwstawić się napadom wściekłości ojca. Bo on miał tę swoją złość zawsze w zanadru. Irytowało go wszystko. To, że się odzywała nie w porę i nie na temat, który mu odpowiadał. Kiedy rozmawiała z kimś przez telefon, miał za złe, że prowadzi tę rozmowę nie tak, jak on to sobie wyobrażał, i głośno korygował jej wypowiedzi, co nieraz dla jej rozmówców musiało być słyszalne. Krytykował wszelkie jej poczynania w domu, w kuchni, w każdym szczególe. Wyklócał się o to, jak postawić krzesło, na ile zaciągnąć firankę, sprawdzał, jak pozmywała, czy zgasiła w porę gaz, czy nie marnotrawiła prądu i tak dalej. Był małostkowy do obrzydliwości. Do tego jeszcze skąpy. Niezbędne wydatki bieżące były dla niego rozrzucaniem pieniędzy. Wszystkie sprzęty, naczynia matka kupowała ukradkiem, nie mówiąc już o odzieży. Na szczęście zarabiała na swoich słynnych witrażach wcale dobrze, przynajmniej więc w tej sferze była niezależna. Pamiętam, jaka to była frajda, gdy ojciec wyjeżdżał z domu, a my biegłyśmy z mamą na zakupy, kupowałyśmy firanki, dywany i różne rzeczy do kuchni i wystroju domu niezbędne, a przez ojca uważane za niepotrzebne. Wtedy też sprawiałyśmy sobie nowe ubrania. Z czasem ta chęć kupowania zmieniła się u mojej matki w chorobę. Nie potrafiła wyjść z domu sama, żeby czegoś nie kupić. Nie miało to już nic wspólnego z jej potrzebami, było rodzajem buntu przed zakazami. Obrastało więc moje biedne mamidło w rzeczy niepotrzebne, szafy nie domykały się, potykaliśmy się o sprzęty.

Zastanawiałam się nad tą jej ułomnością i dopiero teraz niedawno zrozumiałam, że ona w ten sposób rozładowywała swoje napięcia. Bo miała ich więcej, niż można znieść. Kiedy miało się u nas odbyć przyjęcie, ojciec strasznie panikował, a ona była wtedy zawsze na granicy wytrzymałości nerwowej. Uznawano ją powszechnie za zręczną panią domu, zachwycano się tym, co podawała, ale zanim do tego doszło, ojciec z góry zakładał, że nie stanie na wysokości zadania, co nie ułatwiało jej przygotowań. Miał też manię zamykania drzwi od kuchni i otwierania okna na oścież w celu pozbycia się zapachów. Czynił to w czasie jej przygotowań. Ponieważ było to już zasadą, że każde takie wietrzenie przyplącała ostrym przeziębieniem, zaciekle broniła drzwi i okien i ciągle się o to awanturowali. On zamykał, ona otwierała i odwrotnie. Tracili na to mnóstwo energii. Istny dom wariatów. Z wiekiem wszystkie uciążliwe dziwactwa nasilały się i matka z dowcipnej i pełnej wdzięku istoty zmieniała się w zahukaną, niedocenianą i wiecznie skarżącą się za jego plecami na swój los biedulę. Było mi jej żal i chwilami nienawidziłam jej za to. Kiedy wydorostałam, nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie odejdzie, po co daje sobą pomiatać. Potem zrozumiałam, że była istotą sentymentalną; ojciec był kiedyś jej wielką miłością, więc mimo jego nieznośnego charakteru trwała przy nim niezmiennie. Była mu przez całe życie wierna i choć coraz mniej posłuszna, to jednak oddana. Lecz bunt w niej narastał i z czasem kłócili się coraz więcej i zajadlej. Na każdy temat mieli przeciwne zdania. A już prawdziwy koszmar zaczął się wtedy, kiedy oznajmiłam w domu, że wychodzę za Henryka.

- Co ty powiesz, nie wiedziałam, że nie podobał się twoim rodzicom! - wykrzyknęła Ada.

Co gorsza, ja też nie miałem o tym pojęcia. To prawda, że profesor Lubiński nie zachowywał się wobec mnie wylewnie, ale nie oczekiwałem tego. Nasze stosunki były całkiem poprawne. Teraz, kiedy stałem się przypadkowym świadkiem zapierających dech w piersiach wynurzeń mojej żony, uświadomiłem sobie, iż czasem wydawało mi się, że rozmawiając ze mną walczy z irytacją, ale brałem to na karb jego wieku i związanych z nim dolegliwości, które starał się ukryć. Jeżeli był taki, jak go Ewa opisuje, musiał też być strasznym hipokrytą, bo przy mnie i przy ludziach zawsze zwracał się do żony per „myszko”. Zauważyłem, że jest apodyktyczny - tego nie udawało mu się ukryć - ale nie wyobrażałem sobie, że do tego stopnia. Czasem chciał się ze mną zakumplować i powiadał: „siadaj

chłopcze, porozmawiajmy o samochodach, zostaw w spokoju baby, niech tam sobie urywają głowy". Ponieważ działo się to na ogół w momentach, kiedy potrzebna była paniom moja pomoc, trzeba było coś dźwignąć czy otworzyć mocną ręką oporną zakrętkę słoika, puszczałem mimo uszu jego propozycję, biorąc ją za żart. Nie sądziłem, że taki autorytet, jak profesor Lubiński, może na serio określać bliskie mu kobiety pogardliwym epitetem „baby”. Wszystkie te myśli błyskawicznie przelatywały przez mój umysł, bo oto z prędkością burzy piaskowej nadlatywały coraz to nowe informacje z życia mojej żony i - jak się miało okazać - naszego.

- To nie była sprawa tego, czy Henryk mu się podobał czy nie. Chodziło o to, że miał czelność sięgnąć po jego własność. Bo mój ojciec był do tego wszystkiego człowiekiem zaborczym. Poczul się zdradzony, oszukany, okradziony. Jego własność, jego mała córeczka, pieszczoszka, wybrała sobie innego pana i władcę. To wystarczyło, by znienawidził Henryka. Nie wyrażał się o nim inaczej, jak „ten idiota”. Nawet gdyby zięć był szachem perskim, noblistą i wzorem wszelkich cnót, nic by to nie zmieniło. Oczywiście, że w tej jedynej sprawie okazał się zupełnie bezsilny, całą więc złość za taki stan rzeczy wyładowywał na Bogu ducha winnej matce i to pogłębiało jeszcze ich rozdźwięk.

W tym momencie przypominałem sobie scenę, jaką zrobiłem przed wyjazdem naszej córce Beacie. Ona też to zapamięta i tak jak jej matka będzie wylewać kiedyś przed kimś swoją gorycz. Zawstydziłem się. Jak wiele rzeczy dociera do nas z opóźnieniem, dopiero spojrzenie innych z boku musi je nam uświadamiać.

- Często współczułam matce, ale jeszcze częściej irytowała mnie jej bezbronność wobec poczynań ojca, zgoda na takie traktowanie, a już szczególnie wylewanie żalów przed obcymi. Nie byłam w stanie zrozumieć, dlaczego dwoje ludzi gotuje sobie taki los, pełen wzajemnej niechęci, i mimo tego trwa przy sobie. Czasami matka ganiła też siebie. Mówiła, że potrafi na zimno rozpatrywać wszystkie swoje słabostki, ale coś ją pcha do innego, niż powinna, postępowania.

Z wiekiem zamiast się opancerzyć, coraz bardziej impulsywnie reagowała na agresję ojca. Bałam się o nią, bo zaczęła mieć kłopoty z sercem, a piekło, jakie miała na co dzień, nie mogło nie mieć wpływu na pogorszenie się jej stanu...

- „Ojciec jest, jaki jest, i na pewno już się na lepsze nie zmieni - tłumaczyłam jej. Skoro postanowiłaś być z nim do końca, podejdź do niego

z dystansem. Nie pozwól, żeby cię to jeszcze raniło. Masz swoją fascynującą pracę [matka Ewy była znakomitą witrażystką, cenioną w kraju i za granicą, oddaj się jej bez reszty. Pomyśl, że robisz wspaniałe rzeczy, nie rozdrapuj swoich ran, bo to nic nie pomoże.

- Wiem to córeczko, ale już nie mam siły. Ostatnio nawet modłę się ukradkiem, żeby nie robić wszystkiego na rozkaz. Twój ojciec najmilsze zajęcia potrafi stałymi przymusami przekształcić w przykry obowiązek.

- Gwiżdż na to! Przecież nie jesteś już zakochana w nim jak dzierlatka. Nie powinno cię to ranić.

- Larwo ci mówić, dziecko. Boję się, że kiedyś od tego zwariuję. Żebyś tylko ty nie wpadła nigdy w sidła jakiegoś tyrana.

- Nie martw się mamo. Umiem patrzeć i wyciągać wnioski. Jeśli nie znajdę kogoś odpowiedniego, raczej nie wyjdę za męża.

- To nie jest, moje dziecko, takie proste, jak myślisz" - powiedziała na to z troską matka.

- A jednak tobie się udało - wtrąciła Ada. - Znalazłaś Henryka.

- On też nie jest ideałem - usłyszałem autorytatywnie wypowiedzianą opinię mojej połowicy.

- Moja droga, ideałów w ogóle nie ma. Mówię ci to ja, która miałam trzech mężów i kilku takich, którzy omal nimi nie zostali. Ważne jest to, żeby kogoś kochać, wtedy wiele można wytrzymać. A twój Henryk wydaje mi się dobrym człowiekiem.

- Masz rację. Tylko że sama dobroć to jeszcze nie wszystko. Trzeba ją umieć spożytkować. A Henryk jest bierny.

- Może za wysoko ustawiasz poprzeczkę?

- Nic na to nie poradzę, że jestem idealistką. Nie mam jednak prawa narzekać, bo to ja go sobie wybrałam na męża, nie on mnie.

- Żartujesz! Przecież nie zmuszałaś go do tego, żeby się z tobą ożenił.

- Nie, ale konsekwentnie dążyłam do tego, by zechciał to uczynić. W czasie redagowania jego pierwszej książki spędzaliśmy ze sobą sporo czasu. Ujął mnie wtedy delikatnością i ugodowością. Był zupełnym przeciwieństwem mego ojca. Widzisz, ja sobie założyłam, że będę unikać jak ognia mężczyzn małostkowych, a Henryk zdawał się w ogóle nie dostrzegać wielu drobnych spraw. Bywał tak roztargniony, jakby od niechcienia dotykał ziemi, żył w zupełnie innym wymiarze. To mnie w nim zafascynowało. Niczemu się nie dziwił, nie wnikał w drobiazgi. Wydało mi

się, że życie z kimś takim może być bardzo łatwe, bo nie będzie się na cenzurowanym.

Nie wiedziałam, że popadnę w skrajne przeciwieństwo tego, przez co przeszła moja matka. On bowiem tak dalece nie wtrąca się w moje życie, w wychowywanie dzieci, wydawanie pieniędzy i w cokolwiek, że gdybym mu nie ufała, podejrzewałabym, że prowadzi podwójne życie. Henryk nie zauważa moich chorób, problemów dzieci, ma wiecznie głowę w chmurach. Z jednej strony wrażliwy, z drugiej obojętny na wszystko, co nie jest jego światem wewnętrznym. Kiedyś byłam zazdrosna o jego marzenia, teraz mnie tylko irytują. Muszę ze wszystkim zmagać się sama. Kiedy nadciągnie jakaś katastrofa, oczywiście mogę na niego liczyć, ale tylko w najtrudniejszym momencie, bardzo szybko strzepuje z siebie kłopoty, otrząsa się z nich jak pies po kąpieli i znowu zanurza się w świat wyobraźni, zupełnie jakby tam żył naprawdę, a tu tylko wstępował na chwilę. Zastanawiałam się nawet, czy on nie cierpi na jakiś niedowład uczuciowy?

- Wiesz Ewa, ty chyba za bardzo teoretyzujesz.

- Pamiętasz tę koszmarną przygodę Marka, kiedy to jakiś narkoman wstrzyknął mu heroinę?

- Pamiętam.

- Nie masz pojęcia, co wtedy przeżyłam. To były długie tygodnie strachu. Marek mógł umrzeć od samego narkotyku, mógł zostać zarażony wirusem AIDS albo żółtaczką. Henryk wprawdzie stanął na początku na wysokości zadania, ale ledwie udzielono dzieciakowi pierwszej pomocy, znowu owinał się kokonem swoich marzeń i tyle go widziałam. Byłam sama w rozpacz i niepokoju. Wszystko to byłabym w stanie zrozumieć, gdyby nadal pisał. Myślałabym, że przebywa w świecie tworzonych przez siebie postaci, ale on z tym zerwał. Praca w wydawnictwie jest jego wymówką w tym względzie.

- Dajże spokój, pisze, nie pisze, czy to ważne? I tak jego nazwisko weszło do literatury. Czy ty go w ogóle jeszcze kochasz?

- Bo ja wiem... Jest moim enfant terrible, to nie to samo co kiedyś. Trochę się zdewaluował w moich oczach. Powiedzmy, że czuję się za niego odpowiedzialna. Nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy nie być ze sobą, ale też nie czuję, że jesteśmy razem. On nie jest ze mną, jest obok mnie. Kiedyś przyjaźniłam się z jego matką, wspaniała kobieta! Odwiedzałam ją nawet wtedy, kiedy Henryk ze mną zerwał. Gdy zwierzyłam się jej z mego smutku, wiesz, jak mnie pocieszała?



- Dodawała ci otuchy, prosiła o wyrozumiałość dla syna... bo ja wiem? Nigdy nie miałam zbyt zażyłych kontaktów z żadną z moich teściowych.

- Ona zmarła, zanim została moją teściową. Ale póki żyła, rozumiałyśmy się dobrze. Myślę, że mnie lubiła. Kiedy Henryk po powrocie z zagranicy przestał się ze mną widywać, nakreśliła mi wizję ewentualnego mojego z nim życia. Przewidziała wszystko, może dlatego, że znała go lepiej niż ktokolwiek. „Wiesz dziecinko - mówiła do mnie - cieszyłam się, że to właśnie z tobą mój syn będzie dzielił życie, ale skoro los zrzucił inaczej, może to i lepiej dla ciebie? To jest bardzo dobry chłopak, ale nie wiem, czy jest zdolny do uczucia, na jakie zasługujesz. Nie mówię ci tego jako jego matka, bo nie powinnam. Mówię ci to jako osoba z boku. Sama też nigdy nie potrafiłam zrozumieć go do końca. On przebywa w świecie realnym tylko połową swego jestestwa. To marzyciel. Stąpa po ziemi nie patrząc na nią, depta ludzi nie zauważając tego. Komuś, kto się z nim zwiąże, może być z nim niełatwo. Jemu trzeba różne rzeczy oczywiste bez końca uświadamiać, inaczej je przegapia. Ktoś dzielący z nim los musi się liczyć z tym, że w wielu sprawach codziennych nie otrzyma pomocy, ten ktoś będzie się musiał dla niego poświęcić". Mam wrażenie, że ona widziała moją determinację w dążeniu do związania się z Henrykiem i dlatego mi to mówiła. Ostrzegała mnie, ale i przygotowywała do obowiązków, jakie będę musiała wziąć na siebie. Bo ona znała go na tyle, by wiedzieć, że jeśli dołożę starań, to on do mnie wróci. Byłam z nią w kontakcie przez cały czas, gdy Henryk był w więzieniu, opiekowałam się nią, a jego uczucia zdobywałam cierpliwie krok po kroku.

- Chyba tego nie żałujesz?

- Nie, ale żałuję, że nie mogę podziwiać go jak dawniej. To zdumiewające, że kochając kogoś można go jednocześnie bezlitośnie trzeźwo oceniać. Ja się coraz częściej na tym łapię i napawa mnie to smutkiem. Bo jaki jest następny etap? Pogarda? Czy w takim razie można dalej być razem?

- Z całą pewnością nie! Po co ty w ogóle bawisz się w oceny? Kto i co cię do tego upoważnia? Naprawdę za bardzo teoretyzujesz! Te spekulacje na nic się nie zdadzą. Nie rób misji ze swoich poświęceń, bo stać cię na nie z własnej nieprzymuszonej woli. Najprawdopodobniej robisz to dla siebie, a nie dla niego. Taka po prostu jesteś. Mnie się zdaje, że wy mimo wszystko cudownie się uzupełniacie, w każdym udanym związku tak się dzieje. Gdyby był energicznym, zapobiegliwym facetem i tak zorganizowanym jak

ty, rzuciłabyś go, bo to by cię drażniło, nie dawało pola do samodzielnego działania, które, przyznaj, jest twoim żywiołem.

- Może masz rację... Przepraszam cię za te zwierzenia. Na ogół nie jestem skłonna do omawiania spraw osobistych z kimkolwiek.

- Nie jestem kimkolwiek. W końcu od lat uważam cię za najlepszą przyjaciółkę...

- Ja ciebie też. Ale jestem zdania, że obgadywanie swego życia z innymi nic nie daje, bo pomocy w sprawach osobistych od nikogo się nie dostaje. Każdy musi się z takimi sprawami uporać sam.

- Są różne na ten temat szkoły... Późno już, chyba pójdę do siebie. Popatrz, jak ciemno, zachmurzyło się, nie ma na niebie ani jednej gwiazdy.

- A może byś została u mnie? Po co będziesz się błąkać po nocy? Pościelę ci w pokoju Marka, zjemy razem śniadanie. Koszula nocna i zapasowa szczotka do zębów też się znajdują.

Przeraziłem się. Dość już byłem zdenerwowany niezręczną sytuacją, w jakiej się znalazłem, a tu zanosilo się jeszcze na konfrontację z osobą, przed którą dokonano mojej wiwisekcji. Co za niesmaczna historia! Powinienem był jednak ujawnić się na wstępie. Teraz było już za późno. Nie dość, że wysłuchałem przytłaczającej spowiedzi mojej żony, to jeszcze muszę świecić twarzą przed jej przyjaciółką. Jedynym wyjściem było udawać, że przez cały czas spałem. Naiwne, ale co innego mogłem zrobić?

Podczas gdy Ada jeszcze się wahała, Ewa z właściwą sobie energią zaczęła działać. Otworzyła z impetem wahadłowe drzwi do pokoju Marka, w którym leżałem zaciskając powieki, i stanęła jak wryta. Po chwili osłupienia zamknęła je najciszej, jak potrafiła, i wróciła na palcach do swego pokoju.

Dobiegły do mnie szepty:

- Rany boskie! Henryk śpi w łóżku Marka...

- Co?

- Tak, musiał przyjechać, gdy byliśmy w kinie.

- A wiesz, wydawało mi się, że przed wejściem stoi jego samochód, ale ponieważ ty nie reagowałaś, pomyślałam, że się mylę.

- Ale ma twardy sen, że też nie obudziłyśmy go swoim gadaniem - powiedziała Ada.

- A jeśli on to wszystko słyszał? Cholera jasna, akurat dzisiaj zebrało mi się na zwierzenia!

- Nie martw się, gdyby cokolwiek z tego usłyszał, nie mógłby spać. Pewnie był zmęczony po podróży i zasnął jak suseł, zanim się ciebie doczekał.

- Oby tak było, bo jeśli nie, nigdy sobie tego nie daruję...

- No to idź już do niego, a ja sobie pójdę.

- Odprowadzę cię kawałek. Strasznie się zdenerwowałam.

Kiedy obie trajkotki wyszły, szepcząc przez cały czas, poszedłem do łazienki i umyłem twarz zimną wodą. Musiałem zastanowić się, jaką przybrać taktykę. To, że Ewa miała przede mną swoje tajemnice, było dla mnie nowe, ale nie najgorsze ze wszystkiego. Ja też miałem przecież swój niedostępny dla niej intymny świat. Jest tak samo jak ja istotą tożsamą, ma prawo do własnych sądów. Gorzej, że tak się na mnie zawiodła czy też może wyidealizowała mnie pierwej za bardzo na to, bym sprostał jej wyobrażeniom. Czy jednak jest wobec mnie sprawiedliwa? Czy naprawdę jestem takim obojętnym potworem, jakim mnie widzi? Czy też tak dalece zabrnąłem w mrzonki, że przeoczyłem aż tyle ważnych rzeczy? A ta pogarda, której się tak boi, czy ona jej już aby do mnie nie czuje?

Niezliczona liczba pytań kołatała się w mojej głowie, a najważniejsze z nich było to, czy powinienem się zdradzić z tym, że słyszałem wszystko. Nie. Kategorycznie nie. To musiałoby wiele zmienić, a ja nie miałem ochoty na żadne zmiany.

Anna była moja ucieczką w marzenia, ale Ewa jest mi potrzebna, bym mógł oddychać. Na samą myśl, że mogłaby mnie odtrącić, ogarnęło mnie przerażenie. Podjąłem więc błyskawiczną decyzję, iż nigdy nie zdradzę się z tym, że słyszałem fatalną rozmowę.

Skoro już i tak skrywamy coś przed sobą, niech tak będzie. Byle nie było radykalnych zmian. Przed chwilą jeszcze myślałem, że rozgoryczenie nie da mi tej nocy zmrużyć oka, teraz, kiedy podjąłem decyzję, jak postąpić, prawie natychmiast poczułem się senny, ostatnią świadomą myślą było to, iż postaram się jeszcze Ewie udowodnić, że może na mnie liczyć o wiele bardziej, niż się spodziewa. Nie słyszałem, kiedy wróciła po odprowadzeniu Ady.

Nazajutrz rano oboje graliśmy przed sobą komedię. Obudziłem się i zauważyłem, że drzwi między naszymi pokojami są zamknięte. Gdy je otworzyłem, zdążyłem spostrzec, że szybko zacisnęła powieki, udawała, że śpi. Wobec tego ja udałem, że cichutko skradam się do łóżka, odchyliłem kołdrę i położyłem się przy niej.

- Kto to? - zerwała się udając przestach. Powinienem bić jej brawo, grała świetnie, ale ja też nie wychodziłem z roli. Udając, że jej wierzę, czekałem na jej następną kwestię, żeby wiedzieć, do czego zmierza.

- Henryk! Skąd się tu wziąłeś, ależ mnie przestraszyłeś.

- Spodziewałem się innego powitania.

- Od dawna tu jesteś? Dlaczego mnie nie obudziłeś?

- Przyjechałem wczoraj, zdążyłem zobaczyć się z Markiem, odwiozłem go na dworzec. Kiedy wróciłem, jeszcze cię nie było. Chciałem na ciebie poczekać, ale byłem tak zmęczony, że nie wiem, kiedy zasnąłem.

- A to ci dopiero! Wróciłam dość późno, z Adą. Pogadałyśmy trochę, a kiedy wreszcie poszła, położyłam się od razu. Nie miałam po co zaglądać do pokoju Marka. Gdybym wiedziała, że jesteś!...

- Przynajmniej się oboje wyspaliśmy, a teraz czas, abyśmy się przywitali.

Tego ranka kochaliśmy się w milczeniu z takim zapamiętaniem, jak nam się to nie zdarzyło od lat. Sądziłem, nie bez gorzkości, że moja żona potrafi kłamać wcale nie gorzej ode mnie. O czym myślała teraz, nie wiem. Kiedy spojrzałem w jej twarz, wydała mi się odprężona i chyba miała łzy w oczach. Sprawiało to, że i mnie ogarnęło wzruszenie. Zasnęliśmy trzymając się za ręce. Przywiozłem ze sobą maszynopis powieści Anny i niepokój o nią, ale nie pisałem o tym ani słówka. To nie była dobra pora na takie rozmowy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

We wrześniu po powrocie znad morza jeszcze raz widziałem się z Anną. Zadzwoiła do mnie, prosząc o spotkanie. Zaproponowałem, żeby przyszła do wydawnictwa, to omówimy od razu warunki wydania jej książki. Wyraziłem swój zachwyty...

- A mogłabym dostać jakąś zaliczkę? Bardzo potrzebuję teraz pieniędzy - powiedziała.

- Umówmy się za trzy dni, uzgodnimy to z Michałem, mam nadzieję, że da się coś zrobić.

- Nie mógłbyś do mnie przyjechać teraz? Widzisz, nie mogę się zbytnio oddalić od domu, a mam do ciebie pewną sprawę.

- Poczekaj, zorientuję się tylko w sekretariacie, co mam jeszcze do załatwienia.

Okazało się, że dopiero o czternastej przychodzi jeden z autorów na umówione spotkanie, miałem więc około dwóch godzin w zapasie. Poprosiłem sekretarkę, aby zawiadomiła Annę, że jestem w drodze do niej. Prowadząc samochód biłem się w piersi, że jeszcze nie porozmawiałem z Michałem o jej powieści. Ledwie dwa dni temu wróciłem z urlopu i od razu wpadłem w wir spraw nie cierpiących zwłoki, jednak naprawdę nie zamierzałem tego odkładać ad acta.

Myślałem, że przekazując Annie moją opinię o jej książce sprawię jej radość, a nie odniosłem wrażenia, że tak się stało. Zdawało mi się raczej, że jest zaambarasowana zupełnie czymś innym. Możliwe, że czekała na jakąś naszą reakcję już tak długo, że jej to zobojętniało. Zapytała jednak o zaliczkę; jej powieść jest tego warta. Tak rozmyślałem jadąc do niej, ale miałem przeczucie, że będziemy rozmawiać za chwilę wcale nie o tym.

Anna mieszkała w przedwojennym dwupiętrowym domu na Mokotowie. Bardzo tam było przyjemnie i zielono, na boisku chłopcy rozgrywali mecz, a na ławkach pośród kwitnących krzewów siedzieli emeryci. Jesień jeszcze nie pożółciła zbytnio trawników ani liści na drzewach, może dzięki deszczom, które ostatnio padały.

Kiedy zbliżałem się do wejścia do budynku, ujrzałem Annę w otwartym oknie na górze. Zanim nacisnąłem guzik domofonu, brzęczyk oznajmił mi, że drzwi są otwarte. Pchnąłem je lekko i wspiąłem się po szerokich, łagodnych schodach. Powitała mnie przed drzwiami.

- Jak to miło z twojej strony, że znalazłeś dla mnie chwilę czasu, Henryku. Mam kłopoty - dodała bez wstępów.

Przecucie więc mnie nie myliło. Swoją drogą, prawie nie pamiętam Anny bez kłopotów. Idą za nią ślad w ślad jak wierny pies. Ciekawe, czy tak je przyciąga, czy też może jej otwartość sprawia, że wydaje się ich mieć więcej niż inni znani mi ludzie. Nie każdy przecież jest tak, jak ona skłonny do zwierzeń.

- W czym mogę ci pomóc? - spytałem, gdy już usiedliśmy przy kawie, którą przygotowała zawczasu.

- Zwracam się do ciebie, bo jesteś częściowo wtajemniczony. To dotyczy Rafałka.

- Rodzice go jeszcze nie odebrali?

- Mieszka teraz z ojcem, ale czynię starania, aby przyznano mi prawo do opieki nad nim.

- Chcesz go adoptować?

- Jakkolwiek by to nie nazwać, chcę mu zapewnić spokój i miłość, bo tego mu brakuje. Ja wiem, że kiedy widzieliśmy się ostatnio, mogłeś pomyśleć, iż postradałam rozum. Zachowywałam się, przyznaję, dla mnie samej niezrozumiale. Nie wiem, czy przeżywałeś kiedyś coś podobnego: działasz pod wpływem impulsu, a potem, kiedy na zimno rozważasz swoje poczynania, jest tak, jakbyś przyglądał się z boku komuś innemu, dziwisz się każdemu ruchowi, każdemu słowu pochodzącemu od tej nie znanej ci bliżej osoby, którą byłeś ty sam, choć trudno ci w to uwierzyć. Tak było wtedy ze mną. W zderzeniu z tym dzieciakiem doznałam wrażeń, które postawiły mój świat na głowie. Wiodłam od kilku lat ustabilizowany żywot statecznej osoby, niezbyt może optymistycznej, ale też i nie zgorzkniałej. Nie było ku temu powodów. Pisałam, wydawałam, nie zawsze to, na czym mi najbardziej zależało, ale wierzyłam, że kiedyś i to się odmieni... Na razie miałam spokojną, znośną egzystencję i mogłam bez przeszkód zajmować się pracą, którą lubiłam. Dopiero telefony nieszczęsnej babki Rafałka zburzyły mój spokój. Uświadomiły mi, że zajmując się tylko sobą otaczam się kokonem, który mnie nie tylko chroni, ale i odsuwa od realnego świata. A potem zobaczyłam Rafałka. Kiedy ukryłam w dłoni jego maleńką ciepłą rączkę, poczułam się, jakby nagle wrócił do mnie z przeszłości malutki Filip. Ostatnio nie układa się między nami. Ma do mnie żal, że byłam oschła dla jego żony. Nie uświadamiałam sobie, że można to było po mnie

poznać, ale widać tak, bo nie potrafię ukryć tego, co czuję. Właśnie dlatego wyjechałam stamtąd bardzo szybko, co dotknęło ich jeszcze bardziej.

Filipowi poświęciłam się bez reszty. To dla niego nigdy nie wyszłam za mąż, chociaż miałam szansę kilka razy zacząć wszystko od nowa. Czułam się zobowiązana całkowitym i niepodzielnym oddaniem zrekompensować mu utratę ojca. Oboje byliśmy chyba zbyt zaborczy wobec siebie. Gdy oglądałam się wstecz, dostrzegam, że moja zaborczość musiała mu trochę ciążyć. Co z tego, skoro budując własny dom wybrał sobie na partnerkę osobę pod tym względem podobną do mnie. Kiedy przyglądałam się im z boku, uderzyło mnie to, jak ich wzajemne relacje są podobne do tych, które ja z nim miałam. Dlatego przyszło mi do głowy, że moja nadopiekuńczość sprawiła, iż zdając sobie sprawę z tego, że kiedyś będzie trzeba przeciąć łączącą nas pępowinę, poszukał sobie kogoś, kto będzie mu nie tylko żoną, ale i matką. Ta myśl stała się moją obsesją. Rosła w sercu bolesna zadra i ani się spostrzegłam, jak poczucie winy zmieniła w poczucie krzywdy. Wdzięczność nie dająca się spłacić i poczucie winy mają to do siebie, że nękając kogoś przewrażliwionego łatwo zmieniają się w uczucia negatywne. Może jest to podświadomy odruch obronny? Ze mną zapewne działo się coś podobnego. Już przed zetknięciem się z tym dzieckiem upatrzyłam sobie w nim wypełnienie luki, jaka wytworzyła się w moim życiu po usamodzielnieniu się mego syna. Dlatego popełniłam na wstępie kilka błędów. Nie powinnam była okłamywać ojca Rafała, że działałam w czyimś, a nie w swoim imieniu. Ten człowiek jest absolutnie pozbawiony woli, ale nie jest bez serca i w przebłyskach świadomości, kiedy alkohol na chwilę przestaje działać, zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że nie jest wystarczającym oparciem dla swego synka. On go kocha, podobnie jak swoją niezwykle piękną i wiarołomną żonę. Dręczy się tym, że ta biedaczka za przyczyną swego nowego partnera wpadła w narkomanię i wydaje się być stracona. Dołóż do tego jeszcze niezrównoważoną psychicznie matkę w zakładzie zamkniętym, to otrzymasz obraz ze wszech miar przytłaczający. Nawet mocnego człowieka mogłoby to złamać, a co dopiero takiego słabeusza. Ucieczka w alkohol wydaje mu się najłatwiejszym i jedynym wyjściem.

Kiedy rozważałam to, co mówiłeś do mnie w Konstancinie, uświadomiłam sobie, że wrywając na krótko dziecko z ciężkich warunków i obdarzając wszystkim sprawiam przyjemność przede wszystkim sobie, bo jakież to radość - dawać! Nie mogłam go przecież mieć przy sobie na

zawsze, bo nie mam do tego prawa, musiałabym z nim ciągle uciekać, ukrywać się i Bóg raczy wiedzieć, jak by się to skończyło

Wróciłam więc do Warszawy, trafiłam akurat na chwilę trzeźwości Szukalskiego i zaproponowałam mu moją pomoc w wychowaniu dziecka. Rafałowi wytłumaczyłam, że na jakiś czas będzie musiał wrócić do taty, ale całe dni będzie i tak spędzał ze mną. Załatwiłam również prywatne przedszkole. Uprzedziłam też ojca, że jeśli nie podda się leczeniu z alkoholizmu, postaram się o pozbawienie go praw rodzicielskich. Mam zamiar poradzić się adwokata, jakie poczynić kroki, by chłopiec mógł zamieszkać ze mną. Rozmowy z psychologiem wypadły pomyślnie dla moich planów, jednakże ślepy los nie zawsze wychodzi naprzeciw oczekiwaniom. Częściej gotów jest płatać nam nieładne figle.

Oto nagle, kiedy wszystko zaczęło się coraz lepiej układać, dowiedziałam się, że najpóźniej za miesiąc czeka mnie dość ryzykowna operacja. Rozumiesz, że stawia to pod znakiem zapytania wszystkie starania o przyznanie opieki, a w najlepszym przypadku odsuwa je nie wiadomo na jak długo...

- Jesteś chora? - spytałem z niepokojem - co ci dolega?

- Och, to nieważne. Takie tam damskie dolegliwości. Dużo kobiet wyszło z tego, to może i mnie się uda. Jednak operacja jest niezbędna. Wybacz, że tak wszechstronnie wtajemniczam cię w moje sprawy, ale mówiłeś mi, że twoja żona jest osobą niezwykle zorganizowaną i dzielną. Czy nie mogłaby mnie na jakiś czas zastąpić przy dziecku?

- O to musimy zapytać ją samą. Ewa jest bardzo zajęta. Działa w różnych stowarzyszeniach i fundacjach, no i przecież to ona ma pieczę nad moją rodziną i organizacją naszego bytu, mnie do tego nie dopuszcza. Jedyne, co mogę zrobić, to poznać cię z nią, a ty już sobie sama wszystko z nią załatwisz. Mam tylko jedną prośbę: nie opowiadaj jej, gdzie i kiedy się poznaliśmy. Wiesz, byłem wtedy tak zajęty tobą, że zerwałem z nią zaręczyny. Nie chciałbym, żeby o tym wiedziała, przysporzyłoby jej to bólu.

- Możesz być spokojny, że nie stanę się przyczyną jej zmartwień. Mam jakąś podświadomą estymę do twojej żony, mimo że znam ją tylko z opowiadania. Wydaje mi się kimś godnym zaufania.

- Intuicja cię nie zawodzi. Ewa bez wątpienia znajdzie jakieś wyjście, nie zostawi cię bez pomocy. Jeszcze dzisiaj uzgodnię z nią, kiedy możesz nas odwiedzić.



- Dziękuję Henryku, nie wiesz nawet, ile to dla mnie znaczy.

- A teraz chciałbym, żebyś przestała już się martwić i posłuchała, co ja mam tobie do powiedzenia. Dotyczy to twojej wspaniałej książki. Jest bardzo dojrzała i poruszająca... Chylę czoło przed twoim talentem. Jeszcze w tym tygodniu uzgodnię termin z Michałem i zaprosimy cię na rozmowę o warunkach umowy. Jest mi ogromnie przykro, że wydanie jej uległo takiej zwłoce.

- Może nawet lepiej, że to nastąpi teraz, bo będę mogła lepiej spożytkować pieniądze, które na tej książce zarobię.

Anna zaskoczyła mnie po raz kolejny. Byłem w stanie zrozumieć, iż w związku z zaopiekowaniem się dzieckiem ma większe wydatki, ale że może o takiej książce rozmyślać przez pryzmat pieniędzy - to, szczególnie u niej, było dla mnie niespodzianką. Widać nie zdawała sobie sprawy z wartości tego, co napisała.

Niepokoilem się też jej tajemniczą chorobą. Rzeczywiście nadeszła pora, abym przedstawił ją Ewie. Kiedy Ewa weźmie to w swoje ręce, na pewno wszystko jakoś się poukłada.

Tego popołudnia spieszo mi było do domu, aby spełnić misję, jaką obarczyła mnie Anna. Nie byłem jednak w stanie nawet poruszyć tego tematu, bowiem nasza nowoczesna córka, Beata, zwolenniczka wolnych związków, „na próbę”, odwiedziła nas ze swoim Marcinem, gwoli powiadomienia o dacie ich ślubu. Ta forma załatwiania sprawy zirytowała mnie jak diabli. Marcin nie poprosił mnie o rękę mego dziecka, ustalili to już między sobą. Zapytali tylko, czy zechcą partycypować w kosztach wesela, które ma się odbyć w Domu Polonii w Pułtuskach, jako że wśród zaproszonych gości będą kontrahenci firmy Marcina z Kanady, którzy uwielbiają to miejsce. Ponadto, ponieważ młodym zaczęło się nagle śpieszyć z zalegalizowaniem ich związku, powinno to się odbyć najdalej za miesiąc.

Wszystkie te informacje dotarły do mnie w formie dyktatu. Po prostu nie wiedziałem, jak zareagować, chyba nikt nigdy nie wyprowadził mnie z równowagi tak, jak ten Marcin, bo moja córka zanim go poznała, była bardzo karnym i lojalnym dzieckiem. Ewa najwyraźniej znowu była we wszystko wcześniej wtajemniczona, bo ilekroć otwierałem usta, by powiedzieć, co o tym myślę, ścisnęła mnie znacząco za rękę i prosiła, żebym wysłuchał wszystkiego do końca, a potem przedstawimy nasze zdanie.

- Najlepiej będzie, jak porozmawiamy o tym wszystkim przy kolacji, Henryku. Chodź ze mną, to wybierzesz wino - co rzekłszy dosłownie pociągnęła mnie za sobą do kuchni.

- Jeszcze miałbym temu draniowi serwować wino? To żadne hierarchie w naszym domu już nie obowiązują? Ani słowa o zaręczynach, o tym, czy się zgadzamy i tym podobnych gestów świadczących o odrobinie szacunku dla rodziny, do której ma zamiar wejść!

- Nigdy cię nie ma w domu, dzieci przywykły do tego, że ze wszystkim przychodzą do mnie...

- Jednak małżeństwo mojej córki i mnie interesuje. Może i ja w tej sprawie miałbym coś do powiedzenia?

- Wy, mężczyźni, jesteście rozbrajający! Czy ty nie widzisz, jak Beata się zmieniła? Jaka jest blada.

- Jeśli niedomaga, tym bardziej nie powinna wychodzić za męża.

- Głuptasie, będziesz dziadkiem! - powiedziała Ewa takim tonem, jakby była dumna i uszczęśliwiona.

- I ty to mówisz tak spokojnie? A kto mnie się pytał, czy ja w ogóle chcę być dziadkiem?

- No wiesz, takich spraw na ogół nie planuje się z rodzicami.

- Ale Beata sama jest jeszcze dzieckiem.

- Jest dorosła. Nie wygłupiaj się Henryku, uściskaj dzieci i życz im szczęścia.

Zjedliśmy kolację omawiając szczegóły przyjęcia weselnego, ale wszystko to, nie wyłączając wymyślnych, znakomicie przyrządzonych dań, stało mi kością w gardle. Zanim ich euforyczna biesiada dobiegła końca, zapytałem, jakie jeszcze mają do mnie sprawy, bo jestem zmęczony i chciałbym się położyć.

Mieli zdziwione miny, ale gdy poszedłem do swojego pokoju, słyszałem, że bawią się świetnie beze mnie.

Co za pech! Miałem porozmawiać z Ewą o kłopotach Anny, a okazało się, że sam nie jestem ich pozbawiony. Mam być dziadkiem?

Coś okropnego, nie mam ochoty na nic podobnego, jestem na to za młody, a Ewa? Zachowuje się tak, jakby była z tego zadowolona.

Nie, stanowczo nie mogłem się pogodzić z tym, że moje dziecko zostało podstępnie uwiedzione i w ten sposób zmuszone do zamążpójścia. Tyle się nasłuchiwałem od mojej, skądinąd zasadniczej, żony, jaki jestem staroświecki

i nietolerancyjny, że nie mam innego wyjścia, jak robić dobrą minę do złej gry. Jednak zadra w sercu tkwi, i to głęboko...

Po owej kolacji, będącej zapowiedzią wielkich zmian w rodzinie, przez kilka dni nie mogłem dojść do siebie, co sprawiło, że odłożyłem na jakiś czas realizację obietnic danych Annie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tymczasem okoliczności zmusiły mnie do przerwania rozdrapywania ran i powrotu na ziemię. Michał wyjechał bowiem na negocjacje za granicę, a ja musiałem sam zająć się wydawnictwem.

Nazajutrz po jego wyjeździe, gdy tylko dotarłem do pracy, zadzwoniła Ewa:

- Henryku, powiedz mi, jaką prośbę może mieć do mnie ta wasza autorka, Anna Turska? Podobno obiecałeś jej, że wyjednasz moją pomoc w bardzo ważnej dla niej sprawie, czemu mi nic nie powiedziałeś?

- Rzeczywiście prosiła mnie o kontakt z tobą, ale wynikły te ponure historie z Beata.

- Ponure historie? Czy ty, Henryku, nie możesz podejść do tego od najlepszej strony? Beata jest szczęśliwa, a ty zamiast się z tego cieszyć, histeryzujesz. Nie pomyślałeś, że sprawiasz jej przykrość? Przecież to wszystko jest wspaniałe, optymistyczne. Pomyśl, w Marcinie pozyskujemy jeszcze jednego syna, a za kilka miesięcy pojawi się maleństwo, które na pewno będzie również twoim oczkiem w głowie. Ty po prostu nie lubisz zmian, ale to jest zmiana na lepsze, zapewniam cię. A wracając do sprawy twojej znajomej, skoro ta kobieta prosiła cię o pomoc, powinienesz być mi o tym powiedzieć od razu. Musiało to być coś bardzo dla niej istotnego, czułam to po jej głosie. Kiedy jednak dowiedziała się, że nie rozmawiałeś o tym ze mną, przeprosiła, że mnie niepokoiła, i wyłączyła się, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Czego dotyczyła jej prośba?

- Ona jest chora, a opiekuje się dzieckiem alkoholika i narkomanki. Chciałaby je gdzieś umieścić na okres, gdy będzie w szpitalu, ma być operowana.

- A dlaczego zwraca się z tym akurat do mnie?

- Nie znam do końca sprawy - skłamałem. - Może chodzi jej o którąś z twoich fundacji?

- Wobec tego podaj mi numer jej telefonu, umówię się z nią i zorientuję się, o co jej chodzi.

Po rozmowie z Ewą nie mogłem usiedzieć na miejscu. Wstyd mi było, że nie wywiązałem się z obietnicy danej Annie, dręczył mnie też jakiś irracjonalny niepokój o nią. Niewiele myśląc wsiadłem więc do samochodu i pojechałem na Mokotów. Wysiadając przed znanym mi domem kupiłem kwiaty, żeby przeprosić Annę za moje zaniedbanie i upewnić się jeszcze

raz, że nie poruszy z Ewą sprawy naszych dawnych kontaktów. Zbliżałem się właśnie do bramy domu, kiedy zobaczyłem dwóch czternasto- może piętnastoletnich wyrostków trzymających za rękę Rafała. Najwidoczniej prowadzili go do Anny. Nacisnęli przycisk domofonu i kiedy odezwał się jej głos, pytający: „kto to?”, jeden z chłopaków podniósł malca do mikrofonu i ponaglił, by jej odpowiedział:

- To ja, Rafał - przedstawił się mały.

- A dlaczego tak późno? No chodź tu, chodź!

- Byłem już prawie przy drzwiach i zamierzałem wtargnąć tam razem z jej pupilem, ale kiedy zobaczyłem, że chłopcy wchodzą także, zmieniłem zamiar. Cofnąłem się do ławki stojącej nieopodal i postanowiłem zaczekać, aż odprowadzający go opuszczą jej mieszkanie. Upłynęło około piętnastu minut, zanim zobaczyłem ich znowu. Mieli ze sobą jakiś pakunek, rozejrzeli się i puścili się pędem przed siebie. Nie sądzę, żeby mnie zauważyli, bo ławka ukryta była za opadającymi gałęziami wierzby płaczącej i obserwowałem bramę przez azur listowia. Uderzyło mnie to, że wyglądali tak, jakby bawili się w podchody. Pomyślałem nawet, że odprowadzenie malca pewnie przerwało im zabawę i teraz natychmiast podjęli ją na nowo.

Wyszedłem zza zasłony liści i szybko skierowałem się ku bramie, bo straciłem już sporo czasu i trzeba było wracać do pracy. Nacisnąłem guzik domofonu raz i drugi, ale odpowiedziała mi cisza. Po minucie ponowiłem próbę, jak poprzednio bez sukcesu. Dzwoniłem raz po raz bezskutecznie. Dziwna rzecz, przecież gdyby Anna wychodziła, musiałbym ją zauważyć, wpatrywałem się przecież w bramę jak sroka w kość, gdy czekałem, aż chłopcy od niej wyjdą. Przestałem potem dzwonić, bo otworzyło się okno na parterze obok wejścia i wychyliła się z niego kobieta, która zmierzyła mnie karcącym spojrzeniem.

Pomyślałem, że wzięła mnie za wariata, który dzwoni i dzwoni tam, gdzie najprawdopodobniej nikogo nie ma w domu. W ślad za tą myślą pojawiło się podejrzenie, że Anna nie otwiera, bo zobaczyła mnie z okna. Ma do mnie zapewne pretensję o to, że nie dotrzymałem obietnicy. Ba! Jeśli tak, nic na to nie poradzę. Ponieważ kobieta z parteru wciąż stała w oknie, przyglądając mi się krytycznie, wpadłem na pomysł, żeby u niej zostawić kwiaty i parę słów na przeprosiny dla Anny.

- Proszę pani - powiedziałem - byłem umówiony z panią Turską spod siedemnastki. Niestety, widać jakieś ważne sprawy nie pozwoliły jej na

mnie poczekać. Chciałbym jednak, żeby wiedziała, że stawilem się na spotkanie. Czy pani byłaby tak łaskawa przekazać jej, jak tylko pojawi się w domu, te oto kwiaty z wiadomością ode mnie?

- Dobrze, niech pan zostawi. Mogę to tej pani podać, czemu nie?

Wyjąłem wizytówkę i na jej odwrocie napisałem: „Anno, dopiero dzisiaj mogłem zająć się twoimi sprawami. Miałem i ja swoje kłopoty. Wybacz i pozwól mi się wytłumaczyć. Henryk”. Włożyłem wizytówkę do koperty i podałem uczynnej sąsiadce razem z kwiatami.

W drodze powrotnej natknąłem się w śródmieściu na manifestację, która całkowicie sparaliżowała ruch. Byli to mieszkańcy któregoś z miast walczący o to, by ich gród po nowym podziale terytorialnym nie przestał być stolicą województwa. Dyskusje między rządem a opozycją na temat liczby województw trwały od kilku miesięcy i opozycja zabiegając o głosy w zbliżających się wyborach skutecznie siała zamęt, organizując najazdy na stolicę przedstawiciele coraz to nowych, rzekomo pokrzywdzonych miast. Nagłaśniając zaś podniecane starannie niezadowolenie ich mieszkańców, skrętnie pomijała rzeczywisty powód swojego zaangażowania w tej sprawie.

Działo się bowiem tak, że władze terenowe obsadzone były niemal całkowicie przez ludzi starego systemu, co stanowiło dla nowej opozycji niemałe wsparcie w torpedowaniu wszelkich poczynań obecnego rządu. Nieraz te mocno inspirowane protesty przybierały charakter wręcz humorystyczny. Jednak ich orędownicy osiąkali swoje cele — w atmosferze chaosu strony nie mogły dojść do porozumienia, reformy się opóźniały, co miało oznaczać nieskuteczność rządzącej koalicji. Miałem już po dziurki w nosie owych sporów i przetargów, a teraz jeszcze wpakowałem się w „oko cyklonu” i nie ma sposobu, abym zdążył na umówione w pracy spotkanie. Dotarłem tam prawie godzinę po czasie i wszystkie kolejne poczynania tego dnia musiałem skracać i przesuwać.

Późnym popołudniem, a dokładniej mówiąc - przed wieczorem, kiedy mogłem nareszcie opuścić biuro, w drzwiach mego gabinetu stanęła sekretarka i szepnęła zaintrygowana.

- Szefie, przyjechała policja, pytają o pana.

Na biurku zaś dzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę, dając znak dziewczynie, żeby wpuściła policjantów. W słuchawce odezwała się Ewa:

- Henryku, nie wiesz przypadkiem, co się dzieje z tą waszą autorką, która do mnie dzwoniła? Umówiliśmy się na czternastą, czekałam na nią trzy

kwadransie i nie przyszła. Wiem, że bardzo jej zależało na spotkaniu ze mną. Opowiedziała mi pokrótce, na czym polega jej problem, i wierz mi, ona naprawdę potrzebuje pomocy. Dlatego niepokoi mnie to, że nie przyszła. Nie macie w redakcji jej adresu? Może powinnam do niej pojechać, co o tym sądzisz?

- Przyjedź do mnie do biura, pojedziemy tam razem, mam tu jeszcze jedną krótką rozmowę.

- Dobrze, powinnam być za dwadzieścia minut, jestem niedaleko. Odłożyłem słuchawkę, a dwaj policjanci, a ściślej mówiąc oficerowie policji stali już przede mną. Jednego z nich znałem. Zetknąłem się z nim przy okazji ratowania nas przed szantażystami żądającymi okupu. Miał ambicje literackie, nosił się z zamiarem opublikowania powieści kryminalnej, w której zawarł mnóstwo swoich doświadczeń z wieloletniej pracy. Przyszło mi więc do głowy, że pewnie akurat ukończył to swoje dzieło i przyniósł mi je do przeczytania.

- Witam, panie kapitanie.

Podał mi rękę. Przedstawiłem się towarzyszącemu mu porucznikowi. Uśmiechnąłem się w duchu, kiedy wymienił swoje nazwisko:

Bączek. Wskazałem obu mężczyznom miejsca po przeciwnej stronie stołu, a zapobiegliwa sekretarka już uchyliła drzwi, by zapytać, jaki ma przygotować poczęstunek. Poprosili o kawę.

- Domyślam się, panie kapitanie, że ukończył pan swoją pracę? - powiedziałem z zachęcającym uśmiechem do Turowicza.

Chciałem go rozluźnić, bo wydał mi się bardzo spięty. To się zdarza autorom, kiedy przychodzą po opinię o swojej książce. On jednak nie zareagował na moją życzliwość. Patrzył na mnie z surową, jakby zatroskaną miną. Otworzył teczkę, wyjął z niej niewielką kopertę i podając mi ją, zapytał:

- Poznaje pan to?

- Oczywiście - odrzekłem zdumiony. Natychmiast też ogarnęło mnie uczucie niepokoju. - To moja wizytówka z wiadomością dla pani Turskiej. Jakim cudem znalazła się w pańskich rękach?

- Jakiego rodzaju stosunki łączą pana z... adresatką?

- Służbowe, jest autorką kilku wydanych przez nas pozycji. Nie rozumiem, co ma do tego policja?

- Pan raczy wybaczyć, ale to my jesteśmy od zadawania pytań. O której godzinie pan się z nią widział?

- Co to ma do rzeczy. To moja prywatna sprawa.

- Przed chwilą twierdził pan, że służbowa. Nie wiedziałem, że wydawcy chodzą do swoich autorów z kwiatami i pisują do nich intymne karteczki.

- Co pan ma na myśli?

Doprawdy ten Turowicz pozwalał sobie za wiele! A może to jakiś wielbiciel Anny i przybył do mnie gnany zazdrością? - przyszło mi nagle do głowy. Na tę myśl uśmiechnąłem się.

- Jestem zmuszony prosić pana o precyzyjną odpowiedź na moje pytanie - powiedział surowo.

- O co panom chodzi?

Oficerowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Proszę podać dokładny czas spotkania z Anną Turską - powiedział Turowicz surowo.

- Nie było żadnego spotkania. Anny nie było w domu, zostawiłem kwiaty i wiadomość u sąsiadki mieszkającej na parterze, na prawo od wejścia. Było to mniej więcej w południe.

- To by się zgadzało, kapitanie - wtrącił porucznik. Oficerowie jeszcze raz wymienili spojrzenia. Mieli nieprzeniknione twarze.

- Z jakiego powodu ukrywa pan fakt spotkania z Turską, czemu pan do niej w ogóle pojechał?

Ton tych pytań przypomniiał mi dawne przesłuchania, kiedy to uwięziono mnie i skazano. Miałem uczucie suchości w gardle. Atmosfera zagęściła się jak w dramacie Kafki. Poczułem się nagle osaczony, bez żadnej racjonalnej przyczyny.

- Czy panowie mogliby mi wreszcie wyjaśnić cel swojej wizyty? Przecież chęć zobaczenia się ze znajomą nie może być przedmiotem dochodzenia organów ścigania. A może ja zwariowałem?

- Raczej chce nas pan przechytrzyć.

- No wie pan! Wypraszam sobie ten ton.

- Panie Nowak, dość tej zabawy. Jest pan ostatnią osobą, która widziała Annę Turską żywą. Po panu nie było tam już nikogo.

- Cooo? Anna nie żyje? - poczułem, jak włosy stają mi dęba, a krew we mnie stygnie.

Twarze policjantów, a raczej ich kontury wyłaniały się niewyraźnie z żółto-pomarańczowej, oślepiającej mgły, nadciągającej nie wiedzieć skąd i oblekającej mnie tak szczelnie, że przytępiła wzrok, słuch i udaremniła ruchy. Słyszałem tylko powolne łomotanie mego serca, jakby nagłośnione



setką mikrofonów, i głos czyjś czy mój własny, powtarzający bez końca hiobową wieść: „Anna nie żyje... Anna nie żyje.

Nie wiem, ile to trwało. Kiedy wreszcie nastąpiła cisza, lekarz pochylał się nade mną badając puls. Dwaj oficerowie siedzieli nadal po przeciwnej stronie stołu. Moja żona Ewa i sekretarka znajdowały się tuż obok fotela, w którym leżałem raczej, niż siedziałem, miały pobladłe twarze, patrzyły na mnie w napięciu.

- Wychodzi z zapaści, puls wraca do normy - informował wszystkich lekarz. - Zmierzymy jeszcze ciśnienie.

Zdjął mi marynarkę i zaczął podwijać rękaw koszuli. Byłem bezradnie słaby, zdany na jego łaskę i niełaskę. Przez chwilę nie zdawałem sobie sprawy, skąd to całe przy mnie zgromadzenie. Zaraz wróciła jednak bezlitosna pamięć, a z nią bolesna świadomość tego, o czym się dowiedziałem i w co nie chciałem uwierzyć.

- Czy to prawda, czy panowie naprawdę mówili, że Anna nie żyje?

- Została uduszona jedwabnym szalikiem między godziną jedenastą pięćdziesiąt a dwunastą trzydzieści. Pan jest ostatnim człowiekiem, który ją widział żywą. Powinniśmy zatrzymać pana do wyjaśnienia. Ze względu jednak na pański obecny stan zdrowia zostawimy pana w domu, ale nie wolno panu oddalać się z miejsca zamieszkania. Przykro mi, lecz poszlaki świadczą przeciw panu.

Ewa, blada jak płótno, połykała łyzy zagryzając wargi. Oczy miała spuszczone. Do bólu, jaki sprawiała mi niewiarygodna wieść przyniesiona przez nieżyczliwie do mnie usposobionych intruzów w mundurach, dołączył się paraliżujący strach o nią i... przed nią. Przed tym, jak to wszystko zniesie, co o mnie pomyśli. Dlatego też ignorując mówiącego do mnie kapitana Turowicza zwróciłem się do niej:

- Ewuniu, uwierz mi, to nie jest tak, jak panowie mówią. Nie widziałem się z Anną. Po telefonie od ciebie poczułem się podle, bo zlekceważyłem prośbę o pomoc. Kupiłem kwiaty i pojechałem, żeby ją przeprosić, ale nie widziałem się z nią. Kiedy dotarłem pod jej dom, wpuszczała akurat do siebie trzech chłopców - tego malucha, którego przygarnęła, i dwóch nastolatków, którzy go przyprowadzili. Słyszałem jej głos w domofonie. Nie wszedłem z nimi, bo nie chciałem robić tłoku. Usiadłem na ławce i czekałem, aż wyjdą. Nie zabawili tam długo, najwyżej kwadrans.

- Jak wyglądali ci chłopcy? - zapytał kapitan.

- Mieli po trzynaście, może czternaście lat. Jeden był w jasnoniebieskiej dżinsowej kurtce i trochę ciemniejszych spodniach, miał blond włosy, dość długie, obcięte na pazia. Drugi ubrany w szerokie, luźne, trykotowe spodenki za kolana i obszerną bawełnianą koszulkę z napisami, na głowie miał czapkę z dużym daszkiem, taką, jakie noszą teraz chłopcy. Wydawał mi się młodszy od tego w dżinsach, jego twarz, ukryta pod daszkiem, była całkiem dziecinna: zaokrąglony podbródek, pełne wargi i mały, perkaty nos. Miał charakterystyczne górne zęby przednie, takie dość długie, jakie mają zające w komiksach. Przyjrzałem się chłopcom dobrze, bo kiedy zmierzałem w stronę wejścia do domu, stali i pouczali o czymś małego Rafała. W ogóle zwróciłem na nich uwagę tylko dlatego, że byli w towarzystwie tego malca, którego widziałem kiedyś z Anną Turską, opiekowała się nim. Pomyślałem sobie nawet, że powierzanie dzieciom opieki nad dzieckiem nie jest dobrym pomysłem, bo chłopaki najwyraźniej się dokądś śpieszyli, popychali małego i okazywali mu zniecierpliwienie. Domyśliłem się, że zajęli się nim na prośbę jego ojca, który wolał popijać z kumplami gdzieś w gąszczu krzewów, jak to przeważnie czynił, niż zajmować się synkiem. Ten człowiek ponoć ma coraz mniej chwil trzeźwości.

- A co się stało z chłopczykiem? - spytała Ewa.

- Jest w Izbie Małego Dziecka na komendzie. Znalezione go półprzytomnego w pokoju denatki. Był mocno przywiązany do krzesła i zszokowany. Prawdopodobnie był świadkiem zbrodni, ale nasz psycholog odradzał zadawanie mu pytań, zanim się nie uspokoi.

- I pan, panie kapitanie, insynuuje, że ja mógłbym być zdolny do czegoś tak potwornego?

- Pełnię tylko swoje obowiązki. Kiedy jakaś anonimowa kobieta zadzwoniła do nas z wiadomością, że prawdopodobnie dokonano morderstwa, pojechaliśmy tam natychmiast i zastaliśmy przy zwłokach pański bukiet z wizytówką. Był to jakiś punkt zaczepienia i nie możemy go pominąć.

- Ależ ja zostawiłem to wszystko u tej kobiety z parteru, nie mówiła wam o tym? Obiecała dostarczyć kwiaty z liścikiem Annie.

- Nie rozmawialiśmy z tą kobietą. Ale może to właśnie ona zadzwoniła do nas, kto wie? Czy pacjent czuje się na tyle dobrze, by mógł uczestniczyć w konfrontacji? - kapitan zwrócił się z tym pytaniem do lekarza.

- Serce pracuje prawidłowo, ciśnienie prawie w normie, potrzebuje jednak odpoczynku. Radziłbym zostawić mu trochę czasu.

- Panie doktorze, niepewność zaszkodzi mi stokroć bardziej. Mnie także zależy na wyjaśnieniu tej sprawy.

- Czy mogę pojechać tam również? - spytała Ewa. - Zabrałabym go potem do domu.

- Może pani jechać, ale powrót męża do domu zależy od wyniku konfrontacji.

Kiedy przybyliśmy do domu, w którym mieszkała Anna, zaczęło się właśnie ściemniać. Kapitan i porucznik już tam byli, wysiedli z samochodu i czekali na nas. W mieszkaniu na parterze po prawej stronie wejścia paliło się światło. We wszystkich oknach zaciągnięte były zasłony, tylko w kuchni okno było lekko uchylone. To z niego w południe upomniała mnie właścicielka mieszkania, kiedy dzwoniłem do Anny.

- To tutaj mieszka ta kobieta, której podałem kwiaty dla Anny Turskiej. Przez to właśnie otwarte okno - poinformowałem policjantów.

Nacisnęli przycisk domofonu.

- Kto tam? - odezwał się znany mi już głos.

- Jesteśmy z policji, proszę otworzyć.

Przez chwilę w mikrofonie domofonu panowała cisza, potem dały się słyszeć szepty i wreszcie w oknie pojawił się mężczyzna.

- A kto mi zaręczy, że panowie są z policji? Pełno teraz przebierańców, grabią, ludzi mordują. Dostyc mamy w tym domu jednej tragedii. Nie otworzę, póki nie sprawdzę.

- Byliśmy tu już dzisiaj z powodu wspomnianej przez pana tragedii.

- My nie mamy z tym nic wspólnego.

- Chcemy porozmawiać z pańską żoną, prawdopodobnie była w domu, kiedy się to działo.

- To co, że była? Nie ona jedna.

- Rozmawiała ze mną w południe, podałem jej kwiaty z listem do zamor... do pani Turskiej.

Anna — zamordowana! Mój Boże, to słowo nie mogło mi przejść przez usta. Wszystko we mnie buntowało się przeciw takiemu okrucieństwu losu. To jakaś ponura pomyłka, wystarczy, że nacisnę przycisk domofonu, a odezwie się, mam jeszcze w uszach dźwięk jej głosu sprzed kilku godzin. Na tę myśl znowu poczułem szum w głowie i mdłości. Musiało być to po mnie widać, bo Ewa mocno chwyciła mnie pod ramię.

Tymczasem za firanką w mieszkaniu, z którego właścicielami prowadziliśmy konwersację, zrobił się ruch, pojawiła się na chwilę twarz kobiety, z którą rozmawiałem rano, i niedługo potem brzęczyk dał znać, że drzwi są otwarte.

Weszliśmy do środka, gospodarze wydawali się bardzo zdenerwowani. Kobieta siedziała sztywno na krześle, a jej mąż stał przy niej, mierząc nas wszystkich czujnym spojrzeniem. Młody człowiek, podobny jak dwie krople wody do męża gospodyni, wskazał nam krzesła. Sprawiał wrażenie gotowego do obrony matki.

- Jesteśmy z policji kryminalnej - powiedział kapitan - chcielibyśmy zadać państwu kilka pytań dotyczących tragedii, która się tutaj rozegrała. Przepytывaliśmy już innych lokatorów, dowiedzieliśmy się, że pani również w ciągu dnia była w domu.

- Miałam dziś od rana dużo roboty, najpierw prałam, potem sprzątałam całe mieszkanie, dopiero od południa byłam przez cały czas w kuchni, gotowałam obiad.

- Czy okno z kuchni wychodzi na tę samą stronę co drzwi do klatki schodowej?

- Tak, jest tuż obok nich.

- Może pani zatem widzieć wszystkich wchodzących do domu.

- Mogłabym, gdybym stała w oknie, ale nie mam na to czasu.

- A jednak obecny tu pan Nowak twierdzi, że widział panią w oknie, kiedy dzwonił do denatki.

- Ten pan dzwonił tak długo i natarczywie, że nie sposób było nie wyrzeć. Nie jest łatwo przyzwyczać się do rozmów przez domofon i trzaskania drzwiami, jednak jakoś się nam to udało. Jeśli zdarza mi się teraz wyrzeć, to naprawdę w sytuacjach wyjątkowych.

- Czy widziała pani chłopców wchodzących, a potem wychodzących, zanim zaczął dzwonić pan Nowak?

- Przedtem odkurzałam mieszkanie, nic nie widziałam i nie słyszałam.

- Czy pan Nowak zostawił coś u pani dla Anny Turskiej?

- Bukiet kwiatów z bilecikiem.

- I pani zniosła je do Anny Turskiej czy ona sama odebrała? Kobieta spuściła głowę i milczała, jakby potrzebowała chwili do namysłu nad odpowiedzią.

- Mamo, powiedz, jak było naprawdę, nie masz się czego bać - wtrącił się syn.

- Proszę powiedzieć nam całą prawdę. Czy widziała się pani z Anną Turską?

- Nie.

- W jaki więc sposób kwiaty i list pana Nowaka znalazły się w jej mieszkaniu?

- Zaniiosłam je na górę, chciałam podać jej sąsiadce z piętra, z którą utrzymywała kontakty, ale sąsiadki akurat nie było. Natomiast drzwi pani Turskiej były uchylone. Zapukałam więc, jednak nikt się nie odezwał. Poczekałam chwileczkę i zapukałam jeszcze raz. Drzwi się poruszyły, cofnęłam się, myśląc, że do nich podchodzi, lecz okazało się, że to tylko przeciąg, bo wewnątrz było otwarte okno. Wszystko to wydało mi się dziwne, że tak wietrzy i nie słyszy pukania, postanowiłam zaryzykować i zajrzeć. No i zajrzałam. Od tego, co zobaczyłam, omal sama nie wyzionęłam ducha.

- Co pani zobaczyła? Proszę opowiedzieć nie pomijając żadnych szczegółów.

- Do tej pory robi mi się słabo na samo wspomnienie. Ta biedaczka leżała na podłodze z szalikiem na szyi, blada jak płótno, żebyście zobaczyli jej minę! Oczy miała otwarte i wpatrzone z rozpaczą w dzieciaka. A on, przywiązany do krzesła, zapłakany i nieprzytomny ze strachu. Podeszłam do kobiety, chciałam jej pomóc wstać, jednak kiedy dotknęłam ręki, ta opadła bezwładnie. Przestraszyłam się, ale przyłożyłam ucho do jej piersi i nie usłyszałam bicia serca. Wtedy zrozumiałam, że nie mogę jej już pomóc. Chciałam zabrać dzieciaka, lecz bał się mnie, kopał, nie dawał się dotknąć. Co mogłam zrobić? Zostawiłam bukiet oraz list i uciekłam do domu. Dopiero wtedy dotarło do mnie to, co ujrzałam. Zamknęłam drzwi i zadzwoniłam po męża i syna do warsztatu, żeby przyjechali, bo przecież ci bandyci jeszcze mogli być w kamienicy. Zamordowali ją, to mogli i mnie. Syn doradził, żebym zadzwoniła na komisariat.

- To pani do nas dzwoniła? Czemu się pani nie przedstawiła? Czy mieszkanie denatki wyglądało na splądrowane?

- Tylko szafa była otwarta i wysunięta szuflada biurka, a reszta... wie pan, jak zorientowałam się, co się stało, nie rozglądałam się zbyt wiele.

- Czy ręka Turskiej była zimna, kiedy pani jej dotknęła?

- Zwyczajnie, nie jakoś specjalnie zimna.

- Czy widziała pani kogoś wychodzącego z domu, zanim pan Nowak zaczął dzwonić?

- Nie. Tylko jakieś dzieciaki.

- Jakie?

- Dwóch chłopaków, widziałam ich już tylko z tyłu. Chciałam im zwrócić uwagę, bo okropnie trzasnęli drzwiami. Zanim jednak zdołałam otworzyć okno, żeby to uczynić, już ich nie było.

- Zna pani tych chłopców?

- Nie widziałam ich dobrze, ale na pewno nie są z naszego domu. Tutaj tacy nie mieszkają.

- Proszę opisać ich wygląd i ubiór.

- Bo ja wiem? Nie przyglądałam się im zbyt dokładnie, chłopaki jak chłopaki. Ten większy był w spodniach, miał włosy jak dziewczyna, a twarzy mniejszego w ogóle spod czapki nie było widać.

- Czy zawiadomiła pani sąsiadów o zajściu?

- Nikogo nie zawiadamiałam. Już panu mówiłam, że się bałam. Zamknęłam się w swoim mieszkaniu i czekałam na męża.

- Proszę przyjrzeć się temu uważnie - powiedział Turowicz podając kobiecie fotografię — czy pokój oraz znajdujące się w nim osoby wyglądały tak samo, gdy pani tam była?

Siedziałem tuż obok kapitana i zobaczyłem, co było na zdjęciu: Anna, którą czciłem i która przez wiele lat wodziła mnie na pokuszenie, sfotografowana została w nienaturalnej, półsiedzącej pozycji na podłodze w swoim mieszkaniu. Wyglądała jak porcelanowa kukła z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Nie powinienem był nigdy tego zobaczyć, wolałbym pamiętać ją taką, jaką była za życia. Wiedziałem, że obraz utrwalony na kliszy nigdy mnie już nie opuści. Podobnie jak smutek, ból i poczucie winy. Ja, który zawsze miałem ochotę roztaczać nad nią opiekę, zawiadłem w tej jedynej istotnej chwili, kiedy rzeczywiście potrzebowała mojej pomocy. Gdybym wszedł razem z chłopcami, kiedy jeszcze słyszałem jej głos w domofonie, może nic by się jej nie stało.

- Wybacz Anno - wyszeptałem - wybacz, to moja wina... Zatraciłem się w wyrzutach sumienia tak dalece, że nie docierało

do mnie nic z otaczającego mnie świata. Nie słyszałem toczącej się obok rozmowy, nie zwracałem uwagi na to, że zrobiło się jakieś zamieszanie. Światła, jaskrawopomarańczowa mgła rozlała się wokół, przysłoniła kształty i kontury wszystkiego i wszystkich i ja sam się w tę mgłę wtopiłem, i nic już nie mogłem zobaczyć ani usłyszeć...

Obudziłem się w szpitalu. Leżałem pod prześcieradłem z obnażonym torsem, oblepionym całą masą przyssawek i przewodów. Po obu stronach mego łóżka stały inne, a na nich tacy jak ja, podłączeni do aparatury, półnaczy ludzie. Naprzeciwko, przy stole siedział człowiek w białym kitlu (chyba lekarz) i czujnym okiem śledził monitory ustawione nad naszymi głowami. Wszystko to zarejestrowałem w myślach zupełnie przytomnie. Nie wiedziałem tylko, w jaki sposób zostałem przynależniony do tej oto niewesołej społeczności i dlaczego?

- Siostró, pacjent na trójce obudził się, chyba odzyskał przytomność, proszę zawiadomić profesora - powiedział człowiek w kitlu i podszedł do mnie.

Dziewczyna w białym zgrabnym mundurku i w czepku na głowie bezszelestnie wyszła z sali.

- Jak się pan czuje? - zwrócił się do mnie lekarz. Uniosłem się na posłaniu, chciałem usiąść.

- Spokojnie. Proszę unikać zbyt energicznych ruchów, jeszcze na to za wcześnie.

- Co się stało, w jaki sposób znalazłem się tutaj?

- Mały kryzys zdrowotny. Jest pan pod wpływem środków uspokajających. Jeśli będzie pan stosował się do naszych rad, szybko wróci pan do formy. O, jest pan profesor! - lekarz odsunął się od łóżka, ustępując miejsca przybyłemu.

Okazał się nim profesor Lubiński, prywatnie stryj Ewy, a zawodowo jeden z najznakomitszych kardiologów w naszym kraju. Na jego widok uświadomiłem sobie, że znalazłem się oto w klinice kardiologicznej przy

Pogotowiu Ratunkowym na Hożej. Z jednej strony fakt ten napawał otuchą, bo placówka cieszyła się renomą, z drugiej zaś znalezienie się tutaj było przygnębiające, bo przecież nikt nie trafia tu bez poważnej przyczyny.

- Jak się masz Henryku, co to za głupie żarty się ciebie trzymają? Żebyś ja, starszy człowiek, musiał zajmować się twoim sercem! Kto to widział?

A więc serce! Ba, trudno, zdarza się innym, zdarzyło się i mnie. Lubiński spojrzął na monitor i zapytał:

- Nie czujesz bólu?

- Nie, jestem tylko oszołomiony.

- Nie martw się tym, to skutek środków uspokajających. Napędziłeś wszystkim strachu, ale wyjdiesz z tego bez szwanku, tylko leż spokojnie.

- Czy to zawał? Powiedz mi prawdę.

- Coś w tym rodzaju.

- To nie jest odpowiedź, poprosiłem o szczerłość.

- Nic przed tobą nie ukrywam, elektrokardiogram jest nie najgorszy, wskazuje wprawdzie na początek choroby wieńcowej, ale nie masz rany w sercu. Może to tylko zaostrzenie wskutek stresu. Zrobimy echo serca i inne badania. Na razie musisz wypocząć. Na pewno ci to nie zaszkodzi. Jeśli nie powrócą bóle, jutro przeniesiemy cię z intensywnej terapii na salę ogólną i rodzina będzie cię mogła odwiedzać.

- Czy ja zasłabłem, straciłem przytomność?

- Ewa mówiła, że miałeś powody, ale teraz nie myśl o tym. Potrzebny ci spokój. Dostaniesz lekarstwo i staraj się spać - to najlepsze, co możesz zrobić.

Gdy profesor Lubiński odszedł, siostra przyniosła lekarstwo, poprawiła pościel i kiedy przyniesiono mi śniadanie, nie mogłem już jeść, taki byłem senny. Obudziłem się po południu. Lekarz dyżurny wypytywał mnie o samopoczucie, podano mi leki i znowu zapadłem w drzemkę. Noc natomiast miałem bardzo niespokojną. Wszystkie koszmarne przeżycia z ostatnich dni powróciły do mnie i nie byłem w stanie z tym się uporać. Właściwie dopiero teraz naprawdę zacząłem sobie uświadamiać w pełni tragedię, która dotknęła Annę, a poprzez nią i mnie. To niesprawiedliwe, okrutne i bezsensowne, że pozbawiono ją życia, zanim wydaliśmy jej znakomitą książkę, zanim udało się jej uregulować sprawy dziecka, które potrzebowało pomocy. No i ja, który przez większość życia uważałem, że zdolny byłbym ją chronić, zawiodłem...

Proces mego wyzdrowienia nie przebiegał tak gładko, jak obiecywał mi stryj Ewy. Przeleżałem w szpitalu ponad dwa tygodnie, stan mój poprawiał się i pogarszał na zmianę. Ostatecznie stwierdzono lekki zawał, ale leczenie jego skutków z powodu przygnębienia, w jakim wciąż trwałem, było utrudnione.

Jak miałem nie przejmować się niczym, skoro nawet nie mogłem być na pogrzebie Anny. Jak mógłbym nie przejmować się strapieniem Ewy, która zmizerniała i gryzła się zapewne nie tylko stanem mego zdrowia, ale i tym jeszcze, że Anna tak wiele dla mnie znaczyła. A lekarze twierdzili, że powinienem odsuwać od siebie wszystko co przykre i wypoczywać, wypoczywać, wypoczywać!

Otóż ten właśnie, rzekomo zbawienny, przymusowy wypoczynek szkodził mi prawdopodobnie najbardziej. Mając nazbyt wiele wolnego



czasu, bez końca roztrząsałem to, co się zdarzyło, po prostu pielęgnowałem niszczące poczucie winy wobec dwóch liczących się w moim życiu kobiet.

Po powrocie ze szpitala zalecono mi jeszcze miesiąc odpoczynku. Tymczasem policji udało się zatrzymać dwóch chłopaków, których rysopisy zgadzały się z moim zeznaniem. Przysłano po mnie samochód, żebym ich zidentyfikował. Byli to bez wątpienia ci sami, których Anna wpuściła owego feralnego dnia do siebie. Mimo młodego wieku (szesnaście i trzynaście lat!), mieli już na swoim koncie niemało wyczynów kryminalnych. Zatrzymani zostali na gorącym uczynku, zamierzali postąpić z pewną kobietą podobnie jak z Anną, ale mieli pecha, bo zabrali się do tego akurat w chwili, gdy przywieziono jej ze sklepu zakupioną kanapę. Na co dzień byli uczniami - jeden szkoły podstawowej, drugi technikum poligraficznego. Jednego i drugiego uważano w szkołach za całkiem spokojnych chłopców. Kiedy udowodniono im winę, wyznali, że napadali na samotne kobiety, bo chcieli żyć mocno i potrzebowali pieniędzy... Jak na ironię losu, o Annie i jej podopiecznym dowiedzieli się w taki sam sposób, jak ona kiedyś o rodzinie Szukalskich. Siedzieli na ławce pod wierzbą w pobliżu jej domu, gdy zobaczyli ją prowadzącą Rafałka za rękę. Nie zwróciliby na nią uwagi, gdyby sąsiadki plotkary nie zaczęły omawiać całej historii. Kiedy zaczęły snuć przypuszczenia, że dzięki swoim książkom musi mieć dużo pieniędzy, nadstawili ucha. Na takie wieści właśnie czyhali. Ofiara została wyznaczona, trzeba było już tylko zacząć się na malucha, żeby ich do niej zaprowadził. Jeszcze raz okazało się, jak wiele szkody mogą przynieść nazbyt długie języki...

Mały Rafał już od dziesięciu dni leży w szpitalu. Oprawcy zostawili go przywiązanego do krzesła przy otwartym oknie w domu Anny. Nie zamknęli drzwi i spocone, przerażone dziecko przez długi czas siedziało unieruchomione w przeciągu. Nazajutrz po pogrzebie Anny, na który przyprowadził go wyjątkowo trzeźwy tego dnia ojciec, chłopczyk dostał wysokiej gorączki. Wezwany lekarz stwierdził ciężkie zapalenie płuc i zalecił leczenie szpitalne.

Ciekaw jestem, jak sąd ich ukarze? Pewnie pójdą do poprawczaka, nie są przecież pełnoletni. A Anna - która kochała dzieci i gotowa była dla ich dobra poświęcić wiele - zginęła za ich przyczyną. Los jest doprawdy przewrotnym okrutnikiem!

Ewa zdecydowała, że Marek zostanie w Aninie pod opieką pani Wali, a ona ze mną na czas mojej rekonwalescencji pojedzie do letniego domu jej

rodziców nad Zalewem Zegrzyńskim... Uznała, że tam mnie nie dosięgną mocne wrażenia, takie jak na przykład wspomniana wyżej konfrontacja z mordercami, czy nie kończące się rozmowy na tematy służbowe z wydawnictwem, czyli urzędowanie przez telefon. Przede wszystkim dlatego, że w domku nad zalewem nie ma telefonu. Moja niezawodna żona pomyślała o wszystkim, żebym mógł jak najszybciej wrócić do zdrowia, nawet o stanie mego ducha, o sprawie delikatnej, i tym mnie jeszcze raz zadziwiła niepomiarne. W przeddzień wyjazdu odbyliśmy następującą rozmowę:

- Słuchaj Hen, chciałabym, żebyśmy porozmawiali o Annie Turskiej. Jeśli będziesz to w sobie dusił, nigdy nie odzyskasz spokoju. Uważam, że powinienes pojechać na jej grób. Wiem doskonale, ile dla ciebie znaczyła. Sama cię tam zawiozę.

- Ty mnie zawieszysz na grób Anny? - spytałem speszony. - Co masz na myśli mówiąc, że wiesz, ile dla mnie znaczyła?

- Dokładnie to, co powiedziałam. Nie zamierzam wracać do przeszłości ani robić ci wymówek. To, że była od lat obecna w twoich myślach, dawno temu przebolełam. Nie mam o to żalu ani do ciebie, ani tym bardziej do niej. Twój brat Juliusz opowiedział mi kiedyś, jak byłeś w niej zakochany. Zrozumiałam, że z powodu tej właśnie miłości mnie wtedy porzuciłeś. Rozgrzeszyłam cię z tego już wiele lat temu, więc się tym nie gryż. Rozumiem więcej, niż myślisz, wiem i to, że takie niespełnione uczucie zawsze ma przewagę nad tym, co jest realne i w zasięgu ręki. Pogodziłam się z tym, nawet mnie to już nie boli.

- Jesteś niezwykła, Ewo! Nie wiem, czym zasłużyłem sobie na kogoś takiego jak ty. Jeśli cię to pocieszy, dowiedz się, że nie chciałem, nie potrafiłbym cię zranić.

- Nie potrafiłbyś, racja. Bo się opancerzyłam. Nie jestem małostkowa. Masz tyle zalet, że to, iż lubisz bujać w obłokach i deptać kogoś nie zwróciwszy na to uwagi, jakoś się wyrównuje. Twoją ogromną zaletą jest to, że myślisz, zastanawiasz się nad sobą i to mi się podoba, bo przynajmniej nie uważasz, że nic w sobie na lepsze nie zmienisz. Nawet jeśli masz jakieś pokusy, wiem, że się zreflektujesz. Dlatego nie jesteś zdolny do popełnienia zła. Jesteś mi drogi ze swoimi wadami i zaletami, w czasie twojej choroby upewniłam się w tym jeszcze mocniej. Czasem mam może dla ciebie mniej podziwu niż na początku, ale może to i dobrze. Ideały o wiele łatwiej się dewaluują... Wybacz, że brutalnie nazywam rzeczy po

imieniu, ale wartość tego, co do ciebie czuję, nie opiera się na tanich efektach. Jesteś, jaki jesteś, i z takim chcę dożyć moich dni.

- Jesteś wspaniała, jedyna i niepowtarzalna, ja nie potrafiłbym cię nie idealizować, zresztą jesteś ideałem.

- No dobrze, już dobrze, dosyć tych duserów. Czy jesteś w stanie pojechać na cmentarz do swojej Anny, czy jeszcze na to za wcześnie?

- Będę wdzięczny, jeśli pojedziesz tam ze mną.

Ta nasza rozmowa miała służyć temu, żeby wyjaśnić sprawy do końca, żebym pozbył się poczucia winy i stresu, ale z powodu mego charakteru nie spełniła swego zadania. Kto inny byłby zachwycony takim oświadczeniem, jakie usłyszałem od Ewy. Ja nie umiałem docenić go tak, jak należało. Oczywiście chyliłem czoło przed wielkodusznością mojej żony, było mi miło, że jestem jej drogi mimo wszystko, mimo moich wad, ale wolałbym, żeby nie patrzyła na mnie tak trzeźwo. Wolałbym być podziwiany, idealizowany, chciałbym być w jej oczach niezwykły. Bałem się jej pobłażliwości jak ognia, bałem się, że kiedyś może zamienić się w pogardę. Ten lęk towarzyszył mi od czasu podsłuchanej ongiś w Juracie jej rozmowy z Adą. Z drugiej znów strony, nie wierzyłem do końca w jej szczerość. Z pewnością mówiła to wszystko bardziej z litości niż z jakichkolwiek innych pobudek. A ja, nawet mając kłopoty zdrowotne, nie czułem się godny litości. Nawet jeśli było jakieś zagrożenie, jakież to ma znaczenie? Nikt z nas nie zna dnia ani godziny, casus — Anna.

Rozsądek kazał mi tłumić podobne myśli, ale nie dawałem sobie z tym rady. Zawsze miałem skłonność do analizowania i teoretyzowania; może to skrzywienie zawodowe? Nie ułatwiało mi to życia, oj nie!

Wizyta na cmentarzu bardziej zdenerwowała Ewę niż mnie. Ona bała się, jak ja to zniosę, a mnie ujrzenie grobu Anny poruszyło znacznie mniej, niż oczekiwałem. Może wpłynął na to fakt, że nie uczestniczyłem w pogrzebie. A może zadziałało tu moje postanowienie, żeby nie przyjmować do wiadomości tego, że Anna odeszła definitywnie. Wolałem wyobrażać sobie, że wyjechała gdzieś bardzo daleko na bardzo długo. Taką metodę obrony przed rozpaczą wymyśliłem sobie w szpitalu i uczepliłem się jej kurczowo. W ciągu wielu, wielu lat wyobrażałem sobie tyle rzeczy o niej, że nie wiem, czy nie istniała bardziej w mojej wyobraźni niż realnie.

Jadąc do domu myślałem o tym, że cała historia mojej znajomości z Anną miała przebieg tak wydumany, jakby zdarzyła się w jakiejś książce,

przydługim śnie czy w filmie, bo w życiu coś takiego się nie zdarza. To z kolei natchnęło mnie myślą, że powinienem ją opisać.

A skoro mi to już raz przyszło do głowy, zacząłem się cieszyć, że wyjedziemy do letniego domu po rodzicach Ewy. Kiedyś dobrze mi się tam pisało. Dom, mimo że dość obszerny, miał tylko jedną małą sypialnię i salon. Siadywałem w nim kiedyś przy oknie, za którym rosły śliwy, i odwrócony tyłem do toczącego się bujnie życia towarzyskiego pisałem. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie pozycje, które tam powstały, odniosły sukces, toteż okno pod śliwą uważałem za moje magiczne miejsce.

Następnego dnia po południu jechaliśmy w milczeniu po zatłoczonej drodze w stronę leśnego domu. Ewa prowadziła samochód, była skupiona i - jak mi się wydawało - lekko przygnębiona. Pomyślałem, że wybierając miejsce, gdzie mógłbym wrócić do formy, nie brała w ogóle pod uwagę własnej wygody, bo jak sięgam pamięcią, nie kwapiła się nigdy do dłuższych tam pobytów.

- A właściwie dlaczego ty nie lubisz tego domu? - zapytałem zniechęcony.

- Nie wiem, o czym mówisz?

- O domu, do którego właśnie zmierzamy.

- To stara historia. Mam przykre skojarzenia. Teraz to nie ma już znaczenia, kiedy nie ma ojca ani matki.

- Twoi rodzice nie byli tu ze sobą szczęśliwi?

- Zauważyłeś?... Czemu akurat w tej chwili przyszło ci to do głowy?

- Nie wiem, może dlatego, że właśnie tam jedziemy. Wtedy nic nie zauważyłem, oprócz tego, że jeździłaś tam niechętnie. Zawsze zastanawiałem się, co się za tym kryje.

- Widzisz, mój ojciec w ostatnich latach swego życia bywał nieznośny. Nigdy nie miał łatwego charakteru, a z wiekiem jego dziwactwa, a szczególnie despotyzm bardzo się nasiliły. To miejsce miało być wyspą szczęścia. Pamiętam, jak cieszyliśmy się, gdy rodzicom udało się kupić za bezcen ziemię i zabudowania, które dla gospodarza po odebraniu mu pól uprawnych pod zalew stały się bezużyteczne. Bardzo szybko jednak wyspa szczęścia okazała się dla matki miejscem udreki. Kiedy z zapałem zabrała się do urządzania domu i ogrodu, trafiała nieustannie na ostry sprzeciw ojca. Ona kupowała i ustawiała meble, on je usuwał, sadiła krzewy, a on je przesadzał w inne miejsca. Nie wiem, co go pchało do tego, żeby kwestionować wszelkie jej starania, bo przecież działała w dobrej wierze, chciała ten wymarzony dom jak najszybciej i najlepiej wymościć i

upiększyć. Nie prosiła ani o pieniądze na zakup sprzętów do tego domu, ani nawet o pomoc przy ich ustawianiu czy montowaniu. Starła się wszystko załatwić sama, byleby nie był zmęczony i zdenerwowany w trakcie tych prac. Mimo to nic z tego, co kupiła, nie uzyskiwało jego aprobaty. Dopiero gdy nasi goście lub ktokolwiek z boku docenił to i owo, przekonywał się, a nawet chwalił się tym potem. Może nie byłoby napięć, gdyby matka potrafiła napady jego furii znosić obojętnie, ale ją ta jego napastliwa złośliwość raniła, więc się buntowała biedaczka przeciw ciągłej krytyce i opozycji ojca, gryzła się tym i denerwowała. Nie mogłam na to patrzeć. Nie znosiłam panującej między nimi atmosfery, toteż miejsce to w końcu zamiast mnie cieszyć, obrzydło mi zupełnie. Jak tylko dorosłam do tego, żeby spędzać wakacje z rówieśnikami, z dala od rodziców, korzystałam z tego przywileju nawet ponad miarę.

- Twoi rodzice umieli jednak ukrywać przed światem swoje emocje. Ja przynajmniej nie zauważyłem w ich wzajemnych stosunkach nic nienormalnego.

- Och, bo ty niewiele wokół siebie dostrzegasz. Żyjesz z głową w chmurach. Zresztą, kiedy rodzice jeszcze żyli, ty, gdy tu byłeś, zawsze pisałeś. Mogły ci nad głową przechodzić burze, wiać wichry, a tobie to nie przeszkadzało.

- To prawda, umiałem wtedy pisząc odciąć się od wszystkiego. A tam szczególnie. Kiedy patrzyłem na śliwy, wena mnie nie opuszczała.

- Może i teraz wróci do ciebie?

- Nie wiem. Mam taką nadzieję...

- Tym śliwom pod oknem musimy się dobrze przyjrzeć. Są stare, a kiedyś tak obficie owocowały! Trzeba by poobcinać suche gałęzie - może to coś da.

- Może. Ale warto by też pozdejmować z nich te metalowe obejmy, którymi ozdobił je twój ojciec po owej strasznej wichurze w osiemdziesiątym szóstym. Pęknięcia dawno się zrosły, a pnie drzew zgrubiały, są mocno ściśnięte i soki nie przedostają się do gałęzi.

- Chyba masz rację, trzeba będzie się za to wziąć, i to chyba od razu, jeszcze przed przyjazdem Ady.

W zasadzie nie miałem nic przeciw Adzie. Znałem ją niemal tak długo jak Ewę, przyjaźniły się przecież od czasów licealnych, chociaż różniły się od siebie jak ogień i woda. Ewa solidna, pedantka w każdym calu, wierna żona i matka. Ada zwariowana, wszędobylska, zmieniająca partnerów jak

rękawiczki, bezdietna i żyjąca tylko dla siebie. Przystojna mimo upływu czasu i wciąż kokietliwa. Nie darowała sobie nigdy prowokowania nawet mnie, męża swojej najlepszej przyjaciółki. Zbyt długo i czule ścisła mnie zawsze na powitanie czy pożegnanie, zbyt czule się do mnie zwraca w obecności Ewy. Kiedyś wprawiało mnie to nawet w zakłopotanie, potem, kiedy zorientowałem się, że to jest jej styl wobec wszystkich mężczyzn, przestałem na to zwracać uwagę. Jej bowiem chodzi jedynie o to, by niezmiennie ogrywać swoją atrakcyjność, aby wszyscy wokół pamiętali, że jest najpiękniejsza, najlepiej rozumiejąca mężczyzn i najbardziej seksowna. Jakby ludzie nie mieli nic innego do roboty, jak tylko porównywać ją do innych kobiet. Na ogół mężczyźni łapią się na wysyłane sygnały dawane przez kobiety, a jeśli nawet nie ma to żadnych konsekwencji, łechce męską dumę i przebywanie w towarzystwie takiej pani dowartościowuje samców. Ja sam, chociaż znam tę jej słabostkę, dawałem się nieraz na to nabrać i doznawałem w jej towarzystwie miłego podniecenia. Teraz jednak nie byłem w formie fizycznej, a tym bardziej psychicznej, do tokowania, na niby czy dla żartu, zaś z Adą tego uniknąć nie sposób. Dlatego też dałem wyraz swemu niezadowoleniu, pytając:

- Zaprosiłaś ją tutaj, po co?

- Co miałam robić? Ona jest teraz na rozdrożu, upatrzyła sobie jakiegoś pocziwca na nowego męża, a on za nic nie chce się wiązać.

- Jakaś nowa nutka pobrzękuje w twoich słowach, czyżby twoja dozgonna przyjaciółka naraziła ci się jakoś?

- Nieee... Ale opowiedziała mi w szczegółach wszystkie okoliczności śmierci Emila i nie mogę otrząsnąć się z wrażenia.

- Jakie to były okoliczności?

- Dla mnie niezrozumiałe. Jak wiesz, on zmarł na rozległy zawał serca. Bardzo ciężki. I tak prawdopodobnie by z tego nie wyszedł, ale...

- Co masz na myśli?

- ... gdyby w porę udzielono mu pomocy...

- Chcesz powiedzieć, że nie uczyniono tego? Jednak skoro to był taki zawał, nic by to nie dało.

- Pewnie tak, ale może by do niego nie doszło, może by się nie rozwinął? A przede wszystkim Emil w swoim cierpieniu nie czułby się tak strasznie opuszczony.

- Skąd wiesz, jak się czuł?

- Wyobrażam sobie.

- Chyba przesadzasz, w takich chwilach wiele się nie myśli, człowiek się ratuje, jak może. Zresztą czemu on miał się czuć opuszczony? Przecież Ada była przy nim.

- I tak, i nie...

- Jak to?

- Czowała się tego wieczoru bardzo zmęczona. Wcześniej niż zazwyczaj położyła się do łóżka, podczas gdy Emil nękany bólem snuł się po mieszkaniu. Nie zwracała na to uwagi, bo on często miewał kłopoty z zasypianiem. Leczył się już od jakiegoś czasu na serce, wstawał nieraz w środku nocy, żeby wziąć lekarstwo. Ale tamtej nocy zachowywał się jakoś inaczej. Ada drzemała, a on przychodził, siadał na krawędzi jej łóżka, ściągał z niej kołdrę. Myślała, że mu się zebrało na amory. Nie reagowała, udawała, że śpi, potem rzeczywiście zasnęła. Zaczęło się to wszystko wieczorem przed dziesiątą, a rano, kiedy było już zupełnie widno, obudziły ją jęki. Ada ociągając się wstała z łóżka, Emil leżał już na podłodze nieprzytomny. Ogarnięta paniką nie potrafiła sobie przypomnieć numeru pogotowia, dlatego zadzwoniła do mnie, żebym je zawiadomiła. Ona tymczasem szukała jego książeczki zdrowia, zaświadczeń lekarskich, chociaż wiedziała, że on już nie żyje. Poznała to po jego szeroko rozwartych, nieprzytomnych oczach. Dramatyczne obrazy jego ostatnich chwil dręczą ją do dziś. Wyczułam to, gdy mi opowiadała o zdarzeniach tamtej nocy. Byłam wstrząśnięta. Jestem daleka od tego, żeby oceniać jej postępowanie, ale nie mogę nie myśleć o tym, jak Emil musiał się czuć w ostatnich godzinach swego życia. Jak bardzo był samotny i pozbawiony wsparcia, a przecież u boku kochanej i kochającej istoty. Jak mogło się to tak fatalnie potoczyć? Co on sobie biedak wtedy myślał?

- To rzeczywiście smutne - powiedziałam. - Ale może ty, Ewuniu, demonizujesz. Patrzysz na to ze swego punktu widzenia. Jesteś osobą wyjątkowo przewidującą i zapobiegliwą, twoja wrażliwość jest wyczulona na niesienie pomocy, ludzie w większości tacy nie są. Nie są zdolni do niesienia aż takiej pomocy i w związku z tym aż w takim stopniu jej nie oczekują. Może więc Emil nie odbierał tego tak, jak myślisz?

- Co to za stopniowanie pomocy? Musi być skuteczna i tyle. Nie poddaję krytyce postawy Ady, jest mi smutno, kiedy myślę o nim. Nikt nie powinien się czuć osamotniony w godzinie śmierci...

- Ale na ogół tak jest... Anna też była wtedy sama. I pomyśleć, że gdybym nie zrezygnował z wejścia do jej mieszkania razem z tymi wynaturzonymi dziećmi, wszystko potoczyłoby się inaczej...

- Nie mogłeś tego przewidzieć, staraj się o tym nie myśleć.

- Żeby to można było sobie nakazać, życie byłoby o wiele łatwiejsze.

- Wiem, Hen. To niełatwe, ale musisz się starać. Jesteś nam wszystkim bardzo potrzebny.

Położyłem rękę na jej dłoni opartej na dźwigni biegów. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Czy wiesz - powiedziała - że moja matka rozplakałaby się, gdyby nas teraz widziała?

- Taka była sentymentalna?

- Nie, ale brakowało jej takich prostych, przyjaznych gestów ze strony ojca, serdecznej rozmowy gwoźli współdziałania we wszystkich sprawach życiowych. Patrzyła na zgodne stadła jak na objawienie, z zazdrością i zadziwieniem. Pamiętam w związku z tym pewne zabawne zdarzenie: spacerując ze mną po lesie mama zobaczyła idącą przed nami parę starszków. Szli blisko siebie, sędziwy pan pochylał się nad drobną, siwiutką żoną i szeptał jej coś do ucha.

- „Popatrz Ewuniu, jak oni się kochają - powiedziała do mnie mama - aż serce rośnie. Chodźmy trochę szybciej, chcę na nich popatrzeć z bliska”.

Przyśpieszyliśmy kroku. Mama prawie biegła, z wypiekami na twarzy i ze łzami wzruszenia w oczach. Było mi głupio, że robimy podchody, by wniknąć w czyjąś intymność. Zbliżyliśmy się na tyle, by słyszeć, co mówi starzec do swojej połowicy, a brzmiało to tak:

- „Powtarzam ci zawsze, stara cholero, żebyś uważała, gdzie kładziesz klucze. Kiedyś zgubisz własną głowę, zobaczysz!

- Fe! - wtrąciła się niespodziewanie moja matka - jak panu nie wstyd? Taki leciwy człowiek i tak brzydko odnosi się do żony!”

Rzekłszy to rozplakała się, pociągnęła mnie za rękę i oddaliła się nie przestając płakać.

Starszkwowie osłupieli, pootwierali usta ze zdziwienia i stali jak wryci. Byli przestraszeni i zdumieni.

- „Powiedz córeczko - biadała tymczasem matka - powiedz, czemu życie jest takie okropne. Nie dość, że już w założeniu melodramatyczne, bo przecież wszyscy musimy umrzeć, to jeszcze tak je sobie ludzie obrzydają



nawzajem. Nie mogę, nigdy nie potrafię się z tym pogodzić! A świat jest taki piękny, piękny do bólu!"

Zawsze, kiedy przejawiasz wobec mnie delikatność, mam wrażenie, że matka patrzy na mnie z góry i cieszy się, że nie żyję tak jak ona, bo bardzo się bała o moją przyszłość. Dla takich chwil skłonna jestem przymknąć oczy na wszystko, nawet na twoje nieodpowiedzialne marzenia.

- A cóż ty o tym możesz wiedzieć, pani Nowak?

- Znam cię na wylot, panie Nowak.

- Ja też cię nieraz rozczarowuję... - powiedziałem smutno, przypominając sobie jej rozmowę z przyjaciółką w Juracie, podsłuchaną mimo woli.

- To, że staram się nie mieć złudzeń, wychodzi nam obojgu na dobre, wierzaj mi.

- Moja ty realistko, nie masz pojęcia, jak to miło czasem mieć złudzenia, możesz sobie na nie wobec mnie pozwolić. Nawet jeśli mi wiele do ideału nie dostaje, generalnie i tak cię nie zawiodę.

- Po tej uroczystej deklaracji wypada już tylko wznieść toast. Co powiesz na małą ucztę w „Złotym linie”? Zaznaczam, że liczę na twój szeroki gest, bo po zawiezieniu cię na miejsce nie zamierzam pitrasić.

- Wobec tego zapraszam na rybkę.

W „Złotym linie” tego popołudnia nie było zbyt dużo gości. Zostaliśmy obsłużeni szybko, ale nie śpieszyliśmy się zbytnio. Zjedliśmy znakomicie przyrządzonego karpia, wypiliśmy po lampce wina i ruszyliśmy w dalszą drogę. Po kilkunastu minutach jazdy przekroczyliśmy most i byliśmy już na miejscu. Czekala nas tu przykra niespodzianka. Okno wychodzące na taras było wybite i wszystko wskazywało na to, że dom został okradziony. Ewa nerwowo przekreśliła klucz w zamku, by ocenić straty. Zabrano kolekcję miedzianych rondli, śliczny pamiątkowy witrażyk, zrobiony przez matkę Ewy, oraz pięknego satyra z korzeni jałowca, którego podarował teściowej znany zakopiański rzeźbiarz. Poza tym nic. Złodziej był więc ambitnym kolekcjonerem, ale bynajmniej nie dostarczyło nam to satysfakcji. Na ogół takie historie się tutaj nie zdarzały, zawsze ktoś z sąsiadów był w pobliżu. Teraz też byli, ale nic nie zauważyli. Kiedyś można było wszystko zostawiać otwarte, ale czasy się zmieniły, złodzieje zaroili się wszędzie, nawet w lasach, dzieci bywają mordercami...

Czuliśmy się, jakby nam ktoś zagrał na nosie, ale nic nie mogliśmy poradzić. Zostałem na miejscu, a Ewa pojechała na komendę policji i po "walczaka do Pułtusa, żeby powstawił wybite szyby. Walczak przyjechał,

pomierzył zdewastowane okna i pozabijał je deskami, obiecując, że nazajutrz przyjedzie z przyciętymi odpowiednio szybami. Wizyta na komendzie policji zupełnie rozstroiła Ewę, bowiem policjanci, owszem, spisali protokół, ale oświadczyli, że nie należy wartościowych rzeczy trzymać w letnich domach, bo to tak, jakby się je spisało na straty. Teraz włamania i kradzieże są nagminne, policja ma pełne ręce roboty, jednak nie ma odpowiedniej liczby personelu ani środków, żeby mogła działać skutecznie. Jeśli zaś chodzi o odzyskanie skradzionych nam rzeczy, to radzili poczatować na targu staroci na Kole, bo pewnie prędzej czy później tam trafią. Tak więc Ewa, otrzymawszy wiele pożytecznych rad od policjantów i ani cienia nadziei, że zajmą się poszukiwaniem przestępców, wróciła do domostwa rada, że nie ukradziono nam mebli, pościeli i reszty dobytku.

Podczas gdy moja zaradna żona zajmowała się przystosowaniem posiadłości do zamieszkania, ja ustawiłem komputer na stoliku przy oknie z widokiem na śliwy i zabrałem się do układania przywiezionych papierów. Wśród nich odnalazłem powieść Anny. Tyle po niej zostało. Tak mało i tak dużo zarazem, bo ten utwór jest dziełem o dużej wartości. Szkoda, że już nie dla niej... Otworzyłem teczkę i zacząłem czytać. Wbrew temu, co zdarzało mi się zazwyczaj przy powtórnym czytaniu tekstów, powieść nie tylko nie nudziła mnie, ale odnajdywałem w niej nowe treści, nowe smaczki.

Czytałem niektóre zdania po kilka razy. Uczyłem się Anny na pamięć, jej sposobu myślenia, jej wrażliwości, jej niezwykłego widzenia świata. Czytałem i czytałem, a Ewa krzątała się podśpiewując. Ma taki miły zwyczaj, że pracuje na pogodnie. Bardzo to rzadki przymiot, którego jej zazdroszczę. Ja jestem zawsze wściekły, kiedy muszę oddawać się zajęciom domowym czy gospodarskim.

- Dużo masz jeszcze pracy? - spytałem, kiedy przechodząc spojrzęła na kartkę, którą akurat przewracałem. Odruchowo ją zasłoniłem.

- Zaraz skończę - odpowiedziała - a ty nad czym tak ślęczysz? Czy to jakaś tajemnica?

- Dam ci do przeczytania, ale chcę jeszcze na to rzucić okiem.

- Tylko poukładałam drewno, przywieźli nam dwa metry brzozy.

- Pomogę ci.

- Wykluczone! To nie jest zajęcie dla rekonwalescentów.

- Ani dla kobiet.

- Nie jestem taka pewna. Ja przynajmniej mam to w genach. Mama, jak sięgam pamięcią, sama układała i nawet czasem rąbała drwa. Ojca takie zajęcia wprawiały we wściekłość. Wolała więc robić to sama, byleby był spokój.

- W tym względzie nie mam ambicji dorównać twemu ojcu.

- Ani ja nie mam ambicji dorównać mojej matce, robię to ostatni raz. Kiedy odzyskasz siły, zapędzę cię do takich prac.

- Trzymam cię za słowo.

- Nie wywiniesz się.

Kończące się właśnie lato było wyjątkowo dżdżyste i chłodne. Miało to jednak tę zaletę, że trawy teraz były wciąż soczyście zielone, a wilgoć panująca przez całe tygodnie przyczyniła się do bujnego przyrostu drzew i krzewów. Tak było i u nas w ogrodzie. Żywopłoty dopraszały się przystrzyżenia, młode brzoźki zamieniły się w prawie dorosłe drzewa, tylko moje ukochane śliwy chorowały. Trzeba było o nie szczególnie zadbać, jeśli nie chcieliśmy się z nimi pożegnać. Walczak obiecał przysłać swojego szwagra, który jest sadownikiem, aby doradził, co mamy zrobić, by je uratować.

Ewa nie zdążyła jeszcze odpocząć po trzydniowych pracach adaptacyjnych, kiedy przyjechała Ada.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Witajcie - zawołała wychodząc z samochodu. - Henryku, pomóż mi otworzyć tę waszą pancerną bramę, żebym mogła wjechać na podwórko.

- Zostaw Henryka w spokoju, on jest pod ochroną. Ja ci otworzę - Ewa gotowa usuwać mi wszystkie przeszkody zjawiała się przy furtce.

Ada zaparkowała samochód obok szopy i wyszła, aby przywitać się z nami. Potem otworzyła bagażnik. Był tak załadowany, jakby zabrała ze sobą cały swój dobytek. Widać wybrała się do nas na dłuższy pobyt.

- Przywiozłam wam trochę frykasów - powiedziała wyjmując kosze pełne owoców, ciast, mięs i wędlin.

- A kiedyż my to wszystko zjemy? Jest nas tu tylko troje, a to są zapasy na szwadron wojska. Nawet nie mam tyle miejsca w lodówce.

- To schowaj część do zamrażarki, nie będziesz musiała wciąż kursować po zakupy.

- To żaden kłopot. I tak muszę od czasu do czasu pojechać do domu. Tylko mi nie mów, że cały bagażnik załadowałaś żarciem.

- Ależ skąd, żywność jest tylko w tych dwóch koszach, poza tym mam moje koce ekologiczne, pościel, no i trochę ciuchów.

- Pościeli mamy tu wystarczająco dużo, a ciuchami będziesz mogła oczarować leśne zwierzaki, bardzo się ucieszą, bo już nie pamiętam, kiedy ktoś urządzał dla nich rewiew mody.

- No wiesz... wszystko się może zdarzyć, mogą przyjechać goście, kto wie?

- Mam nadzieję, że nikogo tu nie zapraszałaś, bo Henrykowi potrzebny jest spokój. - Naturalnie, że nikogo nie zapraszałam. To, że przebywam na łonie natury, nie znaczy bynajmniej, że mam wyglądać jak żebraczka.

- A ja mam zwyczaj dziczenia na łonie natury i bardzo mi z tym dobrze.

Po trzech dniach pobytu naszego gościa okazało się, że niełatwo nam będzie pod jednym dachem, Ada była kłopotliwą współmieszkanką. Panoszyła się wszędzie, ustawicznie okupowała najwygodniejszy leżak na zewnątrz i fotel przy kominku; zawsze zostawiała na nich swoje rzeczy, żeby ktoś nawet na chwilę nie zajął na nich miejsca. Otwierała i zamykała okna, kiedy jej to odpowiadało, nie pytając, czy komuś z nas nie jest za zimno lub za gorąco. Tylko sobie serwowała przekąski, nie zważając na pory posiłków. Widziałem, że Ewę zaczyna to irytować. Usłyszałem, jak mówi do niej:

- Słuchaj, Ado, zastanawiam się, czy nie lepiej byś się czuła w domku gościnnym, tam jest teraz bardzo miło. Byłabyś swobodniejsza, nikt by ci nie przeszkadzał.

- A czemuż ja mam się przenosić. Bałabym się tam spać sama. Przyjechałam tu, żeby z wami pogadać, a nie szukać samotności. W domu mam jej po dziurki w nosie.

Pogadać! Domyślałem się, że właśnie owych pogaduszek Ewa miała dosyć. Jakikolwiek by się poruszyło temat, Ada potrafiła szybko zvekslować na jedyny, który ją aktualnie interesował, na temat niejakiego pana Wojtka, który za nic nie chciał się z nią ożenić. Facet był, podobnie jak ona, wdowcem, miał liczną rodzinę, z którą czuł się mocno związany i prawdopodobnie to wypełniało jego życie. Ada poznała go na jakimś przyjęciu. Był nią oczarowany, zdobył od znajomych numer jej telefonu i zaczął dzwonić. Nie kwapiła się początkowo do spotkań, Emil jeszcze panował w jej myślach, ale z czasem uległa i zaczęli się widywać. Bardzo szybko odkryła w nim niezwykle przymioty: wielką wrażliwość i prawość, a także poczucie humoru, które zawsze w mężczyznach cenila. Na posiadał natomiast jednej ważnej w jej dotychczasowych wyborach cechy - nie był zbyt zamożny. Klóciło się to z jej teorią, że jeśli się zwiąże, to tylko z kimś, kto nie uszczuplił kapitału, jaki zostawił jej Emil, a przeciwnie - jeszcze go powiększył. Teraz gotowa była nawet przymknąć na to oczy. Cóż, kiedy trafiła na wyraźny opór materii.

- Wyobraź sobie, że on jest bardzo powściągliwy. Owszem, kiedy spacerujemy, czasem trzyma mnie za rękę, ale to wszystko. Stara się zawsze być na dystans, nie daje się nawet sprowokować. Nie wiem, co mam o tym myśleć? Przecież jeszcze kilka miesięcy temu bardzo mu się podobałam. Mówi do mnie na przykład: „Tyłu jest mężczyzn na świecie, a ty uparłaś się na mnie!” Chyba żartuje, co? Z drugiej znów strony jest bardzo uczynny, pomógł mi załatwić serwis samochodu i w ogóle. Ale gdy robię jakieś aluzje na temat przyszłości, zwija się jak ślimak. A ja jestem za młoda, żeby być sama, powiedz, czy mogę jeszcze na coś w życiu liczyć? Powinnam być szczęśliwa.

- To zależy od tego, w czym upatrujesz szczęście.

- Na przykład w tym, żeby ktoś się o mnie troszczył, muszę przecież mieć jakąś opiekę.

- Nie rozumiem, o czym mówisz — odpowiadała Ewa - po co ci opieka? Jesteś piękna, czujesz się młodo i zdrowo. Może się okazać, że ty będziesz

musiała opiekować się nim, jeśli się zwiążesz. Powinnaś mieć na uwadze i taki wariant, który zresztą wcale nie wyklucza szczęścia. Według mnie o wiele milej jest opiekować się kimś, niż być zdanym na opiekę.

- Ach, bo ty to lubisz! Ja nie jestem cierpiętnicą, wolę korzystać z życia. Poza tym - ciągnęła zwierzenia - ty masz swojego mężczyznę, jesteś zaspokojona, a propos, czy Henryk jest sprawny seksualnie?

Stuliłem uszy po sobie, gdy tymczasem Ewa oczami dawała znak Adzie, żeby miała na uwadze moją obecność.

- Jest czy nie, powiedz?

Ada nic sobie z jej zażenowania nie robiła i nalegała na odpowiedź. Wobec tego moja żona z desperacją ściszyła głos i udzieliła odpowiedzi:

- Owszem, jest i dlatego proponowałam, żebyś skorzystała z gościnnego domku.

- Ty to masz dobrze! A ja już nawet nie mogę przeglądać tygodników kolorowych, tyle tam seksu... Podniecam się tylko nadaremnie...

Udawałem, że nie słyszę. Byłem ubawiony i bałem się, żeby panie po mojej minie nie poznały, że mimo iż siedzę przy komputerze, słyszę, o czym mówią. Wstałem więc i wyszedłem na werandę. Ku memu zdumieniu, Ada podążyła za mną.

- Słuchaj Henryku, jeśli ty chcesz sobie z Ewą pofiglować, to ja się wyniosę z salonu. Powiedz, chcesz? Przeszkadzam wam?

Co mogłem odpowiedzieć na taki atak frontalny? Starając się opanować konsternację, wydukałem:

- Ależ skąd, wcale nam nie przeszkadzasz, przecież mamy osobną sypialnię, jesteśmy oddzieleni kotarą.

Jeszcze nie skończyłem zdania, a już żałowałem, że je wypowiedziałem, bo Ada skwapliwie zapewniła.

- Dobrze, wobec tego zostanę z wami.

Tego wieczoru jeszcze mocniej przekonałem się, że udzielając jej wykrętej odpowiedzi popełniłem błąd, gdyż nagle powiedziała:

- Ależ to stukanie klawiatury twego komputera jest irytujące! Na twoim miejscu przeniosłabym się z pracą do domku gościnnego. Nikomu byś przynajmniej nie przeszkadzał.

Zacząłem długo i wyczerpująco tłumaczyć, dlaczego nie mogę tego uczynić. Im dłużej się usprawiedliwiałem, tym bardziej wydawało się to mętne. Toteż Ada kiwała głową z niedowierzaniem, by w końcu podsumować:

- Zrobisz, jak uważasz, ale ja na twoim miejscu bym się zastanowiła, czy się nie przenieść.

- Dla Henryka to miejsce do pracy jest szczęśliwe, tu powstały jego najlepsze książki, a poza tym przywykł tu pracować i już, a więc nie ma o czym mówić - poparła mnie Ewa.

Nazajutrz miałem zostać z naszym gościem sam na sam, bo Ewa musiała pojechać do Warszawy na zebranie w Fundacji, a także na kontrolę do domu. Ada tak zanudzała mnie swoimi kłopotami miłosnymi, że aby się od nich uwolnić, dałem jej do czytania powieść Anny, przypuszczając, iż ją to wciągnie.

I rzeczywiście. Nie oderwała się od niej, póki nie skończyła. Kiedy po południu wróciła Ewa, Ada była mniej więcej w połowie lektury.

- Masz genialnego męża! - rzuciła w stronę mojej żony i znowu pochyliła się nad maszynopisem.

- Spodziewam się! - odrzekła Ewa, która podobnie jak ja nie domyślała się, czym zasłużyłem sobie na tę pochlebną opinię. Nie mieliśmy czasu dochodzić prawdy, bowiem Ewa przywiozła korespondencję i zaczęliśmy ją przeglądać. Znalazło się w niej, obok wielu rachunków i zawiadomień bankowych, także pismo z sądu do mnie. Rozerwałem nerwowo kopertę. Było to wezwanie do przybycia w charakterze świadka na proces morderców Anny. Bez słowa podałem je Ewie.

- Mój Boże! To już za dwa tygodnie, nie wiem, czy będziesz w stanie w tym uczestniczyć, lekarze na pewno odradzą.

- Choćbym miał się czołgać resztkami sił, pójdę tam. Nie rozumiesz, jakie to ważne? Widziałem, jak tam wchodzili. Oni muszą za to odpowiedzieć. Tyle tylko mogę dla niej zrobić.

- Możesz zrobić dla niej znacznie więcej, Hen.

- Co masz na myśli?

- Dziecko.

- Co?

- Nie domyślasz się?

- Nie. A powinienem?

- Chodzi o Rafała.

- Masz o nim jakieś wiadomości?

- Owszem, i to same niedobre, niestety.

- Co się z nim dzieje?

- Został sierotą.

- Biedaczek, jak to się stało?

- Koszmarna historia. Matka narkomanka odwiedziła go w szpitalu, akurat był tam także ojciec małego, a jej były mąż. Nie był zupełnie trzeźwy, więc pielęgniarki nie pozwoliły mu wejść do małego. Awanturował się, ale nic nie wskórał. Kiedy zobaczył byłą żonę, tym bardziej się upierał, że musi zobaczyć syna. Lecz gdy spotkał się z kategoryczną odmową, uspokoił się i czekał na matkę dziecka. Pielęgniarka słyszała, jak prosił ją, żeby wróciła na łono rodziny. Nie chciała go słuchać, opędzała się od niego. On jednak płakał i prosił, żeby zrobiła to dla dzieciaka, który tak wiele ostatnio przeszedł. Prosił ją tak żarliwie, że pielęgniarka się wzruszyła i obserwowowała ich przez okno, gdy wyszli na ulicę.

Szarpali się, starał się ją zatrzymać, kobieta się wyrwała i wpadła nagle pod autobus, który wyjechał z za zakrętu. Uczepiony do niej mężczyzna także dostał się pod koła hamującego ostro pojazdu. Ona zginęła na miejscu, a on jeszcze przez sześć godzin walczył w szpitalu o życie. Niestety, bez skutku. Oto i cała historia...

- Ależ ten dzieciak ma pecha! Przedtem Anna, teraz rodzice... Wyjdzie z tego okaleczony do końca życia...

- Rozpoczęłam starania, żeby go zabrać do nas, przynajmniej na jakiś czas. W końcu przyrzekłam Annie przez telefon w dniu jej śmierci, że będę nad nim czuwać w czasie trwania jej leczenia, tym bardziej powinnam to zrobić teraz, kiedy został zupełnie sam. Chciałabym, żeby u nas trochę ochłonął po tych wszystkich przejściach, potrzebuję tylko twojej akceptacji.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co bierzesz na swoje barki? Bo przecież opieka nad nim głównie ciebie obciąży.

- Wiem, Hen. Skoro jednak Anna obdarzyła mnie zaufaniem, nie zawiodę jej.

- Przecież wyście się w ogóle nie znały, jedna rozmowa przez telefon do niczego cię nie obliguje. A Anna, według prawa, nie była upoważniona do decydowania o jego losie.

- Wyobraź sobie, że tego dnia, gdy zginęła, uzyskała status prawnego opiekuna dziecka, czyli miała zostać jego kuratorem. Nawet nie zdążyła się o tym dowiedzieć... Prześledziłam tę sprawę, widziałam się z adwokatem, który był jej doradcą.

- Jesteś niezwykła, kochanie. Ja oczywiście nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy pomogli temu chłopcu, ale co będzie, jeśli przywiąże się do nas, a potem zabiorą go do domu dziecka?



- Jak tylko dowiedziałam się o śmierci jego rodziców, zatelefonowałam do Filipa Turskiego, który po pogrzebie matki skontaktował się ze mną, wiedząc, że interesuję się losem przygarniętego przez nią chłopca. Bardzo się zmartwił twoją chorobą, chciał cię odwiedzić w szpitalu, ale wtedy nie czułeś się jeszcze na tyle dobrze, żeby wchodzić na nowo w świat Anny. Teraz natomiast, kiedy dowiedział się, że chłopiec został sierotą, pragnie go zaadoptować. Zna go już, bo odwiedził go w szpitalu kilka razy przed wyjazdem. Załatwienie adopcji będzie wymagało z pewnością dużo starań, bo teraz są zastrzeżenia w oddawaniu dzieci za granicę. Istnieje jednak szansa, ponieważ Filip Turski ma podwójne obywatelstwo. Jeśli wytrwa w tym pragnieniu, pomogę mu z całych sił. A tymczasem powiedz mi, kiedy mogę pojechać po chłopca?

- Kiedy chcesz, to przecież zależy tylko od ciebie. Ja mogę ci pomóc w miarę moich sił. I wiesz... dziękuję ci. Za to, że jesteś, jaka jesteś, i że w ogóle jesteś.

- No dobra, dobra. Bez wielkich słów, panie Nowak. Lepiej zajrzyjmy do szopy i spróbujmy zmontować starą piaskownicę naszych dzieci, przyda się potem dla wnuczęcia. Może by tak poprosić też Adę o pomoc? Nie wiesz, gdzie ona się podziewa?

- Chyba czyta, przynajmniej spędziła tak prawie cały czas, kiedy ciebie nie było.

- No to nic się nie stanie, jeśli ją na chwilę od tej zajmującej lektury oderwiemy. Ada!!!

Ewa wołała i wołała, a jej przyjaciółka zachowywała się zupełnie tak, jakby przestała słyszeć. Zainteresowaliśmy się, czy jej się nic nie stało, i podeszliśmy do okna, przy którym siedziała. Spojrzała na nas nieprzytomnie sponad złożonego maszynopisu, miała załzawione oczy.

- Co się z tobą dzieje? - zaniepokoiła się Ewa. - Nie słyszałaś, jak cię wołałam?

- Słyszałam, lecz nie mogłam się od tego oderwać. Henryku, wybacz mi, ale nie przypuszczałam, że jesteś tak dobrym pisarzem. Twoja książka jest poruszająca, nie dość, że czyta się ją jednym tchem, to jeszcze zmusza do myślenia. Aż się popłakałam, bo właśnie uświadomiłam sobie swoją małość. Jest z pewnością najlepsza ze wszystkiego, co dotychczas napisałeś.

- Ależ to nie jest wcale...

- Jak to nie jest? - Ada nie pozwoliła mi dokończyć zdania. — Właśnie, że jest najlepsza, przestań się krygować!

Poczułem, jak rumieniec rozlewa mi się po twarzy. Co za nieporozumienie! Więc ona wzięła powieść Anny za moją? Nic dziwnego, skoro dostała ode mnie do przeczytania nie podpisany maszynopis.

Ewa patrzyła to na jedno, to na drugie z nas, nic nie rozumiejąc.

- No popatrz, popatrz na niego, rumieni się jak panienka! Co za hipokryzja! Tylko mi nie mów, że nie zdawałeś sobie sprawy z tego, że ta książka jest genialna.

- Tak, oczywiście, ale ja...

- O rany, jacy ci twórcy są próżni! Chcieliby, żeby im bić pokłony bez końca.

- O czym wy do diabła rozmawiacie?

- O nowej książce twego męża, nie uważasz, że jest wspaniała?

- Henryku, co ja słyszę? Napisałeś coś ostatnio? Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

- To nie jest tak, jak myślisz... A to - wskazałem maszynopis - obiecywałem przecież, że dam ci najpierw do przeczytania, a potem porozmawiamy.

Nie wiem, jaki diabeł powstrzymał mnie przed natychmiastowym wyznaniem prawdy? Czy niezasłużone komplementy rzucane szczerze przez Adę tak dalece polechtały moją próżność, czy też do tego stopnia nie przywiązywałem wagi do jej zdania, że po pierwszych nieudanych próbach zaniechałem sprostowania?

Teraz, z perspektywy czasu wydaje mi się, że postąpiłem wówczas tchórzliwie, bo tak to trzeba nazwać, z bardzo wielu niejasnych powodów, ale takich, które w pełni wynikają z mojego słabego charakteru. Napisanie czegoś naprawdę dobrego było od lat moim niespełnionym pragnieniem. Bo ja po paru wczesnych sukcesach przywykłem do podziwu i oklasków, może nawet z tego powodu zabrnąłem w ślepy zaułek, gdzie nie samo wyrażanie się w sztuce, ale chwała, która za tym idzie, staje się celem samym w sobie. Kiedy się zajdzie wysoko, człowiek czuje się zobligowany do potwierdzania swojego poziomu i to jest męczące. Zwłaszcza wtedy, kiedy już nie ma się pomysłów, kiedy się wypaliły, składanie dowodów na to, że jest się kimś nieprzeciętnym, jest wręcz zabójcze. Czy ja jestem powierzchowny, próżny, inaczej niż ci skazani na sztukę, a przekłęci przez talent? Czy takie problemy mają również inni twórcy? W każdym razie

Anna już ich nie ma...wyobraziłem sobie przez jedną krótką chwilę, jakby to było, gdybym rzeczywiście spłodził to dzieło. Potwierdziłaby się przedawniona moja renoma, bliscy byliby ze mnie dumni, szczególnie Ewa, na której szacunku i podziwie zależało mi ponad wszystko. Tych myśli, które poraziły mnie jak błyskawica, starczyło na to, abym złapał przynętę. Nie próbowałem już prostować pomyłki, tylko kalkulowałem, na ile realne byłoby zatarcie śladów, że powieść nie jest mego autorstwa. Nawet mi nie zaświtało w głowie poczucie winy wobec Anny, ona już wypadła z gry...

Tak mi się wtedy zdawało. Tymczasem figlarka, szamanka, która od lat mimo woli, acz niezmordowanie wodziła mnie na pokuszenie, raz jeszcze zagrała mi na nosie, podstawiając zza grobu pokusę największego kalibru. Ruszyłem za nią jak pies za gnatem, z nosem przy ziemi, nie bacząc na konsekwencje.

- Cieszę się ogromnie, że ci się twórczość Henryka tak podoba, wieczorem i ja zacznę to czytać - przytomne słowa Ewy ściągnęły mnie na ziemię...

- Nie oderwiesz się, zobaczysz! - entuzjasmowała się Ada.

- Mam nadzieję, teraz jednak jestem zmuszona prosić cię o pomoc. Chcemy zmontować rozłożony stelaż piaskownicy, nie wiem, czy poradzimy sobie sami, zwłaszcza że wołałabym nie nadużywać sił mego rekonwalescenta.

- A na cóż wam, u licha, piaskownica?

- Spodziewamy się gościa. Jadę po niego jutro.

- Gościa? Jutro? Czy ja się przesłyszałam? Zdawało mi się, że Beacie do rozwiązania brakuje około trzech miesięcy.

- Dobrze ci się zdawało. Beata czuje się doskonale i mamy nadzieję, że nasz wnuk urodzi się w przewidzianym terminie. Jutro natomiast przywiozę tutaj na wywczasy bardzo przystojnego młodzieńca po przejściach. Mam nadzieję, że będzie mu u nas dobrze.

- Bardzo jesteś tajemnicza, powiedz, kto to jest?

- Osieroczone dziecko, które w ciągu ostatnich miesięcy miało tyle strat, ile nieraz dotyka innych w ciągu długiego życia. Najpierw jego jedyna babcia trafiła do zakładu zamkniętego dla umysłowo chorych, potem na jego oczach zamordowano jego ostoję - czułą opiekunkę, a kilka dni temu stracił oboje rodziców. Ma zaledwie cztery i pół roku, a już tyle nieszczęść się na niego zważyło.

- I ty chcesz mu zastąpić te wszystkie utracone osoby?

- Nie zdołałabym, ale chcę, żeby nie był pozbawiony uroków dzieciństwa, zanim jego los się ustabilizuje.

- Czyli, że ja powinnam się stąd wynosić... - w taki oto zaskakujący sposób Ada podsumowała rozmowę.

- Czemu miałabyś się wynosić? - zdziwiłem się.

- To oczywiste. Nie jestem samarytanką, nie mam do dzieci odporności nerwowej, one biegają, krzyczą. Nie! To stanowczo nie dla mnie! Czy musicie go sprowadzać tu już jutro? Nie możesz z tym poczekać kilka dni? - zwróciła się do Ewy.

- Przykro mi, ale nie mogę. Chcę go tu widzieć jak najszybciej.

- Trudno. Dokonałaś wyboru... - powiedziała Ada z urazą.

- Doprawdy nie wiem, jak możesz zmuszać mnie do takich wyborów, jak możesz w ogóle coś podobnego sugerować.

- No to składajmy już tę piaskownicę, bo muszę się spakować - powiedziała nagle lekkim tonem Ada.

Ewa uściskała ją serdecznie i odprężona rzekła:

- Powinnam się domyślić, że żartujesz. Ostatnio kiepskawo z moim poczuciem humoru.

Poszliśmy wszyscy troje w kierunku szopy, bez trudu poskładaliśmy obramowanie piaskownicy z pasujących do siebie elementów, ale dopiero wtedy pomyśleliśmy, że nie mamy piasku. Spojrzeliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem.

- Dobrze nam tak! — powiedziała Ewa. - Zamiast się wziąć do rzeczy praktycznych, takich jak miejsce do spania, szuflady na jego rzeczy, zaczęliśmy od piaskownicy. Tak dawno nie było tu małego dziecka, nic dziwnego, że straciłam głowę. A piasek jeszcze się sprowadzi.

Panie wróciły do domu, a ja poszedłem jeszcze na przechadzkę nad zalew. Słońce chyliło się ku zachodowi, ale wiatr wcale nie ucichł, przeciwnie - nad wodą był o wiele silniejszy niż w lesie. Nie służyła mi taka aura. Czuję ciężar na sercu i trudno mi było oddychać. Szedłem jednak wzdłuż brzegu, borykając się z dylematem: jak mam postąpić z maszynopisem Anny. Przyjaciółka mojej żony zupełnie nieświadomie podsunęła mi pomysł, który mnie samemu z pewnością nie przyszedłby do głowy, lecz skoro tak się złożyły okoliczności, czy nie powinienem wykorzystać szansy? Ze sprzeniewierzam się pamięci Anny? Tak, to przykra strona zagadnienia, ale dla niej nie ma to już znaczenia. A dla mnie? Bzdura! Nie dopuściłbym się takiego czynu dla siebie. Jeśli podpiszę

się pod tym dziełem, zrobię to przede wszystkim dla Ewy. Bo zawsze chciała, żebym był wielkim pisarzem, a ja ją zawiodłem. Odzyskałbym jej szacunek, a to znaczy dla mnie bardzo wiele.

Rozpatrując wszystkie „za” i „przeciw” stwierdziłem, że opuszczają mnie skrupuły i jestem gotów do dalszych kroków na niepewnym gruncie. Jak to dobrze się złożyło, że dotychczas nie omawiałem wydania książki Anny z Michałem ani nikim innym. Nawet nie powiedziałem nikomu o jej istnieniu. Było to fatalne zaniedbanie, lecz istotne wtedy, kiedy Anna żyła. Filip, jej syn, nie zlikwidował jeszcze jej mieszkania, które zresztą dziedziczył, ponieważ ze względów zawodowych nie mógł po pogrzebie dłużej zostać w kraju, by uporządkować jej rzeczy. Mieliśmy z Anną umowę na biografię, którą prawie skończyła. Filip upoważnił więc nas do tego, byśmy w obecności sąsiadki, która miała tymczasem opiekować się mieszkaniem, odnaleźli maszynopisy prac, które dla nas pisała. Mogłem zatem łatwo pod tym pozorem zabrać również wszystkie kopie interesującej mnie powieści. Kiedy tylko o tym pomyślałem, ogarnął mnie wstyd: przecież to zwyczajne planowanie przestępstwa! Więc już tak nisko upadłem? Nie. Zaraz wrócę do domu i powiem Ewie i Adzie, kto jest autorem książki.

Wiatr i emocje, które mną targwały, sprawiły, że mój powrót na teren posesji przeciągnął się znacznie, musiałem kilka razy odpoczywać, nie mogłem złapać tchu, i kiedy wreszcie dotarłem na miejsce, nie było mowy o tym, żebym mógł prostować jakiegokolwiek zakłamania, bo czułem się tak źle, że trzeba było dzwonić do kardiofonu. Ewa wpadła w panikę, załadowała mnie do samochodu i zawiozła do najbliższych sąsiadów posiadających telefon. Natychmiast podłączyliśmy aparat. Miałem drobne zakłócenia pracy serca, ale nic alarmującego się nie działo. Były to sensacje dopuszczalne przy takim wietrze. Byłem już w szpitalu ostrzegany, że nagłe zmiany temperatury, zwłaszcza przy wietrze i chłodach, mogą działać niekorzystnie na pracę serca. Lekarz dyżurny poinstruował mnie, jakie winienem wziąć leki, i doradził odpoczynek.

Tak więc niefortunny pomysł ewentualnego przywłaszczenia sobie powieści Anny odsunął się przynajmniej na jakiś czas. Ewa, rozdarta między przygotowaniami do przyjazdu Rafałka a troską o mnie, nie brała się na razie za czytanie. W dodatku nękało ją zmartwienie z powodu Ady. Przekonała się bowiem ostatecznie, że jej wieloletnia przyjaciółka stała się egoistką. Jak się okazało, wcale nie żartowała, że obecność dziecka będzie

jej przeszkadzać. Zupełnie na serio zamierzała umknąć, zanim nasz mały gość się pojawi. Wygłosiła jeszcze przed wyjazdem mowę, z której wynikało, że jest teraz w impasie, musi być skupiona na budowaniu własnego szczęścia i nie może się dekoncentrować. Dzieci zaś wprowadzają taki zamęt, że trudno wytrzymać, nawet jak się nie ma problemów, a co dopiero gdy się jest na takim życiowym zakręcie jak ona.

Moja połowica zawsze wydawała mi się osobą wielce zasadniczą i odporną na sentymentalne porywy. Okazało się, jak bardzo się w tym osądzie myliłem. Po wyjeździe przyjaciółki była smutna, powtarzała, że nic tak nie boli, jak rozczarowanie w stosunku do kogoś bliskiego, bo bała się, że już nie potrafi lubić Ady tak bardzo, jak dotąd.

Rafałek, na szczęście, okazał się znakomitym remedium na jej smutki, jak i na moje rozterki. Tak długo już przebywał z Anną, że przejął jej sposób wyrażania się i wszelkie jej nauki nie poszły w las. Potrafił ładnie zachować się przy stole, był posłuszny i miał niezwykłą fantazję. Ponieważ otarł się o sprawy umierania, był tym zafascynowany. Ciągłe nawiązywał do obecności tych, co odeszli.

- Czy wiesz, że oni wszyscy, ci umarli, na mnie teraz patrzą?

- Domyślam się, Rafałku, a skąd ty to wiesz?

- Mówiła mi siostra w szpitalu. Ich dusze są na chmurce. Na takiej niewidzialnej chmurce, ale płynącej za mną wszędzie.

- Wobec tego założymy śliniak - zaproponowała Ewa - bo Anna zmartwiłaby się, gdyby zobaczyła, że brudzisz ubranie.

Malec przyłgnał do Ewy natychmiast, wruszało ją to ogromnie.

- Wiesz Hen, wcale nie dziwię się Annie, że tak straciła głowę dla tego dzieciaka, on jest czarujący, a poza tym tak łaknie ciepła, tak chce być kochany, że serce się kraje.

Ja sam łapałem się na tym, że tylko czekam na to, co mały powie, jak na to czy owo zareaguje. Byliśmy w trudnej sytuacji: z jednej strony radzi byśmy mu nieba przychylić, z drugiej nie mogliśmy pozwolić na to, żeby przywiązał się do nas za bardzo. Najlepszym wyjściem było mówienie mu prawdy, że będzie u nas przez jakiś czas, że nie możemy sami decydować o tym, gdzie będzie mieszkał i gdzie na stałe będzie jego dom. On jednak już zaczął robić plany na wspólną przyszłość.

Ewa zabrała go kiedyś nad wodę, żeby mu pokazać wyjątkowo piękny zachód słońca. Niebo wyzierało spod malowniczo ułożonych chmur lazurem, turkusem i ostrym różem indyjskim.

Słońce było jaskrawoczerwone i wszystko to tak nierealnie barwne, że po prostu zapierało dech. Ewa obawiała się, że chłopczyk z niska nie widzi całej panoramy nieba tak dobrze jak ona, wzięła go więc na ręce i postawiła na płocie. Stali tak przytuleni, on na sztachetach, ona oparta o płot, aż do chwili, kiedy słońce wpadło na horyzoncie do wody, zostawiając na niej świetlistą drogę, coraz to bledszą. Zaczęło się ściemniać.

- Podaj mi teraz rączki - powiedziała - zrobimy wielki skok na trawę.

Bardzo go to ucieszyło, musiała go jeszcze raz postawić na płocie, żeby mógł powtórzyć zeskok.

- A teraz, mały mężczyzno, ty zdecydujesz, czy wrócimy do domu przez wieś czy przez las. Przez wieś będzie się szło oświetloną drogą, a przez las w ciemności. Widziałeś kiedyś las o zmroku?

- Chcę iść przez ciemny las!

- No to jazda.

Szli przez jakiś czas w milczeniu, Ewa trzymała go za rączkę, tulił się do niej coraz bardziej i nagle zapytał.

- A nie spotkamy czarownicy? Czy tu są czarownice?

- Może i są, ale się do nas na pewno nie zbliżą.

- A dlaczego?

- Bo się mnie boją.

- Ciebie? Wcale nie jesteś straszna.

- A mimo to jestem postrachem czarownic.

- Dlaczego?

- Bo wiesz, jak moje dzieci były małe, czarownice przyleciały na miotle i chciały je przestraszyć. I wtedy ja dałam im taki wycisk, że zapamiętały to na całe życie. Teraz, jak mnie poczują, to zmykają gdzie pieprz rośnie.

- A co one robią, jak fruują na miotle?

- Śpiewają sobie taką piosenkę:

Jestem stara czarownica, bo! ho! ho!

Mam dwie nogi, mam dwie ręce i oko.

A to oko widzi dobrze, he! be! be!

Co zobaczy, co zobaczy, zaraz zje!

Ho! ho! ho! Cha! cha! cha!

Taka ze mnie czarownica stara, zła.

Piosenka się skończyła i skończyła się droga przez las. Podglądacze zachodu słońca wkroczyli na taras i chłopczyk oznajmił:

- Kiedyś, jak urosnę, będę miał dwadzieścia lat, a ty czterdzieści (wskazał na Ewę), to kupię sobie farby, cały taki komplecik, i namaluję to niebo. Takie właśnie rzeczy będę malować.

- A ile ja będę miał wtedy lat? - zainteresowałem się.

- Ty? Ty będziesz już w trumnie.

- Rafałku, jak możesz? - oburzyła się Ewa.

- Ja też, jak będę bardzo stary, umrę. A on już jest stary.

- A po czym poznajesz, że ktoś jest stary?

- Jak to po czym? No przecież po siwych włosach.

Przez całe dni zaśmiewaliśmy się z różnych wypowiedzi Rafałka lub opowiadaliśmy sobie, co powiedział w czasie nieobecności jednego z nas.

Któreś przedpołudnie spędziłem z nim sam. Ewa musiała pojechać do Warszawy. Tak, jak jej obiecałem, nie spuszczałem go z oczu. Kiedy myliśmy zęby w łazience i ja się goliłem przeglądając się w lustrze, poprosił, żebym go postawił na krześle.

- Chcesz się ogolić? - spytałem.

- Zdziecinniałeś? Ja się jeszcze nie gołę, dopiero w ósmej klasie.

- Skąd wiesz?

- Od chłopaków. A po co się smarujesz tym kremem?

- Żeby młodziej wyglądać.

- Posmaruj też mnie. Ja też chcę młodziej wyglądać! Rozprowadziłem cieniutką warstwę kremu „po goleniu” na jego policzkach.

- No i co? - zapytałem. - Jak się sobie podobasz?

- Super! Jeszcze daleko do mojej starości, jeszcze sobie pożyję. Anno, Anno, widzisz jaki jestem młody?

- Przestań Rafałku! - powiedziałem ostro, bo po jego wołaniu przeniknął mnie dreszcz.

Spojrzał na mnie przestraszony, ułożył buzię w podkówkę i rozplakał się. Zawstydzilem się, zacząłem go tulić, ale tak się rozżalił, że nie mogłem go uspokoić.

- Nie płacz już, jesteś przecież mężczyzną. Zwróciłem ci tylko uwagę, żebyś nie wołał Anny, nie trzeba jej niepokoić.

- Trzeba. Ona chce, żebym ją wołał, jej niewidzialna dusza zawsze będzie przy mnie.

- Masz rację, ona czuwa nad tobą, ale nie trzeba jej niepokoić.



Ten drobny incydent zostawił mi przykre wrażenie. Postanowiłem poprosić Ewę, żeby poradziła się jakiegoś psychologa, jak uwolnić dziecko od obsesji śmierci. Ciągle, przy byle okazji do niej nawiązuje.

Dni w wiejskiej posiadłości umykały w przeszłość tak szybko jak górski potok. Zwłaszcza od czasu, gdy malec z nami zamieszkał. Po szarpiącym nerwy procesie morderców Anny zdecydowaliśmy, że przedłużymy nasz tu pobyt. Nie mogliśmy otrząsnąć się z koszmaru. Fakt, że zbrodni dokonały dzieci, wprawiał w przygnębienie bez granic. Dzieci - recydywiści! A dom poprawczy wychowa je, czy do reszty zdeprawuje? Starszy z chłopców, zaledwie piętnastoletni, miał na koncie dwa zabójstwa. Po trzech latach poprawczaka czeka go piętnaście lat więzienia. Mając ostatecznie słowo oznajmił sali, że wyrok jest zawyżony. Jemu bowiem chodziło tylko o pieniądze, a nie o mordowanie. Dwie spośród napadniętych kobiet zginęły, bo nie chciały oddać pieniędzy. Ściślej mówiąc, ta Anna Turska nawet oddała im wszystko: pieniądze i biżuterię, ale stawiała się, bo bała się o tego smarkacza, który ułatwił im wejście do niej. Dlatego byli zmuszeni ją uciszyć. Prosił o złagodzenie wyroku, bo po pozbawieniu życia zaledwie dwóch osób nie czuje się mordercą. Prawdziwi mordercy, według niego, to ci, którzy zgładzili po kilkanaście i więcej ludzi. Dwie osoby to po prostu przypadki, a nie zaplanowane czyny. Młodociany przestępca miał świeżą dziewczęcą cerę i oczy błękitne jak chabry. Mówił elokwentnie i bez emocji. Kiedy skończył, w sali zapanowała pełna napięcia cisza. Wprawił w osłupienie zarówno publiczność, jak i zespół sędziowski. Wyprowadzono go szybko, zanim ludzie zerwali się z ławek, zanim zapachniało linczem. Wieczorem tego samego dnia pokazano jego wystąpienie w telewizyjnym dzienniku wieczornym. Wrażenie piorunujące, spotęgowane jeszcze dużym zbliżeniem jego świeżej, naiwnie wyglądającej twarzy... Patrzyłem i słuchałem ze ściśniętym gardłem, myśląc, czy dobrze się stało, że kilka dni temu sejm zatwierdził ustawę o zniesieniu kary śmierci.

Po miesiącu od procesu dostaliśmy list od Filipa, w którym wyrażał nadzieję, że sprawa adopcji prowadzona przez jednego z najlepszych adwokatów posuwa się w dobrym kierunku. Przysłał zdjęcia swego domu, żony, swoje, a nawet dwóch sympatycznych piesków i prosił, żeby powoli oswajać chłopca z tym, że będzie miał nową rodzinę. Filip dążył do przygarnięcia go z taką determinacją, iż nabraliśmy otuchy, że musi mu się to udać.

Zbliżał się okres podjęcia na nowo pracy w wydawnictwie. Trzeba było wracać do normalnego życia. No i musiałem coś postanowić w sprawie wydania książki Anny. Dręczyły mnie na ten temat męczące sny, a i na jawie nie byłem pewien, jak postąpię. Pokusa była olbrzymia, miotalem się między pogardą dla siebie a rozgrzeszaniem się z wykorzystania okazji, która sama pchała mi się w ręce. To było zupełnie tak, jakbym doświadczał rozdwojenia jaźni. Gdy moje lepsze „ja” wracało po rozum do głowy, wydawało mi się, że nigdy już z tej drogi nie zejdzie, ale za chwilę było bezsilne wobec rozhasanej fantazji żadnego chwały zuchwalca.

Dałem wreszcie maszynopis Ewie. Nie przeczytała go jednym tchem tylko dlatego, że miała za dużo obowiązków, by mogła sobie na to pozwolić... Chłonęła treść powoli i wnikliwie, robiła nawet jakieś notatki i przez cały ten czas przyglądała mi się bacznie, zupełnie jakby mnie na nowo odkrywała. Nie pytałem jej o wrażenia, nie miałem odwagi. To Ewie chciałem czymś zaimponować, ale im mniej stron zostawało jej do końca lektury, tym mocniej utwierdzałem się w postanowieniu, że wyznam jej całą prawdę. Zaczynałem nawet czuć radość ze zwycięstwa nad sobą. Postawiłem się w sytuacji Anny, przywołałem na pomoc dawną moją do niej miłość i tym bardziej zrozumiałem podłość moich niecznych pragnień.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Ewa dołączyła ostatnią przeczytaną kartkę do reszty maszynopisu.

Ja też byłem już gotowy do konfrontacji. Byłem w nastroju podniosłym, z rozczuleniem myślałem o tym, jaki jestem prawy i szlachetny.

- Przeczytałaś? - zapytałem.

- Tak, skończyłam właśnie. Przydałby się jeszcze minimalny retusz redaktorski, chętnie bym się tego podjęła.

- A twoja opinia? Co o tym myślisz?

- Zdumiewające. Znakomite i zdumiewające. Tylko coś mi tu nie pasuje. Albo ja ciebie zupełnie nie znam, albo to jakaś mistyfikacja. ..

- Dlaczego? O co ci chodzi?

- O styl, o widzenie świata, o stosunek do życia, wszystko tu jest tak do ciebie niepodobne.

Jakże bodaj na chwilę mogłem zapomnieć o tym, że Ewa jest fachowcem. Że w dodatku zna mnie jak nikt inny i choćby cały świat był przekonany, że jestem autorem tej książki, ona i tak by nie dowierzała. Co za ironia losu! Bo to przecież dla niej, głównie dla jej poklasku wahałem się, czy sobie tej cudzej pracy nie przywłaszczyc.

Nie warto było...

Poczułem suchość w gardle i treść, potworną treść przed tym, co chciałem powiedzieć, co ja mówię: chciałem? Nie, ja powinienem, ja musiałem to powiedzieć. A jednak to zupełnie co innego postanowić, niż zrealizować postanowienie, bo to oznacza rezygnację z marzeń o łatwym sukcesie, o możliwości zaimponowania Ewie... Czy zdołałabym? A na co bym się naraził, jakby mną gardziła, gdyby wyszła na jaw cała mistyfikacja? A ja? Chyba już nigdy nie miałbym spokoju. Może i chodziłbym w nimbie sławy, ale musiałbym zapłacić drogo, bo odbyłoby się to kosztem utraty własnej godności... Toteż przełknąłem ślinę i powiedziałem:

- Nigdy nie mówiłem, że ja to napisałem. To Ada tak sądziła.
- A jednak nie wyprowadziłeś jej z błędu.
- Nie dawała mi dojść do słowa.
- Mogłeś to uciąć jednym zdaniem. Widziałam, że jej pochlebne zdanie sprawia ci przyjemność, zupełnie jakbyś identyfikował się z autorem.
- Anna to napisała.
- Kamień spadł mi z serca! Spojrzałem na nią zdumiony.
- Tak się cieszysz, że to ona, a nie ja jestem autorem dobrej książki?
- Jesteś autorem wielu dobrych książek, Hen. Ale takiej jak ta chyba byś nie napisał. Masz inny rodzaj wrażliwości. Cieszę się, że się na tobie nie zawiodłam i że ty nie zawiodłeś Anny. Zresztą, dla mnie największe znaczenie ma to, jaki jesteś, a nie to, co i jak piszesz. Czy myślisz, że gdybyś był na przykład tapicerem, nie byłbyś mi drogi?

Ależ ta jej intuicja! Czy ona czyta w moich myślach? Poczułem się jak podpalany ogniem. Ewa musiała chyba zauważyć mój rumieniec, bo szybko zmieniła temat:

- Michał dzwonił z pytaniem, czy będziemy mogli przyjść na imieniny jego żony, co ty na to?
- Naturalnie, że pójdziemy - odpowiedziałem skwapliwie, wdzięczny losowi za to, że zakończyliśmy uprzednią rozmowę.

Nie mogłem mieć pewności, że Ewa mnie nie rozszyfrowała. Ten jej manewr dał mi dużo do myślenia. Najważniejsze jednak było to, że odniosłem zwycięstwo nad sobą. Cóż, kiedy z powodu przenikliwości mojej żony było to zwycięstwo połowiczne. Mimo wszystko czułem się jak przyłapany na gorącym uczynku. Bo faktycznie tak przecież było...

Tego samego wieczoru zadzwonił Filip Turski. Zapowiadał swój przyjazd za dwa miesiące. Sprawa adopcji była już pewna. Prosił nas o przygotowanie chłopca na zmiany w jego życiu, a również o przeniesienie go do przedszkola przy ambasadzie amerykańskiej, żeby oswoić go z językiem angielskim. Po oznajmieniu tych nowin Ewie, bo to ona z nim rozmawiała, poprosił mnie do telefonu.

- Jak się masz Filipie? - powitałem go.

- Dobry wieczór, mam nadzieję, że zapomniałeś już o chorobie?

- Właśnie wracam do pracy.

- Świetnie się składa, bo mam do ciebie pewną sprawę dotyczącą wydawnictwa. Mama pisała mi, że złożyła u was swoją powieść Kuszenie losu, czy zamierzacie ją wydać? Bo chyba od tego czasu minęły niemal trzy lata?

- Mamy maszynopis powieści bez tytułu. Wydamy ją na pewno, jest bardzo dobra.

- Nie ma wątpliwości, że to ta sama, bo innej nie napisała. Tytuł wymyśliła kilka dni przed śmiercią. Zadzwoniła do mnie uradowana, że nagle doznała olśnienia. Uważam, że wybrała bardzo trafnie. Co ty o tym myślisz?

- Trafniej nie można było... Tak... to zdumiewające, zdumiewające! W domu było ciepło, w kominku wesoło trzaskał ogień, miałem podwinęte rękawy koszuli, ale poczułem dreszcze i na przedramieniu mojej ręki zobaczyłem gęsią skórę. Doznawałem też dziwnego, nieznanego mi dotąd wrażenia, że włosy stają mi dęba. To był znak od Anny z za grobu, bo ten tytuł, zadziwiająco trafny dla jej powieści, określał całą moją sytuację od chwili, kiedy ją pierwszy raz ujrzałem, poprzez wszystkie lata, kiedy kochałem ją w marzeniach, aż do niecznych momentów, gdy zamierzałem ją perfidnie zdradzić. Kusicielka jeszcze raz zagrała mi na nosie.

Tymczasem jej syn, szczególnie we wszystko wtajemniczony jak mogłem przypuszczać, że o niczym nie wie? - był jej najbliższy, a ona zbyt spontaniczna, by ukryć przed nim rzecz tak ważną jak dzieło swego życia), otóż ten jej jedyny syn, podczas gdy ja miotany uczuciem wstydu, szczęśliwy, że udało mi się w ostatniej chwili ująć z twarzą, mówił teraz do mnie, nieświadom tego, że nie jestem człowiekiem godnym zaufania:

- Czy to zostało załatwione formalnie? To znaczy, czy sporządzono umowę wydawniczą?

- Niestety, jeszcze nie.

- Szkoda. Chociaż, może to upraszcza sprawę?

- Dlaczego? Nie chcesz, aby została wydana?

- Ależ chcę. Tylko udało mi się zainteresować nią jedno z liczących się wydawnictw w Nowym Jorku. Mają nawet tłumaczkę - to ta sama osoba, która przekładała Bułchakowa i Gombrowicza. Wykłada literaturę słowiańską na naszym Uniwersytecie. Rzecz w tym, że nie tłumaczy się pozycji jeszcze nie wydanych. Chyba że sprzedałbym im w ogóle prawa do powieści, jeśli wam nie zależy na szybkim wydaniu. Wyszłaby najpierw w języku angielskim, a wy w dogodnym dla siebie czasie moglibyście wydać ją w oryginale. Wtedy, oczywiście, trzeba będzie opłacić opcję.

Słuchałem go i myślałem, jak to się cudownie złożyło, że nie uległem pokusie. Ależ bym sobie nawarzył piwa! W pierwszej chwili omal nie zgodziłem się na jego wersję: zrezygnować na razie i wreszcie zakończyć niezręczną dla mnie sytuację. Na szczęście w porę się zreflektowałem - przecież zawiódłbym Annę. Jako Polka na pewno wołałaby, żeby książka ujrzała światło dzienne najpierw w jej ojczystym języku. Poza tym - to paradoksalne - zawiódłbym również Ewę, która po wielu latach przerwy zapragnęła tę książkę zredagować. Winien to byłem im obu. Mojej żonie, bo jeśli była jakakolwiek możliwość ulepszenia rzeczy doskonałej, to mogła to zrobić tylko ona, wierzyłem w jej fachowość i wyczucie. Redagowała teksty literackie w sposób perfekcyjny, zawsze żałowałem, że odsunęła się od tej pracy i zawsze żywiłem nadzieję, że kiedyś do niej wróci. Oto i nadarzała się okazja. Poza tym jako wydawca nie mogłem działać przeciw sobie. Wiedziałem doskonale, że tak dobra książka, jak Kuszenie losu (nomen omen!), nieprędko nam się trafi. Dlatego pośpieszyłem z deklaracją:

- Proszę cię o jeden jedyny miesiąc cierpliwości. Powinniśmy zdążyć. Tylko tragedia twojej matki i moja choroba są winne temu, że Kuszenie losu jeszcze nie wyszło.

- Dobrze, czy moglibyśmy podpisać umowę?

- Przyślę ci ją natychmiast, tylko przedstaw swoje warunki.

- Nie omawiałeś ich z mamą?

- Rozmawialiśmy o tym, bo prosiła mnie o zaliczkę.

- Wobec tego niech będzie tak, jak ona chciała. A zaliczkę chciałbym przekazać na rzecz dziecka.

- To było intencją twojej matki.

- Często bywaliśmy jednomyślni. Henryku, przyślij mi umowę i przygotujcie, proszę, Rafała do zmian, jakie go czekają. Będę wam wdzięczny do końca życia.

Nazajutrz odebrawszy chłopca z przedszkola zaprosiliśmy go do jego ukochanego McDonald'sa na uroczystą rozmowę o jego przyszłości przy kolorowym, niezdrowym daniu.

- Mamy dla ciebie wspaniałą nowinę. Twoja przyjaciółka Anna, zanim została duszyczką na chmurce, opowiadała ci zapewne o tym, że kiedyś miała synka Filipa.

- Pokazywała mi nawet jego fotografię. Teraz to on jest już stary.

- Jest dorosły, ale do starości jeszcze mu daleko. Poza tym jest mądry, dobry i bardzo podobny do Anny. Powinieneś go pamiętać, odwiedzał cię w szpitalu. Otóż Anna, będąc na chmurce, bardzo martwiła się tym, że zostałeś sam na świecie, i postanowiła podarować ci nową rodzinę. Długo szukała, aż dowiedziała się, że jej syn Filip i jego żona pragną mieć synka. Wtedy natchnęła ich myślą, żebyś to ty zostałeś ich synkiem. Wiedziała, że nikt nie pokocha cię bardziej niż oni.

- Ja teraz kocham najwięcej Ewę i ciebie też trochę kocham. Nie mam więcej miejsca w sercu do kochania.

- Wszystko się zmieni, jak ich zobaczysz. Tymczasem pokażemy ci zdjęcia. To są twoi rodzice, jak ci się podobają?

- Nie znam ich wcale.

- A to jest dom, w którym z nimi zamieszkaasz.

- Taki duży?

- Prawda? Widzisz, jaki z ciebie szczęściarz? A do tego po ogrodzie obok tego domu biegają dwa łobuziaki, które też będą należeć do ciebie.

Ewa podała mu zdjęcie dwóch foksterierów o uśmiechniętych pyskach.

- Pieski? Jakie piękne! Kiedy je mogę zobaczyć?

- Już niedługo, musisz tylko w nowym przedszkolu nauczyć się mówić po angielsku, żeby pieski cię zrozumiały, bo one urodziły się w Ameryce. Tam właśnie jest twój nowy dom.

- To daleko? Pojedziecie tam ze mną?

- Będziemy cię czasem odwiedzać.

- A te pieski nie mogą przyjechać tu do mnie?

- Musiałyby lecieć samolotem, pilot nie zgadza się ich zabrać, więc ty musisz polecieć do nich.

- Samolotem, naprawdę? Ale fajnie! Pewnie, że polecę! Chłopczyk wstał nagle i porzucając „super menu” zaczął podskakiwać śpiewając wesoło: „Polecę samolotem! Polecę samolotem!”

Za dwa dni miałem wrócić do normalnego życia, w pracy czekali na mnie, a tymczasem czułem się jeszcze zmęczony i pełen obawy, czy naprawdę jestem już gotów. Musiałem jakoś wziąć się w garść. Chciałem spotykać innych ludzi, żyć innymi sprawami niż dotychczas, żeby zabić pamięć o tym, co się zdarzyło wokół mnie i we mnie. Cóż, kiedy to nie było łatwe, sprawy i zdarzenia zazębiały się, łączyły w nieskończenie długi łańcuch, ciężki do udźwignięcia...

Dwoistość mojej natury nie mniej mnie fascynowała, niż przerażała. Przecież w gruncie rzeczy brzydziłem się każdym przejawem nieuczciwości, a nieoczekiwanie byłem o krok od popełnienia paskudnego przestępstwa. Tym trudniej było mi zrozumieć tamtą chęć okradzenia Anny z owocu jej pracy i talentu... Czy rzeczywiście okazja czyni złodzieja? Jeśli tak, to dlaczego trafność tego przysłowia musiałem sprawdzić na sobie? Dlaczego ani przez chwilę nie pomyślałem o swoich dzieciach, którym zawsze wpajałem godne zasady postępowania. Nie wiem, doprawdy nie wiem, jak to się stało...

Od tego czasu upłynęło kilka miesięcy. Rzuciłem się w wir pracy i wcale to memu sercu nie zaszkodziło. Częściej też bywałem na różnych spotkaniach, przed którymi się przedtem broniłem. Nic się na nich nie zmieniło, może jeszcze więcej rozmawia się o pieniądzach, ale chyba mniej o polityce. Dotrzymałem słowa danego Filipowi - zanim przyjechał po Rafała, wysłałem mu egzemplarz sygnałny Kuszenia losu. Po miesiącu książka uzyskała pierwszą lokatę na liście bestsellerów, lada dzień ukaże się jej przekład w Nowym Jorku, a dwa tygodnie temu na Targach w Lipsku sprzedaliśmy prawa na jej tłumaczenie we Francji i w Niemczech. Dzięki Annie staliśmy się jednym z bogatszych wydawnictw, tym bardziej, że po sukcesie jej powieści również dawniej wydane biografie i szkice historyczne jej autorstwa lepiej się sprzedają.

Niełatwo było nam się rozstać z Rafałem, przywiązaliśmy się do niego. Nowych rodziców zaakceptował nadspodziewanie szybko. Nie bez znaczenia było to, że Filip jest synem Anny. Fakt, że to ona wyznaczyła mu nowego tatę, przekonał go całkowicie. Najbardziej jednak ucieszyły go dwa foksteriery: Fred i Red, które miały zostać jego własnością. Chłopiec całował ich zdjęcia i nie mógł się doczekać, kiedy do nich doleci przez

ocean. Zona Filipa okazała się sympatyczną osobą, o dużej kulturze. Mimo różnicy wieku tworzą bardzo zgrane stadło. Dobrze będzie z nimi pupilkowi Anny.

Teraz Ewa po prostu oszalała na punkcie naszego wnuka, który jest rzeczywiście udanym dzieckiem. Nawet z zięciem łatwiej mi się ostatnio dogadać. Marek za rok będzie zdawał maturę. Nie nastrecza nam kłopotów. Gdyby jeszcze nie ćwiczył tak głośno na tych swoich bębnach, bo zdaje się, że zamierza zostać perkusistą! W kogo on się wrodził?

Wszystko idzie ku lepszemu. Dostaję od życia znacznie więcej, niż powinienem. Aż dziw bierze, ile rzeczy na tym świecie może ująć bezkarnie. Ale to jest pozorne. Nie mam spokoju. Chociaż znowu piszę. Siedzę oto na ósmym piętrze przy rue Ordener w Paryżu i piszę jak za dawnych dobrych lat. Nie dla sławy, nie dla pieniędzy, bo chyba nigdy tego nie opublikuję. Piszę z potrzeby serca. Byłoby to z pewnością zajęciem oczyszczającym, gdyby nie fakt, że muszę stale przebywać ze sobą, człowiekiem słabego ducha, niezbyt odważnym przeniewiercą, który potrafił zdradzać wszystko, co było mu drogie: Ewę, Annę i siebie samego. Cóż stąd, że tylko w myślach, skoro myśl jest początkiem dobra i zła... Mam czas na przemyślenie wszystkiego jeszcze raz od nowa. Czekam na odkupienie. Podobno zaczyna się ono w chwili szczerego wyznania winy. Takie krążą teorie. Wyznałem wszystko...

Krzyże, wrzesień 1998